

**SIDNEY SHELDON**

# **KRWAWA LINIA**

**przełożył Dariusz Kunicki**

Dla Natalii z wyrazami przyjaźni

## Rozdział 1

STAMBUŁ, SOBOTA, 5 WRZEŚNIA, 10 RANO

Siedział samotnie w biurze Hajiba Kafira, patrząc na tysiącletnie minarety. Należał do ludzi, którzy wszędzie na świecie czuli się jak u siebie w domu. Stambuł natomiast z pewnością był jego ulubionym miejscem. Przebywając tu, omijał jednak turystyczne atrakcje, do jakich należała na przykład ulica Beyoglu czy potężny rynek Laiezas, wypełniony barwnym tłumem. Odwiedzał natomiast zaciszne targowiska yalis, o których wiedzieli jedynie urodzeni w Stambule muzułmanie, czy też cmentarz Telli Baby, na którym pochowano jednego tylko człowieka, a do którego wielu ludzi przychodziło się modlić.

Siedząc tak w skupieniu, Rhys Williams przypominał myśliwego czekającego na zbliżającą się zwierzynę. Wyjątkowe opanowanie i umiejętność chłodnej kalkulacji odziedziczył po swych walijskich przodkach, podobnie zresztą jak wygląd: czarne włosy, pociągłą twarz i błękitne oczy oraz barczyste ramiona i wysoki wzrost.

Jego myśli tak bardzo zaprzętała treść rozmowy telefonicznej, którą odbył godzinę wcześniej, że zdawał się nie zwracać uwagi na kwaśny, wypełniający całe pomieszczenie zapach spoconego ciała Hajiba Kafira.

“...pan Roffe zginął na miejscu! Stało się to tak nagle, że nie byliśmy w stanie zapobiec tragedii...”

Sam Roffe, prezes “Roffe & Sons”, jednego z największych zakładów farmaceutycznych na świecie, i głowa potężnej rodziny rozsianej po całym świecie, nie żyje.

Z trudem przychodziło pogodzić się z jego śmiercią. Był bowiem człowiekiem niezwykle energicznym i pełnym życia. Stale podróżował, przesiadając się z samolotu do samolotu, aby dotrzeć do swoich agend w najodleglejszych zakątkach świata. Nieustannie stawiał czoło wielu trudnym problemom, pracowitością i przedsiębiorczością wprawiając w zdumienie swoich najbliższych współpracowników.

Nawet wówczas, gdy się ożenił i został szczęśliwym ojcem, ani na moment nie zaniedbywał interesów.

“Kto go teraz zastąpi? - zastanawiał się Williams. - Czy istnieje podobny mu człowiek, zdolny pokierować imperium, które on pozostawił? Z pewnością nie wyznaczył następcy. Przecież mając pięćdziesiąt lat, nie jest się przygotowanym na śmierć”.

Zakurzona lampa, zawieszona tuż pod sufitem, rozbłysła nagle oślepiającym światłem. Williams zmrużył oczy i spojrzał w stronę drzwi wejściowych.

- Bardzo przepraszam... Nie wiedziałam, że pan tu jest...

W drzwiach stała Sophie, jedna z sekretarek firmy. Przydzielono ją Williamsowi na czas jego pobytu w Stambule. Sophie była śniadolicą, niezwykle powabną i zmysłową Turczynką. Dawała też w jakiś magiczny sposób odczuć Williamsowi, że jest gotowa spełnić każde jego pragnienie.

- Pozwoli pan, że wrócę do siebie, aby przygotować korespondencję dla pana Kafira. Czy życzy pan sobie czegoś? - Mówiąc to, zbliżyła się do biurka, przy którym siedział Williams, i uśmiechnęła się zalotnie.

- Gdzie jest pan Kafir?

- Wyszedł na dłużej.

- Więc go odszukaj, Sophie.

- Niestety, zupełnie nie mam pojęcia, gdzie może być - odparła zakłopotana.

- Pewnie jest w Kervansaray lub Mermara.

“Prawdopodobnie w Mermara, gdzie jedna z jego kochanek zabawia gości tańcem brzucha. Zresztą z Kafirem nigdy nic nie wiadomo - pomyślał Rhys. - Być może jest teraz ze swoją żoną”.

- Zrobię, co w mojej mocy, ale obawiam się, że...

- Powiedz mu, że jeżeli nie pojawi się w biurze za godzinę, będzie musiał poszukać sobie innej pracy. I wyłącz wreszcie to przeklęte światło!

Wolał rozmyślać w ciemności. Łatwiej było wtedy wyobrazić sobie szczyt Mont Blanc i Sama, jak mozolnie pnie się w górę po grani. Wspinaczka o tej porze roku nie należała przecież do najtrudniejszych. Sam próbował pokonać Mont Blanc już kilka miesięcy temu, ale silne wiatry uniemożliwiły mu to.

- Tym razem uda mi się zatknąć flagę naszej korporacji na szczycie - ze śmiechem oznajmił Rhysowi.

Tamto miłe wspomnienie prysnęło jak mydlana bańka, kiedy usłyszał przerażony głos w słuchawce telefonu:

- Pan Roffe ześlizgnął się ze skalnej półki i spadł na dno przepaści. Przytrzymująca go lina pękła, kiedy wykonywał trawers nad lodowcem...

Oczami wyobraźni widział, jak biedne ciało Sama z głuchym łoskotem zsuwa się po lodzie i niknie w bezdennej przepaści.

Potrząsnął głową, starając się przerwać ponure rozmyślenia. Teraz należało solidnie zająć się firmą, pozostawioną przez Roffe'a, a przede wszystkim zawiadomić najbliższych o jego śmierci. Nie było to łatwe, gdyż członkowie tej zacnej rodziny rozproszeni byli po całym świecie. Trzeba będzie też przygotować odpowiednie oświadczenie dla prasy. Dla międzynarodowej finansjery śmierć Roffe'a będzie z pewnością szokiem.

Rhys będzie musiał zrobić wszystko, aby zminimalizować skutki tej nagłej tragedii dla losów firmy, będącej w nie najlepszej kondycji finansowej.

Williams poznał Sama Roffe'a dokładnie dziewięć lat wcześniej. Miał wtedy dwadzieścia pięć lat i zarządzał małą farmaceutyczną firmą. Był energiczny i miał głowę pełną pomysłów. Po niedługim czasie firma rozrosła się do rozmiarów poważnej korporacji, a pochlebne opinie o jej szefie dotarły aż do Roffe'a. Sam wkrótce zaproponował mu współpracę, a kiedy Williams wyraził zgodę, wykupił jego firmę.

- Jesteś mi potrzebny, młody człowieku - oznajmił Roffe podczas ich pierwszego spotkania. - Dlatego właśnie kupiłem twoją firmę...

Ten akt dobrej woli ze strony Sama schlebiał mu, lecz z drugiej strony irytował go.

- A gdybym tak odmówił?

- Nie zrobisz tego, chłopcze. - Sam uśmiechnął się tajemniczo. - Jesteśmy z tej samej gliny: ambitni i żądni władzy.

Słowa Sama miały tym większą moc, że po latach życia w nędzy i niedostatku Rhys zapragnął odnieść sukces.

Urodził się niedaleko kopalni węgla Gwent i Carmarthen, wokół których znajdują się walijskie doliny, kryjące pod grubą warstwą ziemi bogate złoża piaskowca, wapnia i węgla. Wyrósł wśród bajecznych nazw, które uwieczniono w walijskiej poezji, takich jak Brecon, Penyfan, Penderyn, Glyncorwg i Maesteg.

Uwielbiał czytać książki o historii górniczego regionu. Z nich to dowiedział się, że węgiel powstał ponad dwieście osiemdziesiąt milionów lat temu. W tamtych zamierzchłych czasach lasy pokrywały cały kraj. Matecznik był tak gęsty, że wiewiórki mogły przemieszczać się od Brecon Beacons aż na brzeg morza, nie dotykając ziemi. Taki stan rzeczy trwał aż do rewolucji przemysłowej, kiedy to zachłanni fabrykanci zaczęli zamieniać potężne pnie drzew w miliony ton węgla drzewnego, wykorzystywanego do wytopu żelaza.

Młody Williams podziwiał bohaterów, których losy uwiecznione były w historycznych księgach. Śledził losy Roberta Farrera, spalonego na stosie na rozkaz Kościoła rzymskokatolickiego za to, że odmówił życia w celibacie, króla Hywela Dobrego, średniowiecznego prawodawcy, potężnego woja Brychenve'a, który spłodził dwunastu synów i dwadzieścia cztery córki, dzielnie odpierając ataki wroga na swoje włości.

Zagłębie węglowe miało swoją doniosłą, choć nie zawsze chlubną kartę w historii Walii. Ojciec Williamsa oraz jego bracia często opowiadali o trudnych czasach, gdy kopalnie były zamknięte, a zarząd walczył z górnikami, zdesperowani górnicy zaś, nie mogąc patrzeć na swoje wygłodniałe dzieci, jeden po drugim zaczęli zgadzać się na surowe warunki fabrykantów. Wkrótce

jego rodzina doświadczyła jeszcze większej tragedii - większość jej członków umarła w straszliwych mękach na pylicę płuc. Zresztą w zagłębiu mało kto dożywał trzydziestki.

Dlatego też Rhys mając dwanaście lat, postanowił pożegnać się na dobre z walijskimi kopalniami.

Swój upragniony raj odnalazł na wybrzeżu Sully Ranny Bay i Lavernock, gdzie aż roiło się od bogatych turystów. Młodzieniec pomagał więc sędziwym damom w spacerach na plażę po wąskich kamiennych schodach, dźwigał ich ciężkie kosze wypełnione jedzeniem, powoził w lunaparku w Whitmore Bay małym dyliżansem zaprzężonym w kucyki.

Od rodzinnego domu dzieliło go zaledwie kilka godzin jazdy pociągiem.

Dla niego był to zupełnie inny świat. Nigdy nie widział tak eleganckich mężczyzn i wytwornie ubranych kobiet. Był to świat jego marzeń, do którego pragnął należeć. Kiedy skończył czternaście lat, miał już wystarczającą sumę pieniędzy, aby dokonać pierwszej poważnej inwestycji. Był nią zakup biletu do Londynu.

Pierwsze trzy dni po przyjeździe do miasta spędził na spacerach ulicami potężnej metropolii. Wszystko, co widział i słyszał, przyprawiało go prawie o zawrót głowy.

Po kilku dniach otrzymał swoją pierwszą pracę. Został gońcem w sklepie tekstylnym. Oprócz niego pracowało tam jeszcze dwóch doświadczonych sprzedawców i dziewczyna pełniąca rolę młodszej ekspedientki. Serce Rhysa biło mocniej za każdym razem, gdy ich oczy się spotykały.

Sprzedawcy traktowali go jak wyrzutka. Był dla nich osobliwością - ubierał się dziwnie, nie grzeszył dobrymi manierami i mówił z tak okropnym akcentem, że trudno było go zrozumieć. Nie mogli nawet zapamiętać, jak wymawia się jego imię. Wołali więc na niego: "Rice" lub "Rye" albo "Rise".

- Nazywam się Rhys... Rhys Williams - powtarzał w kółko, poirytowany.

Jedynie dziewczyna litowała się nad nim. Miała na imię Gladys i mieszkała w małym pokoiku przy Tooting, razem z trzema innymi dziewczętami.

Pewnego dnia pozwoliła mu odprowadzić się do domu i nawet zaprosiła na filiżankę herbaty.

Trząsł się jak osika, sądząc, że spełnią się jego marzenia i dojdzie wreszcie do pierwszego zbliżenia z kobietą. Kiedy jednak po drugim łyku herbaty objął ją, spojrzała na niego zdumiona, a następnie parsknęła śmiechem i powiedziała:

- Na razie to coś, co ukryte mam pod spódnicą, wybij sobie z głowy. Na pewno nie pójdę do łóżka z obdartusem, nie mającym zielonego pojęcia o dobrych manierach.

Potem zajrzała mu głęboko w oczy i dodała:

- Będziesz całkiem do rzeczy, kiedy trochę podrośniesz.

Dobre maniery, odpowiedni strój - stało się to jego obsesją. Zapraǳał być kimś innym, lepszym, i czuł, że nie zbywa mu na wyobraźni i inteligencji, aby tego dopiąć. Kiedy spoglądał w lustro, widział nie brudnego, niezgrabnego wyrostka, lecz eleganckiego, przystojnego mężczyznę, jakim pragnał być w przyszłości.

Aby spełnić swoje marzenia, zapisał się do szkoły wieczorowej, zaczął także bywać w najlepszych publicznych galeriach sztuki. Prawie nigdy nie rozstawał się z książką i w każdy piątek biegł do teatru, aby przyjrzeć się śmietance towarzyskiej z pierwszych rzędów i z balkonu. Stale oszczędzał na jedzeniu, aby raz w miesiącu pozwolić sobie na obiad w dobrej restauracji, gdzie podpatrywał i naśladował zachowanie się innych. Nic nie uszło jego uwadze. Czynił ogromne postępy w nauce i coraz bardziej zdawał się rozumieć otaczającą go rzeczywistość. Gladys Simpkins wkrótce przestała być dla niego księżniczką. Odkrył, że jest zwykłą prowincjonalną dziewczyną, jakich wiele w każdym większym mieście.

Wkrótce na dobre pożegnał sklep z tekstyliami i przeniósł się do nowocześnie urządzonej apteki, jednej z zaledwie kilku znajdujących się w pobliżu śródmieścia.

Wyglądał dużo poważniej niż na szesnaście lat. Był wysoki i dobrze zbudowany. Pochlebstwami i walijską urodą pozyskiwał sobie przychylność klientek. Czasem kupowały dodatkowo niepotrzebną im aspirynę czy krople do nosa, aby tylko dłużej je obsługiwał.

Choć już dobrze się ubierał i prawidłowo wystawiał, nie był jeszcze w pełni usatysfakcjonowany nie był jeszcze tym Rhyssem Williamsem z łoży teatralnej, jakim widział siebie w marzeniach.

Dwa lata później został kierownikiem apteki. W dniu objęcia przez Rhysa nowej posady pojawił się nawet sam właściciel londyńskiej sieci aptek i powiedział:

- Zrobiłeś dobry początek, chłopcze. Pracuj tak dalej, a być może któregoś dnia pozwolę ci zarządzać połową moich aptek.

Williams zaśmiał się w duchu. Zarządzanie kilkoma aptekami z pewnością nie było szczytem jego marzeń. Studiował bowiem na wydziale administracyjnym, w nadziei, że kiedyś zarządzać będzie potężną korporacją.

W realizacji planów pomógł mu szef jednej z największych firm zajmujących się sprzedażą leków. Pojawił się któregoś dnia w aptece i widząc Williama otoczonego klientkami, oznajmił:

- Marnujesz się tu, mój chłopcze. Zaprowadź mnie do swojego szefa...

Dwa tygodnie później Rhys dostał posadę sprzedawcy w firmie, w której oprócz niego pracowało jeszcze pięćdziesięciu innych sprzedawców. On jednak wyróżniał się spośród wszystkich urodą, inteligencją i nienagannymi manierami.

Podróżował dużo po kraju, sprzedając i reklamując lecznicze specyfiki swojej firmy. W firmie zaczęto cenić jego rady, zwłaszcza że przynosiły wymierne zyski. Z czasem awansował na generalnego dyrektora, wkrótce przyczyniając się do znacznego rozkwitu przedsiębiorstwa.

I w ten oto sposób doszło do spotkania Rhysa Williamsa z królem farmaceutycznego imperium - Samem Roffe'em.

- Jesteś, chłopcze, podobny do mnie - oznajmił Roffe. - Chcesz rządzić światem. Ja ci pokażę, jak się do tego zabrać.

Roffe był doskonałym nauczycielem. Dzięki jego ojcowskiemu wsparciu Williams stawał się podporą potężnego imperium. Koordynował pracę setek tysięcy małych firm porzucanych po całym świecie. Wkrótce wiedział o korporacji tyle, co sam Roffe. Właściciel zresztą doceniał trafność podejmowanych przez niego decyzji, co podkreślał przy każdej okazji.

- Za ten złoty interes, jaki ubieś z rządem Wenezueli, dostaniesz królewską premię - oświadczył, gdy wracali z Caracas prywatnym, komfortowo urządzonym samolotem boeing 707.

- Nie chcę premii - odparł Williams. - Wolałbym udziały w korporacji i miejsce w zarządzie.

Wiedział jednak, że zasiadają w nim jedynie członkowie najbliższej rodziny właściciela i dla nich przeznaczone były udziały i zyski korporacji.

- Niestety, muszę ci odmówić. Doskonale znasz reguły. Nikt poza rodziną nie może zasiadać w zarządzie. Nawet dla ciebie nie zmienię naszych świętych reguł.

Williams wielokrotnie uczestniczył w posiedzeniach zarządu, lecz - mimo iż był dyrektorem - traktowano go jak gościa.

Sam Roffe był ostatnim męskim potomkiem linii Roffe'ów. Pozostałymi spadkobiercami były kobiety. To właśnie ich mężowie zasiadali w zarządzie korporacji: Walther Gassner, który poślubił Annę Roffe, Ivo Palazzi, mąż Simonetty Roffe, Charles Martel, którego poślubiła Helena Roffe, oraz sir Alec Nichols, syn Marii Roffe.

Williams, podobnie jak Sam, wiedział, że należy mu się miejsce w zarządzie. Na przeszkodzie stały jednak owe święte reguły, których nie wolno było złamać. Wszystko jednak mogło ulec zmianie. Rhys był tego świadom. Czekał więc cierpliwie. Wraz ze śmiercią Roffe'a jego nadzieje nieoczekiwanie mogły się spełnić.

Nagle lampa ponownie zabłysła oślepiającym światłem i w drzwiach stanął Hajib Kafir. Zarządzał filią "Roffe & Sons" w Turcji. Zajmował się sprzedażą produktów firmy.

Był niewysokim mężczyzną o śniadej cerze. Jego niedbały strój świadczył, że nie mógł wracać z jednego z nocnych klubów. Zapewne Sophie wyrwała go z objęć którejś z jego kochanek.



- Panie Williams - zaczął Kafir - proszę mi wybaczyć nieobecność, ale nie przypuszczałem, że nadal przebywa pan w Stambule. Miał pan przecież odlecieć najbliższym samolotem...

- Usiądź, Hajib - przerwał mu Rhys. - Wyślesz telegramy do czterech krajów. Chcę, aby doręczyli je adresatom pośłańcy naszej korporacji. Zrozumiałeś?

- Oczywiście, panie Williams.

Wzrok Rhysa przykuł nagle złoty zegarek firmy Baum i Mercier, połyskujący na nadgarstku Turka.

- O tej porze poczta główna będzie już zamknięta. Nadaj więc telegramy z Yeni Posthana Cad. Zrób to najpóźniej za pół godziny.

Po tych słowach wręczył Kafirovi kopie telegramów. Zarządca pośpiesznie przeczytał ich treść i zamarł z przerażenia.

- Co to ma znaczyć? - wyjąkał.

- Sam Roffe zginął w wypadku - odparł spokojnie Rhys.

Nagle jego myśli zaprzątnął skrywany w głębi serca wizerunek Elżbiety Roffe, córki wielkiego Sama. Miała dwadzieścia cztery lata. Rhys doskonale pamiętał ich pierwsze spotkanie, kiedy to była jeszcze piętnastoletnim zbuntowanym podlotkiem, nieśmiałym i pełnym kompleksów wywołanych nadwagą.

Odziedziczyła po ojcu inteligencję i energię. Z czasem bardzo zbliżyło ją to do ojca. On zaś przepadał za nią, tym bardziej że urodą przypominała matkę.

Williams wiedział, jak bardzo dotknie ją śmierć ojca, i dlatego postanowił przekazać jej tę tragiczną wiadomość osobiście.

## Rozdział 2

BERLIN, PONIEDZIAŁEK, 7 WRZEŚNIA, 10 RANO

Anna wiedziała, że nie powinna krzyczeć, bo Walther może wrócić i zabić ją. Skuliła się więc w rogu pokoju i, drżąc na całym ciele, oczekiwała na śmierć.

To, co zaczęło się niczym cudowna baśń, zakończyło się koszmarem.

Walther Gassner był pierwszą i jedyną miłością Anny Roffe. Ona sama była niezwykle kruchym i chorowitym dziewczęciem. Często mdlała i miewała zawroty głowy, które ustąpiły dopiero, gdy ukończyła osiemnaście lat. Całe jej życie wypełniały wizyty lekarzy z najodleglejszych zakątków świata. Była przecież córką Antona Roffe'a i największe sławy medyczne starały się jej pomóc.

Anna jako dziecko nie mogła bawić się z rówieśnikami ani chodzić z nimi do szkoły. Stworzyła więc sobie własny świat, pełen marzeń. Była nieobecna i zamknięta w sobie. Żyła we własnym świecie, do którego nikt nie miał wstępu. Kiedy ukończyła osiemnaście lat, jej niezwykle dolegliwości nagle ustąpiły, budząc ją jakby ze snu. Długa choroba upośledziła ją jednak w pewien sposób. Była w wieku, kiedy większość dziewcząt wychodziła już za mąż, ona zaś nie знаła nawet smaku pocałunku.

Nie przejmowała się jednak tym zbytnio. Nadal żyła we własnym świecie, a adorujący ją mężczyźni (była dziedziczką jednej z największych fortun) mało ją obchodzili. Otrzymywała wiele ofert matrymonialnych: od szwedzkiego hrabiego, znanego włoskiego poety i pół tuzina książy z ubogich krajów. Wszystkie te propozycje zostały przez nią odrzucone.

W dniu trzydziestych urodzin córki sędziwy Anton Roffe wrzucił ramionami i zauważył:

Umrę, nie ujrawszy upragnionego wnuka.

Walthera Gassnera poznała w Austrii dokładnie w swoje trzydzieste piąte urodziny. Był od niej młodszy o trzynaście lat. Imponował jej muskularną budową ciała i elokwencją. Nie przeszkadzało jej nawet to, że był tylko instruktorem jazdy na nartach.

Po raz pierwszy zobaczyła go, gdy zjeżdżał ze stromego stoku Hahnenkamm. Nie mogła oderwać od niego oczu. Wyglądał niemal jak młody bóg. Po pewnym czasie Walther także ją zauważył i, wykonując kilka efektownych skrętów, zbliżył się do niej.

- Zmęczyła się pani jazdą, gnadiges Fraulein? - zapytał.

Uśmiechnęła się i ku swojemu zaskoczeniu zaproponowała:

- Jestem potwornie głodna. Zapraszam pana na obiad.

Potem oblała się rumieńcem i pośpiesznie oddaliła w stronę hotelu Tennerhof. Nie była głupia. Wiedziała, że nie jest ani ładna, ani wyjątkowo inteligentna i niczego innego oprócz

nazwiska nie mogła zaoferować mężczyźnie. Wiedziała też jednak, że ma niezwykle wrażliwą osobowość. Brak urody traktowała jako pewnego rodzaju ułomność, którą rekompensowała sobie, podziwiając piękno dzieł sztuki w galeriach i muzeach. Być może dlatego niezwykle przystojny Gassner wydawał jej się właśnie takim ożywionym arcydziełem.

Następnego dnia rano Walther spotkał ją ponownie. Jadła akurat śniadanie na tarasie hotelu. Nie mogła oderwać oczu od jego jasnych włosów, białych zębów i błękitnych oczu, a jego mięśnie, które opinał narciarski kombinezon, wywoływały w niej dreszcz pożądania. Anna ukryła ręce w połach rękawów, aby Walther nie dostrzegł zrogowaceń.

- Szukałem cię wczorajszego popołudnia na wzgórzu. Chciałbym nauczyć cię jazdy na nartach. Za darmo - dodał z uśmiechem.

Później zabrał ją do Hausbergu na pierwszą lekcję. Już po pierwszym zjeździe stało się oczywiste, że nie miała talentu do narciarstwa. Mimo rozpaczliwych prób utrzymania równowagi, łądowna co chwila w śniegu. Nie rezygnowała jednak w obawie, że Walther inaczej nie będzie miał ochoty widywać się z nią. Kiedy po raz dziesiąty pomagał jej wstać, powiedział:

- Jesteś stworzona do czegoś zupełnie innego.

- Co masz na myśli?

- Dowiesz się dziś wieczorem przy kolacji.

Spędzili ze sobą kilka następnych dni. Walther zaniedbywał swoich klientów i opuszczał lekcje, urządając sobie z Anną wypadki do okolicznych wiosek. Czasem wybierali się też do kasyna Der Goldene Greif, a później, po nieprzespanej nocy, przesiadywali na tarasie hotelu, gawędząc do późnego popołudnia. Te godziny spędzone z Waltherem wydawały się jej cudownym snem. Tydzień później ujął czule jej dłonie i szepnął:

- Wyjdź za mnie, liebchen.

Tymi kilkoma słowami zburzył jej nierzeczywisty świat. Nagle uświadomiła sobie, że nie jest księżniczką z bajki, lecz trzydziestopięcioletnią, nieatrakcyjną kobietą, idealnym łupem dla łowców posagu. Próbowała wstać od stolika, ale przytrzymał ją za ręce.

- Jesteśmy dla siebie stworzeni - powiedział. - Kocham cię nad życie.

Spokojnie słuchała jego kłamstw o tym, że nikogo przed nią nie darzył równie wielką miłością. Uwierzyła mu zapewne dlatego, że bardzo tego pragnęła. Świadomie zagłuszyła głos rozsądku. Ufała, że to, co opowiadał o sobie, było prawdziwą historią jego życia.

Prawdą natomiast było, że Walther, podobnie jak ona, nigdy nie kochał. Był bękartem pogardzanym przez otoczenie. Gorąco pragnął miłości, którą obdarzał przypadkowo poznane kobiety - Już jako trzynastolatek był atrakcyjny i kobiety nie wahały się go wykorzystywać.

Wszystkie zabierały go na noc do swoich sypialni i uczyły, jak je zadowolić. W nagrodę dostawał pieniądze i smakołyki. Dawały mu wszystko, prócz miłości.

Walther był jej bratnią duszą, jej doppelganger. Wzięli cichy ślub w miejscowym ratuszu.

Anna sądziła, że jej decyzja uraduje ojca. Stało się jednak inaczej. Na wieść o jej zamążpójściu Anton Roffe wpadł we wściekłość.

- Jesteś naiwną idiotką! - grzmiał. - Ten nikczemnik jest zwykłym łowcą fortun. Stałaś się jego ofiarą. Zasięgnąłem o nim języka. Przez całe swoje podłe życie był utrzymankiem kobiet. Tyle że dotąd nie spotkał kobiety dostatecznie głupiej, aby za niego wyszła.

- Przestań, ojczel! - oponowała ze łzami w oczach.

- Przecież nic o nim nie wiesz.

Anton Roffe wiedział jednak swoje i, co gorsza, nie mylił się. Zaraz po ich przyjeździe poprosił zięcia na rozmowę.

Kiedy Walther wszedł do gabinetu, jego wzrok przyciągnęły drogie malowidła. Pokiwał głową z aprobatą i oznajmił:

- Podoba mi się tu.

- Lepsze to niż mieszkanie u którejś z twoich kochanek - odparł stary Anton.

- Słucham? - Walther przyjrzał mu się uważnie.

- Wybacz mi tę szczerość, chłopcze, ale popełniłeś błąd. Moja córka nie ma pieniędzy.

- Co pan próbuje...

- Nic nie próbuję - przerwał mu ostro Roffe.

- Nie dostaniesz od Anny złamanego szeląga, bo ona go nie ma. Gdybyś zechciał choć trochę zainteresować się jej fortuną, dowiedziałbyś się, że korporacja "Roffe & Sons" jest firmą ściśle rodzinną. Oznacza to, że udziały nie mogą być odsprzedane nikomu z zewnątrz. Wszyscy członkowie rodziny otrzymują solidne wypłaty, pozwalające im na dostatnie życie, ale nie są to zawrotne kwoty, o których marzą ludzie twojego pokroju.

Po tych słowach wyjął z szuflady dużą kopertę i położył na biurku przed Waltherem.

- To powinno ci wszystko wynagrodzić. Chcę, abyś opuścił Berlin najbliższym pociągiem i zapomniał o mojej córce.

- Czy nie przyszło panu do głowy, że ja kocham pańską córkę?

- Nie - odparł chłodno Anton.

Walther przyjrzał się mu bacznie i sięgnął po kopertę.

- Zobaczymy, ile jestem wart. - Wyjął z koperty pieniądze i przeliczył je. Po chwili dodał: - Niestety, wyceniam siebie na więcej niż dwadzieścia pięć tysięcy marek.

- To wszystko, co ci mogę dać. Powinieneś być zadowolony - odparł Anton.

Po chwili Walther włożył pieniądze do kieszeni i opuścił gabinet bez słowa.

Staremu kamień spadł z serca. Miał wyrzuty sumienia, ale tłumaczył sobie, że to, co uczynił, było wyjściem najlepszym. Nagłe zniknięcie Walthera zapewne na jakiś czas unieszczęśliwi Annę, ale lepiej, że to stało się teraz.

Postanowił dopilnować, aby tym razem poznała odpowiedniego mężczyznę w odpowiednim wieku. Jeżeli nawet nie będzie jej kochał, to przynajmniej powinien ją szanować. Musi to być ktoś, dla kogo będzie ważna i kto nie opuści jej dla nędznych dwudziestu pięciu tysięcy marek.

Kiedy Roffe wrócił do domu, już w progu powitała go płacząca Anna. Objął ją ramieniem, próbując uspokoić. Wtedy dojrzał stojącego za jej plecami Walthera.

- Spójrz, ojcze, jaki prezent dostałam od Walthera - powiedziała Anna, pokazując połyskujący na palcu pierścionek. - Kosztował dwadzieścia tysięcy marek.

Anton nie miał wyjścia, musiał zaakceptować ich związek. W prezencie ślubnym kupił im dom w Wannsee, urządzony z przepychem, pełen antyków i ogromnych szaf wypełnionych książkami. Na górnym piętrze znajdowały się oryginalne osiemnastowieczne meble, wykonane przez szwedzkich i norweskich mistrzów.

- Nie chcę już niczego więcej od twojego ojca. - Tymi słowami Walther skwitował podarek Roffe'a. - Chciałbym ci wszystko kupować sam. Szkopuł w tym, że nie mam pieniędzy.

- Jesteś w błędzie, mój drogi - odparła Anna. - Wszystko, co mam, należy do ciebie.

- Jesteś tego pewna?

- Jak najbardziej, kochanie. Dostaję regularnie pokazną sumę pieniędzy od korporacji "Roffe & Sons", za nią będziemy mogli żyć dostatnio. Niestety, większość mojego i ojca majątku znajduje się we władaniu zarządu korporacji i bez jego zgody nie możemy sprzedać naszych udziałów.

Kiedy Anna wyjawiała mu, o jak wysokie udziały chodzi, zaniemówił z wrażenia i poprosił, aby powtórzyła raz jeszcze ten astronomiczny rząd cyfr.

- I nie możesz sprzedać udziałów? - zapytał z niedowierzaniem.

- Mój kuzyn Sam nigdy nie wyraziłby na to zgody. Posiada kontrolny pakiet i o wszystkim decyduje. Ale może pewnego dnia...

Któregoś dnia Walther oznajmił Anionowi, że chciałby pracować w rodzinnej korporacji. Stary sprzeciwił się temu.

- Cóż dobrego mógłby zrobić dla firmy jakiś tam instruktor narciarstwa - powiedział Annie.

Jednak wkrótce uległ prośbom córki i dał mu posadę w administracji. Nowy członek rodziny okazał się pojętym uczniem i wkrótce awansował. Kiedy zaś dwa lata później zmarł Anton, Walther zasiadł w zarządzie.

Anna była z niego dumna. Danke, lieber Gott, był wspaniałym mężem i kochankiem. Przynosił jej kwiaty i upominki, a każdą wolną chwilę spędzał razem z nią w domu.

Dla niego nauczyła się gotować i codziennie przyrządzała mu jego ulubione dania: choucroute, duszoną cielecinę z ziemniakami czy też kielbaski Nuremberg.

- Znasz się na gotowaniu jak mało która kobieta, liebchen. - Te słowa często padały z ust Walthera, wywołując rumieniec na jej twarzy.

W trzecim roku układowego pożycia Anna zaszła w ciążę. Dzielnie znosiła ból, jaki towarzyszył jej przez całe osiem miesięcy. Była jednak zaniepokojona, choć z innego zupełnie powodu.

Któregoś popołudnia zabrała się do robienia swetra na drutach i wtedy to zapadła w dziwny letarg, z którego obudził ją dopiero głos męża:

- Mój Boże, zrobiło się już zupełnie ciemno, a ty jeszcze pracujesz?

Spojrzała na robótkę i z przerażeniem zauważyła, że nie zrobiła ani jednego rzędu. Miała pustkę w głowie i nie mogła sobie przypomnieć, co się z nią działo podczas całego popołudnia.

Od tamtej pory często zdarzały się jej podobne luki w pamięci. Zaczęła się już nawet zastanawiać, czy nie zwiastują one czasem śmierci. Nie, nie bała się umierać. Nie mogła tylko znieść myśli, że opuści Wallhera.

Miesiąc przed rozwiązaniem Anna znów niespodziewanie znalazła się w stanie dziwnego letargu i spadła ze schodów. Odzyskała przytomność dopiero w szpitalu.

- Co się stało z dzieckiem? - zapytała przerażona, patrząc na swój płaski brzuch.

Walther przytulił ją wtedy mocno i powiedział:

- Droga pani Gassner, powiła pani bliźnięta - miał łyzy w oczach - chłopca i dziewczynkę - dokończył.

Anna poczuła nieodpartą chęć ujrzenia dzieci. Pragnęła przytulić niemowlęta do piersi i rozkoszować się ich widokiem.

- Jeszcze nie teraz, kochanie. Dopiero wtedy, gdy nabierzesz sił. Tak zawyrokowali lekarze.

Ten cudowny dzień w końcu nadszedł. Anna opuściła szpital na wózku, mimo protestów z jej strony, iż jest na tyle sprawna, aby iść o własnych siłach. Pragnęła tylko jednego: jak najszybciej ujrzeć dzieci.

Kiedy przestąpili próg domu, poprosiła, aby Walther zaniósł ją do dzieciennego pokoju. On jednak sprzeciwił się, mówiąc:

- Jesteś jeszcze za słaba...

Nie dokończył, bo Anna zeskoczyła z wózka i pobiegła do dzieci.

W pokoju panował półmrok. Wiszące w drzwiach ciężkie zasłony były zaciągnięte. Musiała odczekać dobrą chwilę, zanim zdołała dojrzeć w ciemności łóżeczka. Walther próbował jej coś tłumaczyć, ale zignorowała go; nie mogła oderwać oczu od śpiących dzieci.

- Są takie piękne - wyszeptwała. - Jestem bardzo szczęśliwa.

- Chodźmy już, Anno. - Walther objął ją ramieniem i poprowadził do wyjścia. Czuł narastające podniecenie. Nie kochali się przecież już od tak dawna. Teraz powinni pomyśleć o sobie. Dla dzieci będą mieli dużo czasu potem.

Chłopcu dali na imię Piotr, a dziewczynce Brygida. Anna całymi dniami przesiadywała w pokoju dzieci, bawiła się z nimi i rozmawiała. I choć maleństwa nie rozumiały ani słowa z tego, co do nich mówiła, to jednak czuły, że je kocha. Była nimi tak zajęta, że nawet nie zauważała powrotu męża do domu.

- Czy ugotowałaś dziś obiad? - pytał zwykle Walther, choć z góry znał odpowiedź.

Dzieci były niczym magnes. Wiedziała, że zaniedbuje Walthera, i czuła się winna. Próbowала choć częściowo usprawiedliwić swoje postępowanie, tłumacząc sobie, że one są przecież częścią niego.

Każdej nocy, gdy zasypiał zmęczony po całym dniu pracy, wymykała się do dzieciennego pokoju i aż do świtu wpatrywała się w twarzyczki śpiących dzieci. Nad ranem biegła na palcach z powrotem do sypialni, bojąc się obudzić Walthera.

Pewnej nocy nie dopisało jej jednak szczęście i Walther niespodziewanie pojawił się w pokoju dzieciennym.

- Co ty tu robisz, na miłość boską?!

- Nic, kochanie. Ja tylko...

- Wracaj do łóżka, Anno!

Nigdy nie mówił do niej takim tonem. Przy śniadaniu zaproponował, aby wyjechali razem na wakacje.

- Dzieci są zbyt małe, aby znieść trudy podróży - oponowała.

- Możemy je zostawić w domu pod opieką służby.

- Wykluczone! Nie ruszę się bez nich na krok. Walther ujął jej dłoń i, patrząc w oczy, powiedział:

- Czy pamiętasz, jak kiedyś było nam dobrze razem? Kochaliśmy się, rozmawialiśmy do białego rana i nikt nam w tym nie przeszkadzał.

Patrzyła, jak mówił, i kiwała z politowaniem głową. Walther był zazdrosny o dzieci. Uważał, że skradły mu jej miłość do niego.

Czas upływał, a Walther na krok nie zbliżył się do dzieci. Nawet w dniu ich urodzin znalazł sobie wymówkę, aby nie pojawić się w domu. Anna ze łzami w oczach rozpakowywała kupione przez siebie prezenty.

Stało się rzeczą oczywistą, że maleństwa były mu obojętne. Po części za ten stan rzeczy winiła siebie. Poświęcała im zbyt dużo czasu. Stały się jej obsesją, jak mawiał Walther. Radził jej nawet udać się do lekarza. Jednak najlepszy w mieście psychoanalityk okazał się idiotą. Wiedziała, że błąd tkwi nie tylko w jej postępowaniu. Jeżeli można ją było za coś winić, to tylko za to, że zbyt mocno kochała dzieci. Walther natomiast grzeszył zupełnym brakiem zainteresowania nimi.

Z czasem starała się unikać maleństw, kiedy on był w domu. Gdy jednak wychodził do biura, pędziła do ich pokoju jak na skrzydłach.

Nie były to już niemowlęta. Skończyły przecież trzy latka. Z Lnianowłosych aniołków wyrosły dwie poważne osobki.

Piotr był wysoki jak na swój wiek i dobrze zbudowany, zupełnie jak ojciec. Często sadzała go sobie na kolanach i mówiła:

- Mój ty mały Casanovo, nie będziesz mógł się opędzić od frauleins. Bądź zawsze dla nich dobry.

Piotr w odpowiedzi uśmiechał się nieśmiało i tulił do niej.

Brygida z tygodnia na tydzień wyglądała coraz ładniej. Nie była jednak podobna ani do niej, ani do Walthera. Jej jasne włosy poskręcały się w loki, a skóra stała się delikatna i biała jak alabaster.

Piotr był żywy i impulsywny; czasami kłapsem musiała przywoływać go do porządku. Brygida, w przeciwieństwie do brata, była łagodna i spokojna.

Kiedy Walther był nieobecny, Anna puszczała dzieciom muzykę z adapteru lub czytała im baśnie o olbrzymach, chochlikach i wiedźmach. A kiedy kładła je do łóżek, śpiewała im ulubioną kołysankę:

Schlaf, Kindlein, schlaf, Der Yater hut't die Schaf...

Każdego wieczora Anna modliła się, aby Bóg zmienił stosunek męża do dzieci. Stwórca jednak okazał się głuchy na jej prośby. Walther z dnia na dzień coraz bardziej ich nienawidził. I co gorsza, podobne uczucia żywił do niej samej. Stary Anton nie mylił się: Walther poślubił ją dla



pieniędzy. Dzieci stanowiły dla niego zagrożenie. Coraz częściej namawiał ją też, aby sprzedała swoje udziały.

- Sam Roffe nie ma prawa rozporządzać twoim majątkiem - dowodził. - Odzyskasz pieniądze i wyjedziemy stąd.

- A dzieci?

- Musimy się ich pozbyć. To dla naszego dobra.

Zaczynała powoli rozumieć, że mężczyzna, którego kiedyś tak bardzo kochała, jest szaleńcem. Anna była przerażona. Walther zwolnił całą służbę oprócz sprzątaczkę, która przychodziła raz w tygodniu. Znalazła się więc z dziećmi na jego łasce. Czuła, że potrzebuje natychmiastowej pomocy. Być może nie było jeszcze za późno.

Anna siedziała na podłodze w swojej sypialni, czekając na powrót męża, który przed wyjściem z domu zamknął drzwi na klucz. Powoli wstała i chwiejnym krokiem zbliżyła się do telefonu. Zawahała się przez moment. Jednak po chwili uniosła słuchawkę i wykręciła numer policji.

- Halo. Tu telefon alarmowy policji. Czym możemy służyć?

- Tak, proszę! - powiedziała z lękiem w głosie. - Ja... - nie dokończyła, bo Walther wyrwał jej słuchawkę i rzucił na widelki.

Anna cofnęła się przerażona.

- Błagam, Waltherze, nie rób mi krzywdy!

- Liebchen, jak mógłbym cię skrzywdzić - powiedział prawie szeptem. - Przecież cię kocham.

Zbliżył się nagle do niej i dotknął jej ręki. Poczowała, jak całe jej ciało drętwieje.

- Nie chcesz chyba, aby policja zakłócała nasz spokój?

Anna w odpowiedzi potrząsnęła tylko głową, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa.

- Wszystkiemu winne są dzieci - kontynuował. - Musimy się ich pozbyć.

Nagle usłyszeli dzwonek do drzwi. Walther zawahał się, a kiedy dzwonek ponownie zaterkotał, nakazał Annie ciszę i wyszedł z sypialni, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Na dole czekał na niego posłaniec w szarym uniformie, trzymając zalakowaną kopertę.

- Specjalna przesyłka dla państwa Gassnerów.

- Dziękuję.

Walther zamknął drzwi. Przez chwilę popatrzył na kopertę i otworzył ją. W środku znajdowała się wiadomość tej oto treści: "Z żalem zawiadamiam, że Sam Roffe zginął tragicznie podczas wspinaczki w górach. Proszę o pilne przybycie do Zurychu w piątek w południe".

U dołu widniał podpis: Rhys Williams.



## Rozdział 3

RZYM, PONIEDZIAŁEK, 7 WRZEŚNIA, 6 RANO

Ivo Palazzi stał na środku sypialni, brocząc krwią.

- Mamma mia! Mi hai rovinato!

- To dopiero początek, ty obrzydliwy figlio di putana - krzyczała Donatella.

Stali oboje nadzy w ich sypialni przy Via Montemignaio. Donatella miała najbardziej zmysłowe ciało ze wszystkich kobiet, które przewinęły się przez jego życie. Mimo głębokich krwawiących ran na twarzy i całym ciele, czuł narastające na jej widok podniecenie. Dio! Ta kobieta była istną tygrysią.

Niewiele myśląc, porwał z krzesła kawałek białego materiału, który okazał się jego koszulą, i wytarł krew z twarzy. Zaczynał odczuwać mdłości, wysłuchując złorzeczeń Donatelli.

- Obyś się wykrwawił na śmierć, ty parszywy dziwkarzu!

Ivo zastanawiał się gorączkowo, jak los mógł obejść się z nim tak okrutnie. Przecież dotąd uważał się za szczęśliwca, wzbudzając zazdrość wśród przyjaciół. Był dobrym człowiekiem i nie miał żadnych wrogów.

Przed ślubem, podobnie jak wszyscy młodzi rzymianie, hołdował zasadzie: Farst onore con una } donna - W życiu mężczyzny liczą się tylko kobiety. Toteż kiedy tylko było to możliwe, wprowadzał tę zasadę w życie. Obdarzał miłością nowo poznaną dziewczynę po to, aby zapomnieć o tej, którą właśnie porzucił.

Dla niego wszystkie kobiety były piękne, zarówno stare, o pomarszczonych i upudrowanych twarzach, putane, okupujące latarnie przy Via Appia, jak i niezwykle atrakcyjne modelki, spacerujące po Via Condotti. Do jedynych niewiast, które miał w niełasce, należały Amerykanki. Były zbyt niezależne i mało romantyczne. Dostał szału, gdy słyszał, jak bliskie sercu każdego Włocha nazwisko Giuseppe Verdi tłumaczą na Joe Green.

Z kobietami postępował według wymyślonego przez siebie pięciopunktowego planu. Pierwszy etap zaczynał się zaraz po pierwszym spotkaniu. Zwykle dzwonił do dziewczyny kilka razy dziennie i obdarowywał ją kwiatami i tomikami wierszy. Podczas drugiego etapu wybranka serca otrzymywała porcelanowe puzderka wypełnione czekoladkami od Perugina. Wkrótce czekoladki zastępowała biżuteria oraz kolacje we dwoje w El Toula czy Taverna Flavia. Te, którym udało się przejść do etapu czwartego, dzieliły z nim łóżko i miały sposobność podziwiać go w roli kochanka. Jego luksusowy apartament przy Via Margutta tonął wówczas w kwiatach garofani czy papaveri i rozbrzmiewał muzyką klasyczną lub rockiem, zależnie od upodobań dziewczyny. Ivo uwielbiał etap czwarty, w przeciwieństwie do etapu piątego, kiedy to musiał wygłosić swoistą

mowę pożegnalną, wręczyć ukochanej prezent na pożegnanie i łamiącym się z żalu głosem wymówić sakramentalne *arrivederci*.

Tamto jednak należało już do przeszłości. Z przerażeniem przyglądał się w lustrze ranom na twarzy.

~ Jak mogłaś mnie tak skaleczyć, cara. Co za diabeł w ciebie wstąpił?

Mówiąc to, zbliżył się do Donatelli i wziął ją w ramiona. Zanim jednak zdołał ją przytulić, poczuł, jak jej długie paznokcie rozcinają mu skórę na plecach. Ivo syknął z bólu.

- Masz za swoje, niegodziwcze! Daj mi nóż, a odetnę ci to twoje cazzo i rzucę psom na pożarcie!

- Przestań, cara, błagam. Obudzisz dzieci.

- Nie widzę w tym nic złego. Czas, aby dowiedziały się, jakim potworem jest ich ojciec.

- Carissima - Ivo złożył ręce jak do modlitwy i ruszył w stronę Donatelli.

- Nie dotykaj mnie. Szybciej rzuciłabym się z mostu, niż pozwoliła ci zbliżyć się do mnie.

- Nigdy nie przypuszczałem, że matka moich dzieci może mnie tak znieważyć. - Ivo był wyraźnie wzburzony.

- Chcesz, abym traktowała cię jak należy i była dla ciebie miła? To daj mi to, czego chcę.

- Nie mam takiej sumy, na miłość boską.

- To zdobądź ją dla mnie! Przecież obiecałeś!

Zaczynała znowu histeryzować. Ivo zdecydował się zejść jej z drogi, zanim sąsiedzi po raz kolejny wezwą policję.

- Trochę potrwa, zanim zbiorę ten milion dolarów dla ciebie - starał się ją uspokoić - ale postaram się.

W pośpiechu wciągnął spodnie i sięgnął po zakrwawioną koszulę. Zapinając guziki, kątem oka spoglądał na biegającą po pokoju Donatellę.

- Co za kobieta - westchnął, nie spuszczać oczu z jej ogromnych, jędrnych piersi.

Czuł, jak koszula przykleja mu się do poranionych pleców.

- Carissima, jak ja się wytłumaczę z tego mojej żonie?

Ivo Palazzi był mężem Simonetty Roffe, dziedziczki włoskiej filii korporacji "Roffe & Sons". Poznał Simonettę, gdy jeszcze jako architekt nadzorował budowę jej willi w Porto Ercole. Wystarczyło, że wpadł jej w oko, a jego dni jako kawalera były policzone. Już pierwszej nocy zaliczył z Simonettą wszystkie cztery etapy, a kilka tygodni później w obecności księdza wypowiedział sakramentalne "tak".

Bez żalu też porzucił swoje dotychczasowe zajęcie i zajął się interesami korporacji w Rzymie. Szybko się uczył i był ubóstwiany przez współpracowników. Jego przyjaciele zazdrościli

mu niezwyklego poczucia humoru i ogromnej żywotności. Należał do ludzi niezwykle impulsywnych, o których mówi się, że w porywach gniewu zdolni są nawet zabić. Małżeństwo Ivo z Simonettą było niezwykle udane. Na początku Ivo sądził, że ich związek ograniczy jego wolność osobistą. Obawy okazały się jednak bezpodstawne. Wystarczyło, że znaczenie ograniczył liczbę kochanek, i mógł czuć się bezpiecznie.

Ojciec Simonetty kupił im w prezencie ślubnym przepiękną posiadłość w Oligata, otoczoną murem i chronioną dzień i noc przez umundurowanych strażników.

Simonettą była cudowną żoną i gospodynią. Kochała Ivo i uważała go za swego władcę, choć, jak sądził, nie zasługiwał na to. Miała tylko jedną wadę: była bardzo zazdrosna.

Gdy kiedyś odkryła, że z jedną z klientek spędził kilka upojnych nocy w Brazylii, wpadła w szal i stłukła wszystkie naczynia, jakie mieli w domu, z tego przeszło połowę na głowie biednego Ivo. Potem chwyciła nóż kuchenny i zagroziła, że zabije jego i siebie. Musiał się nieźle natrudzić, zanim ją obezwładnił i tuląc do siebie sprawił, że ochłonęła z gniewu. Po tym incydencie Ivo stał się niezwykle ostrożny. Miał zbyt wiele do stracenia. Simonettą była bowiem młoda, niezwykle piękna, a przy tym bardzo bogata. Mieli wspólne zainteresowania i przyjaciół. Czasem, gdy szedł do łóżka z nowo poznaną dziewczyną, zastanawiał się, dlaczego wciąż zdradza swoją Simonettę. Odpowiedź była prosta: ktoś przecież musiał uszczęśliwiać kobiety.

Donatellę Spolini poznał po trzech latach szczęśliwego małżeństwa, gdy przebywał służbowo na Sycylii. Już przy pierwszym spotkaniu padli sobie w ramiona. Jej duże, zielone oczy burzyły mu krew w żyłach, a krągłe, zmysłowe pośladki z całą pewnością przypadłyby do gustu Rubensowi, gdyby żył. Wyglądem bardzo różniła się od Simonetty, której smukła sylwetka przypominała niewiasty rzeźbione przez Manzu. Donatella okazała się wspaniałą kochanką. W jej objęciach czuł się jak uczeń.

Kiedy po zmaganiach miłosnych leżał obok niej wyczerpany, czuł, że byłby głupcem, pozwalając jej odejść.

I w ten sposób Donatella została jego kochanką. Postawiła mu tylko jeden warunek - że poza nią, no i oczywiście Simonettą, nie będzie spotykał się z żadną inną kobietą. Z żalem, ale przystał na jej żądanie. Od tamtego czasu, choć upłynęło już osiem lat, ani razu jej nie zdradził. Zresztą prawdą było, że zaspokajanie dwóch kobiet o niezwykle temperamencie wymagało od niego i tak nie lada wysiłku.

Gdy kochał się z Simonettą, myślał o miękkich pośladkach Donatelli, co dodawało mu sił w zaspokajaniu jej żądzy. Kiedy zaś pieścił Donatellę, wyobrażał sobie, że dotyka młodych piersi Simonetty i jej słodkiej cudo, sprawiając sobie niewyobrażalną rozkosz. Całej historii dodawał pikanterii fakt, że Simonettą nawet nie domyślała się istnienia rywalki.

Ivo kupił Donatelli apartament przy Via Montemignaio i spędzał z nią każdą wolną chwilę. Często oznajmiał Simonetcie, że wyjeżdża w interesach, a godzinę później już był w objęciach Donatelli. Odwiedzał ją też w drodze do biura i w czasie popołudniowych sjest.

Pewnego razu, gdy płynął z Simonettą do Nowego Jorku na "Queen Elizabeth 2", wykupił osobną kabinę dla Donatelli. Jeszcze dziś z rozkoszą wspomina tamte dni spędzone na statku.

Gdy pewnego wieczoru Simonettą oświadczyła mu, że jest w ciąży, nie posiadał się z radości. Kiedy jednak Donatella oznajmiła mu, że niedługo zostanie szczęśliwym ojcem, upuścił z wrażenia filiżankę z kawą.

"Dlaczego - pytał sam siebie - bogowie są dla mnie tak łaskawi?"

Simonettą urodziła dziewczynkę, a Donatella chłopczyka. Rozpierała go duma. Przychylność bogów nie miała granic.

Minęło kilka miesięcy i Donatella poinformowała go, że jest ponownie w ciąży. To samo uczyniła też Simonettą. Jakby się zmówiły, myślał. Dziewięć miesięcy później otrzymał w prezencie kolejnego syna od Donatelli i następną córkę od Simonetty.

Bogowie nie siedzieli z założonymi rękoma. Cztery miesiące później obie kobiety znów zaszły w ciążę. W tym samym niemal czasie urodziły kolejne maleństwa.

Ivo pędził niczym szalenciec ze szpitala Salvator Mundi, gdzie leżała Simonettą, do kliniki Santa Chiera, w której odpoczywała po porodzie Donatella. Po drodze nie omieszkął też pomachać do dziewcząt siedzących przed małymi różowymi namiotami, po obu stronach Raccordo Anulare, w oczekiwaniu na klientów. Jechał zbyt szybko, aby dojrzeć ich twarze, ale wszystkie bez wyjątku kochał i dobrze im życzył.

Donatella urodziła kolejnego chłopca, Simonettą dziewczynkę. W głębi serca Ivo pragnął, aby stało się odwrotnie. Bo czyż nie było ironią losu, że żona rodziła mu same dziewczynki, a kochanka chłopców? Nazwisko i majątek miałyby odziedziczyć po nim syn z nieprawego łoża?

Mimo wszystko jednak był szczęśliwy i dumny ze swoich dzieci. Pamiętał o ich kolejnych urodzinach, imieninach i przy każdej okazji kupował im prezenty. Sam wybrał też dzieciom imiona. Dziewczynki nazwał: Izabella, Bernadetta i Camilla, a chłopców Francesco, Carlo i Luca.

W miarę jak dzieci dorastały, życie Ivo zaczynało się komplikować. Przede wszystkim musiał zadbać o to, aby dzieci uczęszczały do różnych, z dala od siebie położonych szkół. Dziewczynki posłano do Saint Dominique, francuskiego klasztoru przy Via Cassia, a chłopców do Massimo, szkoły jezuitów w EUR. Ivo uczęszczał na wywiadówki, pomagał dzieciom w odrabianiu lekcji, towarzyszył im w zabawach, a nawet reperował popsute zabawki. Był przykładnym mężem, kochankiem i ojcem.

Boże Narodzenie spędzał zwykle w towarzystwie Simonetty, Izabelli, Bernadetty i Camilli. Szóstego stycznia, w "Befana", przebierał się za wiedźmę i udawał z prezentami do Francesca, Carla i Luki.

Ivo kochał swoją żonę, kochankę i dzieci. Po raz kolejny dziękował bogom za ich łaskawość. Ci jednak postanowili spłatać mu figła.

Pewnego ranka, po niezwykle romantycznym pożegnaniu z Simonettą, Ivo udał się jak zwykle do biura. O pierwszej oznajmił sekretarzowi (na wyraźne żądanie Simonetty zwolnił sekretarkę, że całe popołudnie spędzi na ważnym zebraniu. Chwilę później, uśmiechając się pod nosem na myśl o cielesnych uciechach w ramionach Donatelli, minął stację metra przy Lungo Tevere, przejechał most Corso Francie i po upływie godziny zaparkował samochód przy Via Montemignai.

Gdy tylko otworzył drzwi do apartamentu, od razu wiedział, że w powietrzu wisi coś niedobrego. Chłopcy płacząc tulili się do Donatelli, a ona sama spoglądała na niego z nienawiścią.

- Stromo! - krzyknęła w stronę Ivo.

- Carissima, cóż złego ja znowu uczyniłem?

- Spójrz na to! - Nie przestając trząść się z gniewu, Donatella rzuciła mu w twarz trzymaną w rękę gazetę "Oggi".

Na pierwszej stronie zobaczył dużą fotografię, na której dostrzegł siebie z Simonettą i dziewczynkami. Pod zdjęciem widniał napis: "Padre di Famiglie". Dio! Niemal zapomniał o propozycji, jaką otrzymał od redakcji magazynu, opublikowania historii jego rodziny. Kłął teraz w duchu, że tak nieroztropnie przystał na tę propozycję. Nie przypuszczał też, że fotografia jego rodziny znajdzie się na pierwszej stronie poczytnego pisma.

- Mogę ci to wytłumaczyć - powiedział, unikając wzroku Donatelli.

- Zrobili to już doskonale koledzy twoich synów - krzyknęła. - Carlo, Luca i Francesco wrócili do domu zapłakani, ponieważ w szkole wyzwali ich od bękartów.

- Cara, ja...

- Gospodyni unika nas, jakbyśmy byli trędowaci! Nie mogę ludziom spojrzeć w oczy! Opuzczam Rzym i zabieram ze sobą moich synów.

- O czym ty mówisz? Przecież to są także moje dzieci. Nie możesz tego zrobić!

- Spróbuj mnie powstrzymać, a zabiję cię!

"To nie może być prawdą" - pomyślał Ivo, spoglądając na płaczących synów i rozhisteryzowaną kochankę.

- Zanim jednak wyjadę, chcę dostać od ciebie milion dolarów.

Jej żądanie wydawało się tak absurdalne, że Ivo zareagował śmiechem.

- W przeciwnym razie zadzwonię do twojej żony - zagroziła.

Od tamtej pory minęło pół roku. Donatella nie spełniła jeszcze groźby, lecz Ivo wiedział, że może to zrobić w każdej chwili. Często dzwoniła do niego do biura, wywierając na niego presję.

- Nie obchodzi mnie, skąd weźmiesz pieniądze. Chcę je dostać natychmiast.

Istniał tylko jeden sposób na zdobycie tak wielkiej sumy: sprzedaż należących do Ivo akcji "Roffe & Sons". Na razie było to jednak niemożliwe z powodu nieprzejednanego stanowiska prezesa korporacji, Sama Roffe'a, który sprzeciwiał się sprzedaży akcji należących do rodziny.

Tego okrutnego człowieka - oburzał się Ivo

- nie obchodzi los mojego małżeństwa i przyszłość moich dzieci. Niech będzie przeklęty!

Najbardziej jednak ubolewał nad tym, że Donatella zabroniła mu wstępu do swojej sypialni. Mógł wprawdzie odwiedzać synów dwa razy w tygodniu, ale jakakolwiek próba zbliżenia się do ukochanej kończyła się siarczystem policzkiem i obietnicą, że będzie mógł popatrzeć do woli na jej piękne nagie ciało dopiero wtedy, gdy przyniesie pieniądze.

Był już u kresu wytrzymałości, postanowił więc do niej zadzwonić. Gdy odebrała telefon, usłyszała w słuchawce jego słodki szept:

- Mam pieniądze. Zaraz się u ciebie zjawię.

Zdecydował, że najpierw pójdzie z nią do łóżka, a później postara się ją ułagodzić. Udało mu się jednak ją tylko rozebrać. Gdy na pytanie, czy ma pieniądze, Donatella otrzymała wymijającą odpowiedź, wymierzyła mu policzek. Po chwili poczuł na skórze jej ostre paznokcie. Rzuciła się na niego jak dzika kocica.

Przez całą drogę od apartamentu Donatelli do rodzinnego domu przy Oligati jego obolałą głowę zaprzętały myśli o całym zajściu. Nade wszystko zastanawiał się gorączkowo, jak zdoła wytłumaczyć Simonecie, skąd wzięła się zakrzepła krew na jego ciele. Spojrzał w lustro na głębokie różowe blizny na twarzy i na zakrwawioną białą koszulę. Przyszło mu na myśl wyznać żonie całą prawdę, że zapomniał się i poszedł z Donatella do łóżka. Szybko jednak zrezygnował z tego zamiaru, bo jak tu wytłumaczyć jej istnienie aż trzech synów. Gdyby dowiedziała się prawdy, jego życie nie byłoby warte nawet jednego lira.

Musiał wrócić do domu na czas, ponieważ spodziewali się na obiedzie ważnych gości. Pewnie Simonetta zastanawiała się już, gdzie podziewa się jej ukochany mąż.

Ivo czuł bolesny ucisk w żołądku. Sytuacja wydawała się bez wyjścia. Tylko San Genaro, patron cudotwórców, mógłby mu teraz pomóc.

Nagle doznał olśnienia. Nacisnął mocno pedał hamulca i z piskiem opon zatrzymał się przy Via Cassia. Po chwili ruszył dalej. Zatrzasnąwszy drzwi samochodu przed domem, zignorował zdziwione miny strażników i pośpiesznie wszedł do holu.



- Ivo, co się stało?! - krzyknęła na jego widok przerażona Simonetta.

Ivo uśmiechnął się smutno.

- Zrobiłem głupią rzecz, cara.

Simonetta podeszła do niego i zaczęła się przyglądać ranom na twarzy. Widział, jak zwiężają się jej źrenice.

- Kto cię tak urządził? - zapytała chłodno.

- Tiberio - odparł i pokazał jej wielkiego czarnego kota, którego trzymał za plecami. - Kupiłem go dla Izabelli. Bydlak rzucił się na mnie z pazurami, gdy próbowałem schować go do koszyka.

- Pouero amore miol Połóż się, kochany. Zaraz wezwę lekarza, który opatrzy twoje rany.

- Nic mi nie jest - oponował Ivo. Simonetta zarzuciła mu ręce na szyję i próbowała przytulić się do niego.

- Ostrożnie - poprosił. - Kot poranił mi też plecy.

- Amore! Jak bardzo musisz cierpieć. W tym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi.

- Pójdę zobaczyć kto to, a ty się połóż, najdroższy.

- Nie, ja otworzę drzwi. Czekam na pilną wiadomość z biura.

- Signor Palazzi?

- Si.

- Depesza do pana.

Posłaniec w szarym uniformie podał mu kopertę z wiadomością od Rhysa Williamsa.

## Rozdział 4

BUENOS AIRES, PONIEDZIAŁEK, 7 WRZEŚNIA, 3 RANO

Tor wyścigowy, położony na peryferiach stolicy Argentyny, był tego dnia wypełniony po brzegi widzami. Odbywały się bowiem coroczne wyścigi samochodowe. Z całej masy wozów najlepszych firm po sto piętnastym okrążeniu pozostała zaledwie garstka.

Cichy szmer na widowni wyrażał przede wszystkim zachwyt dla kierowców. Obecni bowiem byli: Chris Amon z Nowej Zelandii, Brian Redman z Lancashire, Andrea di Adamici, siedzący za kierownicą alfa romeo, Carlos Maco z Brazylii - zwycięzca marcowego Grand Prix Formuły 1, a także Belg Jacky Ickx oraz Szwed Reine Wisell na BRM.

Tor wyścigowy przypominał czarodziejską tęczę, której wszystkie barwy wirowały w kosmicznym tempie. Pobliskiwały groźnie ferrari, bra-bhamsy, mclareny oraz lotusy.

Jednak przy kolejnych okrążeniach giganty światowej motoryzacji zaczynały odpadać. Chris Amon znajdował się na czwartej pozycji, gdy nieoczekiwanie przepustnica rozleciała się w kawałki. Na domiar złego zepchnął z toru jadącego obok Briana Redmana i pewnie nie wyszedłby z wypadku cało, gdyby w porę nie odciął dopływu paliwa.

Kolejnymi pechowcami okazali się Reine Wisell, prowadzący wyścig, oraz jadący tuż za nim Jacky Ickx. W samochodzie Wisella zapaliła się instalacja elektryczna, a kierowca, ratując własne życie, włączył hamulce. Jego BRM obróciło się o 360 stopni i uderzyło w ferrari Jacky'ego Ickxa.

Tłum szalał. Trzy wozy wyraźnie prowadziły w wyścigu: surtees, będący własnością Jorje Amandarisa z Argentyny, matra, prowadzona przez Nilsa Nilssona ze Szwecji, oraz ferrari 312,-należące do zawodniczki francuskiej Martel.

Francuzka do ostatniej chwili jechała nie zauważona. Potem nagle znalazła się na pozycji szóstej, następnie na piątej i kilka minut później, po efektownym wirażu, doganiała Nilssona. Samochody pędziły z szybkością 250 km/h, w miarę bezpieczną na torze w Brands Hatch czy Watkins Glen, lecz na torze argentyńskim próbowali tego jedynie samobójcy.

Ubrany na białą sędzia rozwinął szarfę z napisem: "Pięć okrążeń".

Złote ferrari próbowało minąć matrę Nilssona, ale Szwed skutecznie blokował drogę, wyprzedzając Martel o kilka centymetrów. Oboje w szalonym tempie zdystansowali Niemca. W pewnym momencie ferrari, wykonując niebezpieczny manewr po zewnętrznej stronie toru, wystrzeliło do przodu, wywołując aplauz na widowni.

Prowadził Amandaris. Na drugiej pozycji jechała Martel, a tuż za nią Nilsson.

Do końca wyścigu pozostały trzy okrążenia.

Amandaris zauważył manewr Francuzki. Uśmiechnął się butnie. Zamierzał wygrać ten wyścig i wiedział, że żadna, nawet najbardziej uparta kobieta nie może mu w tym przeszkodzić.

Tuż przed sobą zauważył sędziego trzymającego szarfę z napisem: "Dwa okrążenia". Wyścig dobiegał końca i zwycięstwo należało do niego.

Kątem oka zauważył, jak ferrari próbuje precyzyjnie się obok niego. Przez przednią szybę spostrzegł brudną twarz w okularach. Za chwilę, by utrzymać swoją pozycję, będzie musiał wykonać bardzo ryzykowny manewr. Zrobiło mu się żal Francuzki, ale nie miał wyboru. Wyścig nie jest sportem dla mięczaków.

Zbliżali się do wyjątkowo ostrego zakrętu, który przerażał nawet najbardziej doświadczonych kierowców. Amandaris raz jeszcze spojrzął za siebie i zacisnął dłonie na kierownicy. Gdy wchodził w zakręt, zdjął nogę z pedału gazu, pozwalając ferrari wysunąć się na prowadzenie.

Kibice na trybunach, krzyząc, poderwali się z miejsc. Argentyńczyk poczekał, aż ferrari zacznie się oddalać od niego po zewnętrznej stronie łuku, i z impetem nacisnął gaz. Surtees wyskoczył do przodu i odciął ferrari drogę, spychając je na potężną betonową barierę.

- Salaud! - mruknął Argentyńczyk pod nosem, widząc przerażenie malujące się na twarzy kobiety.

Martel nie dawała jednak za wygraną, kierując wóz wprost na przeciwnika. Amandaris nie wierzył własnym oczom: Francuzka ryzykowała życie, aby go pokonać. Przypominała japońskiego kamikadze, który aby zniszczyć wroga, nie waha się roztrzaskać własny samolot. "Chyba zwariowała" - pomyślał Argentyńczyk i skręcił w lewo, aby uniknąć zderzenia z ważącym tonę ferrari. Miał jednak pecha: maszyna uderzyła w barierę i stanęła w płomieniach.

Martel pomknęła samotnie w kierunku linii oznaczającej metę.

Tłum wiwatujących ludzi otoczył połyskującą złotem maszynę. W jej wnętrzu siedziała jasnowłosa Francuzka. Była spokojna i opanowana. Nie drgnęła jej powieka nawet wówczas, gdy patrząc na przerażoną twarz Argentyńczyka, posłała go na betonową barierę okalającą tor.

Wśród wrzasku ledwie było słyhać płynące z głośnika słowa sędziego:

- Zwyciężyła Helena Roffe-Martel z Francji, jadąca na ferrari.

Późnym popołudniem Helena i jej mąż Charles leżeli na miękkim, puchowym dywanie przed kominkiem w swoim apartamencie w hotelu Ritz.

Helena klęczała przed mężem w klasycznej pozycji la diligence de Lyon. On zaś powtarzał pełnym bólu głosem:

- Proszę, Heleno, nie krzywdź mnie. Błagania Charlesa potęgowały jej podniecenie. Starła się zadać mu jeszcze więcej cierpienia, z rozkoszą obserwując łzy napływające mu do oczu.

“Karzesz mnie bez powodu” - myślał. Zastanawiał się, co by uczyniła, gdyby dowiedziała się o jego knowaniach.

Charles Martel poślubił Helenę Roffe dla jej sławy i pieniędzy. Po ślubie okazało się jednak, że nie tylko pozostała przy swoim nazwisku, ale też nie dała mu żadnych praw w rozporządzaniu swoim majątkiem. Zanim zrozumiał, jak wielki błąd popełnił, było już za późno.

Kiedy poznał Helenę, był adwokatem w jednej z dużych paryskich firm prawniczych.

Poproszono go, aby zajął się dokumentacją francuskiej filii pewnej korporacji farmaceutycznej. Wtedy to właśnie doszło do spotkania z Heleną Roffe, dziką i nieokrzesaną spadkobierczynią potężnej fortuny. Gazety i magazyny uwielbiały ją. Należała do grona najlepszych narciarek na świecie. Latała własnym learjetem. Prowadziła najbardziej karkołomne wspinaczki w górach Nepalu. Brała udział w wyścigach konnych i samochodowych. Na dodatek zmieniała mężczyzn jak rękawiczki. Jej fotografie oraz plotki o nowych skandalach nieustannie pojawiały się na łamach “Paris-Match” i “Jours de France”.

Oprócz wspomnianej dokumentacji, Charles zajmował się kolejną sprawą rozwodową niesfornej Heleny. Kobieta ta nie interesowała go jednak i nie wzbudzała w nim żadnych emocji. Znał swoje miejsce i wiedział, że nie jest mu pisane być członkiem sławnej rodziny Roffe. Wkrótce jednak okazało się, jak bardzo się mylił.

Martel nie należał do błyskotliwych prawników. Był jednak kompetentny, rzetelny i godny zaufania. Nie grzeszył też urodą i nie miał zbyt ujmującej osobowości. Prowadził nieskomplikowane życie kawalera, pasjonując się zbieraniem znaczków.

Któregoś dnia szef biura, Michel Sachard, wezwał go do siebie i oznajmił, że na specjalne życzenie pani Roffe ma zająć się jej sprawą rozwodową.

- Dlaczego ja, monsieur Sachard? - zapytał zdumiony Martel.

- Skąd mogę wiedzieć - odparł Sachard. - To jedna z naszych najlepszych klientek. Zajmij się rzetelnie jej sprawą.

Przeprowadzenie piątego z kolei rozwodu Heleny nie należało do spraw najłatwiejszych. Wymagało częstych wizyt w jej domu, zbyt częstych. Ponadto kilka razy w tygodniu Helena zapraszała go na obiad do swojej willi w Le Vesinet, w soboty do opery, a w niedziele do swojego domu przy Deauville.

Charles zaczynał podejrzewać, że zainteresowanie Heleny jego osobą ma zupełnie inny charakter. Było to o tyle niezwykle, że nie należał do sfery, w jakiej obracała się ta bogata kobieta. Dla ludzi jej pokroju był nikim.

- Mam zamiar wyjść za ciebie, Charles - oznajmiła mu któregoś dnia, nie pozostawiając żadnych wątpliwości.

Jej oświadczenia zaskoczyły go. Zaczynał już wierzyć, że pozostanie sam do końca życia. Towarzystwo kobiet nie sprawiało mu przyjemności. Ponadto Helena była mu zupełnie obojętna, a - prawdę mówiąc - nawet jej nie lubił.

Przerażał go jej temperament i otaczająca ją atmosfera skandalu. Nie mógł też zrozumieć, co ona, Helena Roffe, w nim widzi.

Sądono, że jest zwolenniczką równouprawnienia kobiet, tak jednak nie było. Uważała, że mężczyźni nie są specjalnie błyskotliwi, ale jednak na tyle rozumni, aby mogli na przykład podać kobiecie ogień, otworzyć drzwi i sprawić przyjemność w łóżku. Są doskonałymi stworzeniami domowymi: sami się myją, ubierają i dbają o swoje potrzeby fizjologiczne. Czasem bywają zabawni, ale dlaczego mieliby mieć te same prawa co kobieta?

Helena sypiała z rasowymi playboyami, synami monarchów i bankierów. Nie miała jednak w łóżku Charlesa Martela. Wiedziała o nim jedno, że jest kompletnym zerem, i to ją ekscytowało. Pragnęła go mieć za wszelką cenę, jak rozkapryszona dziewczynka zabawkę, którą sobie upodobała.

Pobrali się w Neuilly. Miesiąc miodowy spędzili w Monte Carlo. Tam to właśnie Charles stracił nie tylko dziewictwo, ale i złudzenia. Musiał pogodzić się z myślą, że nie powróci do pracy w biurze prawniczym.

- Nie bądź głupcem - powiedziała panna młoda. - Nie zniosłabym życia pod jednym dachem z urzędasem. Rozpoczniesz pracę w rodzinnym interesie, a któregoś dnia przejmiesz go... razem go przejmujemy...

Helena dopięła swego. Charles zasiadł w zarządzie francuskiej filii "Roffe & Sons". Codziennie zdawał Helenie szczegółowe sprawozdanie ze swojej pracy. Ona też dawała mu wskazówki i pomagała piąć się w górę. Wkrótce były urzędas - jak go nazwała - stanął na czele zarządu filii, a po niedługim czasie zajął miejsce w zarządzie całej korporacji.

Charles od początku małżeństwa był zupełnie zdominowany przez Helenę. To ona wybierała mu krawca, kupowała buty i koszule. Za jej sprawą stał się członkiem elitarnego klubu "Jockey". Traktowała go jak fordansera. Odbierała mu pobory, dając tylko drobne kieszonkowe. Musiał ją prosić o pieniądze, kiedy potrzebował większej sumy. Wylizowała go również z czasu. Musiał stawiać się niezwłocznie na każde jej wezwanie. Upokarzanie go zdawało się ją bawić. Często dzwoniła do biura, każąc mu na przykład niezwłocznie wracać do domu, ze słoikiem kremu, którego potrzebowała, lub prosząc go o inną, równie idiotyczną przysługę.

Witała go naga w sypialni. Przy nim też objawiały się jej najdziksze żądze.

Do trzydziestego drugiego roku życia jedyną towarzyszką życia Charlesa była kaleka matka. Opieka nad nią zajmowała mu każdą wolną chwilę. Była dla niego ciężarem. Jej śmierć sprawiła mu ulgę podobną do tej, jaką odczuwa więzień wychodzący na wolność po długich latach odosobnienia. Wkrótce jednak poczuł się zagubiony. Nie interesowały go kobiety, wobec których był dziecinnie szczery.

- Mam bardzo niewielkie potrzeby seksualne - powiedział Helenie, kiedy mu się oświadczyła.

- Nie przejmuj się, kochany, seksem - pocieszała go. - Zrobię wszystko, abyś go szybko polubił.

Jednak Charles nienawidził zbliżeń, czym sprawiał jej jeszcze większą rozkosz. Śmiała się z jego słabostek, zmuszając go do robienia rzeczy, które przyprawiały go o mdłości. Uwielbiała eksperymentować w łóżku. Kiedyś, gdy właśnie przeżywał orgazm, nasypała mu lodu na genitalia. Innym razem włożyła mu do odbytu gorącą lokówkę.

Charles bał się jej i jednocześnie podziwiał ją. Była przecież nieprzeciętną kobietą i była od niego lepsza pod każdym względem. Znała prawo tak jak on. Potrafiła po mistrzowsku prowadzić interesy. Godzinami mogła dyskutować o problemach korporacji.

- Pomyśl tylko, kochanie - mówiła. - "Roffe & Sons" zatrudnia setki tysięcy ludzi na całym świecie. Niedługo będę władać imperium, które założył mój wielki pradziad.

W chwilach uniesień Helenie przychodziła ochota na najbardziej wyrafinowane gry miłosne, po których Charles długo nie mógł przyjść do siebie. Nienawidził jej i jedynym jego marzeniem było uwolnić się od niej. Jednak aby to osiągnąć, potrzebował pieniędzy.

Pewnego dnia umówił się na obiad z przyjacielem, Renę Duchampsem, który zaproponował mu współdziałanie w dużej winiarni swego wuja. Renę twierdził, że dzięki jego pomysłom mogliby w ciągu jednego roku podwoić zyski ze sprzedaży burgunda.

- Każdy z nas wyłoży po dwa miliony franków, a po winobranii zgarniemy cztery - dowodził.

"Cztery miliony franków! - myślał gorączkowo Charles. - To oznaczałoby wolność. Z taką sumą mógłbym zaszyć się na końcu świata, gdzieś, gdzie Helena nie odnalazłaby mnie. Tymczasem jednak nie mam ani grosza przy duszy".

- Zastanowię się nad twoją propozycją - obiecał, rozstając się z przyjacielem.

Myśl o zdobyciu potrzebnych pieniędzy spędzała mu sen z powiek. Nie mógł ich pożyczyć, bo Helena z pewnością zaraz by się o tym dowiedziała. Zresztą musiałby dać coś w zastaw, a wszystko, co posiadał, należało do niej: domy, obrazy, samochody oraz biżuteria.

“Bizuteria - myślał. - Te bezużyteczne świecidełka mogłyby mi pomóc. Gdyby udało się sztuka po sztuce wymienić prawdziwe brylanty na fałszywe, wtedy mógłbym dostać upragnioną pożyczkę”.

- Zdecydowałem się przystąpić do interesu - poinformował Renę Duchamps'a tydzień później.

Najpierw jednak musiał dobrać się do sejfu Heleny i wykraść klejnoty. Napawało go to przerażeniem. Nie przestawał o tym myśleć. Wszystkie czynności, zarówno w domu, jak i w biurze, wykonywał automatycznie. Nie zwracał najmniejszej uwagi na to, co działo się wokół niego.

Jego zachowanie zaczęło niepokoić Helenę. Kiedy zbliżała się do niego, bladł i drżał na całym ciele. Litowała się nad nim jak dobra pani nad losem swojego psa lub kota. Wezwała nawet lekarza, który zalecił mu kilkudniowy odpoczynek w łóżku. Po wyjściu doktora Helena przez chwilę przyglądała się mizernie wyglądającemu Charlesowi, a następnie zaczęła się powoli rozbierać.

- Nie czuję się najlepiej - zaprotestował.

- Za to ja czuję się tak dobrze, jak nigdy przedtem, kochanie.

Kiedy było już po wszystkim, miał ochotę udusić ją własnymi rękami.

Któregoś dnia Helena oświadczyła, że wyjeżdża z przyjaciółmi na narty do Garmish-Partenkirchen. Trudno było sobie wyobrazić lepszą okazję na zrealizowanie planu Charlesa.

- Masz być w domu każdego wieczora - nakazała mu. - Będę dzwoniła.

Po tych słowach trzasnęła drzwiami swojego czerwonego jensena i ruszyła w kierunku bramy. Charles czekał chwilę, a kiedy zniknęła mu z oczu, szybko pobiegł do sejfu.

Wiele razy obserwował, jak otwierała rodzinny sejf. Znał kombinację cyfr, a mimo to nie mógł otworzyć go niemal przez godzinę. Następnie drżącymi rękami wyjmował jedno po drugim welwetowe pudełeczka z drogocenną biżuterią.

Teraz musiał jak najszybciej zanieść to wszystko do Pierre'a Richaуда, najlepszego fałszerza brylantów w Paryżu. Długo tłumaczył mu, do czego potrzebne mu są fałszywe brylanty. Richaуд jednak uśmiechnął się tylko i odparł:

- Proszę pana, w tych trudnych czasach rzadko która kobieta nosi prawdziwą biżuterię.

Więc kiedy tylko mógł, zanosił drogocenny drobiazg, a jego imitację odnosił z powrotem do sejfu. Następnie pod zastaw prawdziwych kamieni pożyczył upragnione dwa miliony franko w Credit Municipal.

- Mam pieniądze - poinformował Renę Duchamps'a.

Charles dopiął swego. Został współwłaścicielem potężnej winiarni, której istnienia Helena nawet nie podejrzewała.

W sekrecie przed nią wiele czytał o uprawie winogron. Wkrótce wiedział już sporo o różnych gatunkach wina, takich jak cabernet i najbardziej popularnych sauvignon. W tej części Francji uprawiano również: gros cabernet, merlot, malbec oraz petit verdot.

Szuflady jego biurka zapełniały broszury o użyźnianiu gleby, wyciskaniu soku, fermentacji i oczyszczaniu. Spotykał się też regularnie ze swoim partnerem.

- Będzie lepiej, niż przypuszczałem - oznajmił Renę podczas któregoś ze spotkań. - Ceny wina idą w górę. Już z pierwszego zbioru dostaniemy trzysta tysięcy franków za tonę.

Charles westchnął z ulgą. Los mu sprzyjał. Czuł, że już wkrótce uwolni się od tego potwora, jakim była Helena. Teraz obok broszur o uprawie winogron zaczęły pojawiać się przewodniki po wyspach na Morzu Południowym, Wenezueli i Brazylii. Były to chyba jedyne miejsca na kuli ziemskiej, gdzie korporacja "Roffe & Sons" nie miała swoich pełnomocników. Tam Helena nie zdoła go odnaleźć. A gdyby stało się inaczej, zabije ją. Marzył o chwili, gdy obejmie dłońmi jej subtelną szyję i zaciśnie na niej palce, póki Helena nie straci tchu.

Za każdym razem, gdy poniewierała go w łóżku, powtarzał sobie w myślach: "Niedługo opuszczę cię, convasse. Wzbogacę się dzięki twoim pieniądzom i odejdę w siną dal".

Każde jej żądanie: "Szybciej, mocniej", kwitował teraz uśmiechem. Obiecywał sobie, że kiedy wydestanie się stąd, do końca życia nie spojrzy już na żadną kobietę.

Winogrona zbierano i poddawano dalszej obróbce we wrześniu. Na walory smakowe miała wpływ zarówno ilość opadów na wiosnę, jak i słoneczne dni w lecie. Zbyt wiele słońca, podobnie jak wilgoci, mogło zniszczyć zbiory.

W czerwcu w Burgundii pogoda była wyśmienita. Charles słuchał prognoz raz, a nawet dwa razy dziennie. Umierał z niecierpliwości. Tylko tygodnie dzieliły go od upragnionej wolności. Postanowił wyjechać do Montego Bay. "Roffe & Sons" nie miało swojego przedstawicielstwa na

Krwawa linia

Jamajce. Tam długie ręce Heleny na pewno go nie dosięgną. Kupi sobie mały domek na wzgórzach. Stać go będzie na służbę i dostatnie życie. Będzie się trzymał z dala od Round Hill i Ocho Rios, gdzie mógłby go zobaczyć któryś z przyjaciół Heleny.

W początkach czerwca Charles był już myślami na Karaibach. Żył przyszłością. Teraźniejszość nie miała dla niego znaczenia. Czuł się najszcześniejszym człowiekiem na świecie: winogrona rosły, a wraz z nimi fortuna Charlesa.

W połowie miesiąca zaczęło padać. Po dwóch tygodniach ulewnego deszczu gleba przypominała nasączoną gąbkę.



- Jest jeszcze szansa, że uratujemy zbiory, jeżeli przestanie padać do połowy lipca - pocieszał go Duchamps.

Lipiec jednak okazał się najbardziej deszczowym miesiącem od niepamiętnych czasów. Charles stracił wszystkie pożyczone pod zastaw biżuterii pieniądze. Z przerażeniem myślał o dniu, w którym Helena odkryje, że w sejfie zamiast brylantów są jedynie szklane paciorki.

- W następnym miesiącu lecimy do Argentyny - oznajmiła Helena. - Mam tam ważny wyścig.

Stał na trybunach i patrzył, jak pędzi po torze w swoim złotym ferrari.

“Jeżeli będzie miała wypadek i zginie, będę wolny” - myślał. Jednak los przyznał jej laur zwycięzcy, a jego obdarzył rolą pechowca.

Każde zwycięstwo wzmagało u Heleny pożądanie. Gdy tylko znaleźli się w swoim apartamencie, kazała Charlesowi rozebrać się do naga i położyć na brzuchu. Gdy odwrócił się i ujrzał przedmiot, który trzymała w ręku, zadrżał.

- Błagam, nie! - zdążył wyjąkać i nagle usłyszał głośne pukanie do drzwi.

- Senor Martel?

- Zostań tu i nie ruszaj się! - rozkazała Helena.

Następnie nałożyła szlafrok i otworzyła drzwi.

- Merde!

- Mam list polecony dla państwa Martelów. Helena wzięła kopertę z rąk posłańca i nie zwlekając otworzyła ją.

- Co to takiego? - zapytał Charles, słysząc odgłos zamykanych drzwi.

- Sam Roffe nie żyje, kochanie - odpowiedziała, uśmiechając się pod nosem.

## Rozdział 5

LONDYN, PONIEDZIAŁEK, 7 WRZEŚNIA, 2 PO POŁUDNIU

Klub "White" ma swoją siedzibę w miejscu, gdzie przecinają się ulice St. James i Piccadilly. Budynek, w którym się mieści, został wybudowany w osiemnastym wieku i przeznaczony na dom hazardu. Jest jednym z najstarszych i najbardziej ekskluzywnych klubów w Anglii. Co znamienitsi obywatele wpisują na listę członków klubu swoje dzieci tuż po urodzeniu po to, by stały się jego pełnoprawnymi członkami mając lat trzydzieści. Tak długa jest bowiem lista oczekujących.

Budynek wyróżniają szerokie łukowate okna, wychodzące na ulicę St. James. Wszystkie pokoje są przestronne, pełne zabytkowych mebli, na których upływ czasu odcisnął swoje piętno. Imponująco wyglądają skórzane sofy oraz głębokie fotele, znane połowie członków brytyjskiego rządu. Przy posiłkach spotykają się tu najbardziej wpływowi ludzie tego świata.

W klubie znajduje się sala do trik-tracka, z dużym kominkiem. Kręte schody prowadzą do jadalni, która zajmuje całe piętro. Pośrodku sali stoi potężny stół, przy którym może jednorazowo zasiąść trzydzieści osób. Pod ścianami rozstawiono pięć małych stolików. Przy jednym z nich, w rogu, pod powalą z czarnych belek siedział członek parlamentu, sir Alec Nichols, i jadł śniadanie w towarzystwie Jona Świniona.

Ojciec Nicholisa był baronetem i, podobnie jak jego dziad i pradziad, został członkiem klubu "White". Alec Nichols był szczupłym mężczyzną, pełnym uroku, mimo chłodnego, arystokratycznego wyglądu. Miał na sobie tweedową sportową marynarkę i szerokie, zaprasowane na kant spodnie. Przyjechał na spotkanie ze Swintonem z jednej ze swoich wiejskich posiadłości w Gloucestershire.

Gość ubrany był w obszerny sztruksowy garnitur, żółtą koszulę i czerwony krawat. Mężczyzna zupełnie nie pasował do stylowego wnętrza jadalni.

- Ładnie tu - stwierdził Swinton, rozglądając się dookoła.

- To prawda - odparł sir Alec. - Nic się tu nie zmieniło od czasów odwiedzin Voltaire'a.

- Kim był Voltaire?

Sir Alec spojrzał zażenowany na Swintona.

- To pewien znany Francuz.

- Rozumiem - mruknął Swinton, polykając ostatni kęs cielęciny. - Ale czas pomówić o interesach, drogi sir Nicholsie.

Swinton położył sztucze obok talerza, sięgnął po serwetkę i wytarł nią starannie usta.

- Mówiłem już panu, że potrzebuję czasu na zebranie takiej sumy.

Do stolika podszedł kelner i położył przed mężczyznami duże pudełko cygar.

- Pozwoli pan, że się poczęstuję - Swinton obejrzał dokładnie nalepkę na pudełku, cmokając przy tym z zachwytem. Następnie wyjął kilka cygar i włożył je do kieszeni. Kelner nawet mrugnięciem oka nie zareagował na ten karygodny brak dobrych manier. Zanim zdążył odejść od stolika, Swinton wyjął z pudełka kolejne cygaro i zapalił je, głęboko zaciągając się dymem.

- Dotąd moi pracodawcy byli dla pana niezwykle łaskawi. Obawiam się jednak, że powoli zaczynają tracić cierpliwość - mówiąc to, wrzucił palącą się zapałkę do kieliszka z winem, który Alec trzymał w ręku. - Doskonale wiesz, ojczulku, że potrafia być bardzo nieprzyjemni, kiedy ktoś ich rozzłości.

- Ale ja po prostu nie mam jeszcze tych pieniędzy.

- Ty nie masz pieniędzy! - Swinton zaśmiał się głośno. - Chcesz mi wmówić, że facet, którego mamuśka wywodzi się w prostej linii od wielkich Roffe'ów, właściciel rollsroyce'a i bentleya, posiadłości w Knightsbridge i farmy z kilkoma tysiącami akrów ziemi jest biedny jak mysz kościelna? A może co tydzień ustawiasz się w kolejce po zasiłek?

Sir Alec rozejrzał się dookoła zakłopotany.

- Proszę mi wybaczyć, ale nic z tego, co był pan łaskaw wymienić, nie jest na sprzedaż.

- A może ta pana słodka żonka, Vivian - Swinton mrugnął okiem - jest do sprzedania? Znam paru gości, którzy wyłożyliby za jej tyłeczek niezłą sumkę.

Pocciwy Alec oblał się rumieńcem. Imię Vivian w ustach tego gruboskórnego mężczyzny brzmiało jak bluźnierstwo. Przypomniawszy sobie jej uśmiechniętą twarz. Odkąd sypiali oddzielnie, często wstawał o świcie tylko po to, aby pójść do jej sypialni i popatrzeć na nią, póki się nie obudzi.

Vivian była wyjątkowo piękną kobietą. Miała jasne włosy, duże, błękitne oczy i alabastrową skórę. Zawładnęła jego sercem, gdy po raz pierwszy ujrzał ją na balu dobroczynnym. Podobała mu się jej żywiołowość i temperament. Czuł się przy niej młodo i nie przeszkadzało mu, że z racji wieku mogłaby być jego córką. Już następnego dnia zaprosił ją do teatru Dol. Civ, a następnie na kolację do "Mirabele". Po kolacji ona zaprosiła go do siebie. Vivian była podrzędną aktoreczką i zajmowała obskurne mieszkanie przy Notting Hill. Alecowi wydawało się ono jednak pałacem. Dopiero bowiem w jej ramionach zaznawał prawdziwej rozkoszy. Przy niej jego życie nabrało blasku.

Zabierała go na przyjęcia, na których zawsze znajdowała się w centrum uwagi. Był z tego dumny, ale jednocześnie zazdrosny o tych wszystkich młodych mężczyzn, tłoczących się wokół niej. Czasem zastanawiał się, ilu z nich oglądało ją nago.

Gdy z błahych powodów nie zjawiała się na umówione spotkania, wiedział, że ma randkę z innym mężczyzną. Wówczas zachowywał się jak głupiec. Potrafił całą noc czatować pod jej oknem, aby dowiedzieć się, z kim była.

Chcąc położyć kres udreće, postanowił poprosić Vivian o rękę. Sir Alec był świadom, że popełnia megalomanię. Wybranka nie pochodziła z dobrego domu, a jej rodzice byli ubogimi artystami w jednym z prowincjonalnych teatrów. Nie miała też wykształcenia. Swoją edukację pobierała na ulicy. I choć nie należała do osób wyjątkowo inteligentnych, sir Alec gotów był popełnić dla niej każde szaleństwo.

Vivian bez wahania zgodziła się zostać jego żoną. Po ślubie zamieszkali w jego rodzinnej posiadłości w Gloucestershire. Był to dwór z doryckimi kolumnami i długim podjazdem. Wnętrze domu było niezwykle: duży hol z kamienną podłogą i drewnianymi ścianami, biblioteka z oryginalnymi osiemnastowiecznymi półkami i piedestałami zaprojektowanymi przez Henry'ego Hollanda oraz krzesłami według projektu Thomasa Hope'a. Salon stanowił połączenie dwóch stylów: hepplewhite i chippendale; na podłodze pysznił się dywan Wiltona, a sufit zdobiły dwa szklane żyrandole Waterfurda. Obok salonu znajdowała się ogromna jadalnia, w której mogło spożywać posiłek czterdzieści osób. Sześć komfortowo urządzonych sypialni sąsiadowało z pokojami dla służby.

Po dwóch miesiącach spędzonych w posiadłości Vivian zapragnęła wyjechać z Gloucestershire.

- Chciałabyś pobyć trochę w Londynie? - zapytał Alec z nadzieją w głosie.

- Nie... Chcę tam wrócić na dobre.

Nichols ze smutkiem popatrzył na zielone łąki i stuletnie dęby, wśród których bawił się jako młody chłopiec.

- Tu jest tak cicho i spokojnie.

- Mam już po dziurki w nosie tej ciszy!

W Londynie zamieszkali w czteropiętrowej malowniczej kamieniczce w Wilton Crescent. Vivian była mu wdzięczna za to, że zgodził się przeprowadzić do Londynu, i przez kilka kolejnych nocy pozwalała mu do woli pieścić swoje ciało. Któregoś ranka oświadczyła jednak, że pragnie spać oddzielnie. Gdy zaprotestował, odparła, że nie ma zamiaru dłużej znosić jego chrapania.

- Rozumiem, kochanie! - pokiwał głową ze smutkiem.

Nie chciała dzielić z nim łóżka, bo nie był dla niej dostatecznie atrakcyjny.

Na początku, jak żony innych polityków, przychodziła do Izby Gmin i z galerii dla gości przysłuchiwała się jego wystąpieniom. Nadszedł jednak dzień, w którym, wchodząc na mównicę, ujrzał na galerii puste miejsce.

Alec za wszystko winił siebie. Vivian potrzebowała rozrywki, której nie mogli jej dostarczyć sędziwi dżentelmeni odwiedzający ich dom. Zgodził się więc, aby zapraszała swoich przyjaciół. Jednak każde takie odwiedziny okazywały się tragiczne w skutkach.

Pocieszał się myślą, że gdy urodzi dziecko, z pewnością usatkuje się. “Gdyby tak dała mi syna - marzył - byłbym najszczęśliwszym ojcem na kuli ziemskiej”. Któregoś wieczoru zdobył się na odwagę i udał się do sypialni Vivian, aby z nią o tym porozmawiać.

- Mam infekcję dróg rodnych - usłyszał. - Będą musieli usunąć mi macicę.

Alec był wstrząśnięty. Vivian przeciwnie, nie wydawała się być zbytnio tym przejęta.

- Nie bój się, kochanie - pocieszała go. - Nie zaszyją mi przecież tego najśladszego miejsca.

Alec nic nie odpowiedział. Pokiwał tylko głową i wyszedł z sypialni.

Vivian uwielbiała wydawać pieniądze. Kupowała biżuterię i ubrania. Stale zmieniała samochody na coraz to droższe.

Alec przymykał oczy na tę jej słabość. Wychowywała się w nędzy - tłumaczył sobie - i teraz pragnie mieć to, o czym marzyła. Gdyby tylko mógł, kupiłby jej wszystkie salony mody i sklepy z najdroższą biżuterią w Londynie. Niestety, znaczną część pensji, jaką otrzymywał, pochłaniały podatki. Nie mógł też dysponować częścią dużego majątku, jaki mu przypadał, bez zgody Sama Roffe'a. Próbował wytłumaczyć to Vivian, ona jednak nie wykazywała najmniejszego tym zainteresowania. Rozmowy o interesach nudziły ją.

O jej zamiłowaniu do ruletki dowiedział się od Toda Michaelsa, właściciela znanego kasyna w Soho. Któregoś dnia Michaels wybrał się do Aleca z wizytą.

- Pana żona jest mi winna tysiąc funtów, sir Alec. Miała wyjątkowego pecha przez ostatnich kilka wieczorów.

To odkrycie wstrząsnęło nim. Po uregulowaniu długu postanowił porozmawiać z Vivian.

- Żyjesz, kochanie, ponad stan - powiedział.

W odpowiedzi zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego. Po cudownej nocy spędzonej w jej ramionach gniew minął bezpowrotnie.

Po niedługim czasie Tod Michaels ponownie złożył wizytę sir Alecowi. Tym razem Alec musiał zapłacić aż pięć tysięcy funtów.

- Jakim prawem pożyczasz jej pan pieniądze? - był zupełnie wytrącony z równowagi.

- Jak śmiałym odmówić. Jest przecież pańską żoną.

- Nie mam przy sobie tak dużej kwoty. Będzie pan musiał poczekać.

- Proszę się nie zamartwiać. Może pan zwrócić pieniądze w późniejszym terminie.

- To miło z pana strony - sir Alec odetchnął z ulgą.

Jego spokój nie trwał długo. Dokładnie miesiąc później dług Vivian zwiększył się do dwudziestu tysięcy funtów. Nichols był przerażony. Od tej ogromnej kwoty Michaels doliczał odsetki w wysokości 10 procent tygodniowo. Było wykluczone, aby Alec kiedykolwiek mógł zdobyć taką sumę pieniędzy. Nie mógł przecież niczego sprzedać. Domy, antyki, samochody były własnością korporacji.

Jego gniew przeraził Vivian do tego stopnia, że przyrzekła zapomnieć o ruletce. Było jednak za późno. Alec znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Nie miał z czego spłacić długu, nie mówiąc już o odsetkach, które rosły w zastraszającym tempie.

O spłatę pożyczki Michaels upominał się dopiero po roku. Wysłał do Aleca jednego ze swoich pseudokomorników. Wówczas sir Nichols zagroził, że pójdzie na policję.

- Mam przyjaciół w ministerstwie spraw wewnętrznych - oznajmił bandzirowi.

- A my w niebie, dokąd od czasu do czasu posyłamy naszych opornych dłużników.

- Oddałem wam już wszystkie swoje oszczędności, panie Swinton.

- Wystarczyło tego zaledwie na odsetki.

- Chcecie ze mnie zedrzeć skórę - rzucił podniesionym głosem, zapominając, że rozmowa toczy się w klubie. - Nie dostaniecie ode mnie już ani szylinga!

- W porządku, przekażę szefowi pańską odpowiedź. - Swinton podniósł się wolno z krzesła.

- Niech pan usiądzie.

Mężczyzna z widocznym wahaniem posłuchał prośby Aleca.

- Na przyszłość radzę nie drażnić się ze mną

- ostrzegł. - Jedno słowo szefa, a przyjaciele znajdą pana z kolanami przybitymi do podłogi.

Alec wiedział, że Swinton nie żartuje. Karę, o której wspominał bandzirowi, wymyślili dla swoich dłużników bracia Kray. A ludzie, z którymi z winy Vivian miał teraz do czynienia, byli z całą pewnością jeszcze gorsi.

Czuł, jak zasycha mu w gardle.

- Nie mam więcej pieniędzy - wyjąkał.

- A udziały w "Roffe & Sons"? - Swinton strzepnął popiół z papierosa do kieliszka Aleca.

- Czyżby zapomniał pan o nich?

- Nie zapomniałem, panie Swinton. Szkopuł w tym, że nie mogę ich sprzedać.

- A dlaczego to?

- Bo Sam Roffe się temu sprzeciwia. To właściciel przeszło połowy akcji i tylko on może zdecydować o losie całej firmy.

- Nie próbował pan nakłonić go do zmiany decyzji?
- Wielokrotnie. Niestety, na próżno.
- Może powinien pan skorzystać z naszej pomocy?

Nichols zbladł.

- To wykluczone! Niech pan przekaze Michaelsowi, że zdobęde dla niego pieniądze, tylko przestańcie mnie nachodzić.

- Nachodzić?! - Swinton udał zaskoczenie. - Składamy panu jedynie przyjacielską wizytę. Kiedy puścimy z dymem pana stajnie, dom, a może też upieczemy na różowo milutką Vivian, wówczas będzie to oznaczać, że pana nachodzimy. Co pan na to? - Uśmiechnął się szyderczo.

- Na miłość boską! - Alec czuł, że za chwilę straci przytomność.

- Żartowałem tylko, panie Nichols. Tod Michaels jest przecież pana przyjacielem i nie mógłby pana skrzywdzić. Wie pan, co powiedział dziś rano, przed moim przyjściem do pana? "Sir Alec jest porządnym człowiekiem i wkrótce odda nam pieniądze. I jeśli się zgodzi, możemy mu pomóc zgromadzić odpowiednią kwotę".

- W jaki sposób chcecie mi pomóc? Swinton wzruszył ramionami.

- No cóż, jest pan współwłaścicielem wielkiej korporacji farmaceutycznej i pańska firma zapewne produkuje kokainę. Gdyby tak kilka transportów tego medykamentu zawieruszyło się gdzieś po drodze?

- Pan chyba oszalał! Nigdy nie zrobiłbym czegoś podobnego.

- Jeszcze pan nie wie, do czego zdolni są ludzie w sytuacji bez wyjścia. - Po tych słowach Swinton wstał z miejsca. Zanim jednak odszedł od stołu, dodał: - Następnym razem pogadamy o dostawie narkotyku. Chyba że wcześniej spłaci pan dług. Do zobaczenia. Proszę też przekazać ukłony Vivian.

Joe Swinton wrzucił do maselniczki tłące się jeszcze cygaro i skierował się do wyjścia.

"Jak mogłem dopuścić, aby ludzie tego pokroju wkroczyli w moje życie" - pomyślał Alec.

Siedział zasepiony. Zrozumiał nagle, że wpadł w sidła zastawione przez gangsterów, a pieniądze, które był im winien, stanowiły jedynie wymówkę. Gangsterom zależało jedynie na dostępie do korporacji. Mieli go w garści. Jeżeli opozycja w parlamencie dowie się o wszystkim, Alec straci przywileje, zostanie wydalony ze swojej partii i przeniesiony do Children Hundreds, gdzie będzie otrzymywał zawrotną sumę stu funtów tygodniowo.

Najlepszym rozwiązaniem było zapłacić gangsterom żadaną sumę i odetchnąć z ulgą. Gdyby tak Sam Roffe zgodził się na sprzedaż akcji...

- Wybij to sobie z głowy, Alec! - powiedział Sam. - Nie możemy dopuścić, aby ktoś spoza rodziny mówił nam, jak mamy prowadzić nasze interesy. Ci ludzie z czasem chcieliby zapewne

przejąć firmę. A właściwie dlaczego tak bardzo zależy ci na sprzedaży akcji? Wypłacamy ci przecież wysoką pensję i z pewnością, podobnie jak pozostałym członkom rodziny, nie brakuje ci pieniędzy.

Przez moment Nichols chciał zwierzyć się Samowi ze swojej beznadziejnej sytuacji. Doszedł jednak do wniosku, że takie wyznanie bardziej by mu zaszkodziło, niż pomogło. Sam Roffe, podobnie jak inni biznesmeni, uważał, że w interesach nie ma miejsca na litość. Sam był skłonny wykluczyć Aleca z rodziny, gdyby dowiedział się, że jego postępowanie zniesławiło jej dobre imię i zagroziło reputacji "Roffe & Sons". Sam był ostatnią osobą, do której Nichols zwróciłby się o pomoc.

- Przepraszam pana - głos kelnera wyrwał go z zadumy - ale obecny tu posłaniec - wskazał na stojącego obok mężczyznę w szarym uniformie - chciał osobiście wręczyć panu depeszę.

- Dziękuję - odparł Alec i odebrał z rąk posłańca kopertę. Po chwili otworzył ją i przeczytał znajdującą się w niej wiadomość.

Długo siedział zapatrzony gdzieś daleko, w przestrzeń. "Boże, ulitowałeś się nade mną" - powtórzył po raz kolejny w myślach, a w jego oczach pojawiły się łzy.



## Rozdział 6

NOWYJORK, PONIEDZIAŁEK, WRZEŚNIA, 11 RANO

Prywatny boeing 707 podchodził do lądowania w porcie lotniczym Kennedy'ego.

Rhys Williams odetchnął z ulgą. To była długa i niezwykle męcząca podróż. Pomimo wyczerpania, nie mógł zmrużyć oka. Zbyt mocno jeszcze odczuwał obecność Sama. Przypominał mu go każdy nawet najdrobniejszy szczegół na pokładzie samolotu.

Rhysowi nie dawała też spokoju czekająca go wizyta u Elżbiety Roffe. Uprzedził ją telefonicznie o swoim przyjeździe, jednak nie podał powodu, dla którego chciał się z nią spotkać. Byłoby nieludzkie powiadamiać ją o śmierci ojca przez telefon.

Na dworcu czekała na niego limuzyna. Kierowca poinformował Rhysa, że pani Roffe pragnie spotkać się z nim jak najszybciej.

Za każdym razem, gdy ją widział, był na nowo oczarowany jej urodą: czarnymi jak węgle oczami, białą, niemal przezroczystą skórą i kruczoczarnymi włosami. Była kobietą niezwykle atrakcyjną i w niczym nie przypominała podlotka, który do niedawna wybiegał mu na spotkanie.

- Wejdz, Rhys - powiedziała otwierając drzwi i poprowadziła go do biblioteki wyłożonej dębową boazerią.

- Czy Sam przyleciał z tobą? - zapytała łagodnie.

Nie miał wyjścia, musiał powiedzieć jej prawdę.

- Sam uległ wypadkowi, Liz. - Spostrzegł, jak krew odpływa jej z twarzy. Bez słowa czekała, aż dokończy. - Zginął na miejscu.

- Jak to się stało? - zapytała niemal szeptem.

- Nie znam jeszcze wszystkich szczegółów. Wiem tylko, że wspinał się na Mont Blanc, w pewnym momencie zerwała się lina i runął w przepaść.

- Czy znaleziono... - nie dokończyła, zaciskając powieki.

- Nie. Przepaść jest zbyt głęboka. Dobrze się czujesz? - zapytał, widząc, jak blednie.

- Nic mi nie jest - uśmiechnęła się. - Napijesz się kawy?

Spojrzał na nią zaskoczony. Po chwili jednak zrozumiał, że jest w szoku.

- Jak mogło mu się to przydarzyć? Przecież na wspinaczce znał się jak mało kto. Już raz wspinał się na Mont Blanc.

- Liz...

- Byłeś tam z nim i wiesz dobrze, że mówię prawdę.

Nie protestował. Pozwolił jej się wygadać. Własne słowa działały na nią kojąco. Starła się za wszelką cenę odwlec moment, w którym będzie musiała stawić czoło nieszczęściu.

- Chcesz, abym wezwał lekarza? Da ci coś na uspokojenie.
- Nie trzeba, Rhys. Jestem tylko trochę zmęczona. Muszę się położyć.
- Czy mam zostać z tobą?
- Nie, to nie będzie konieczne. Elżbieta odprowadziła go do drzwi i spokojnie patrzyła, jak

wsiada do samochodu.

- Rhys?
- Słucham.
- Dziękuję, że przyjechałeś.

Elżbieta przez kilka godzin leżała nieruchomo, wpatrując się w sufit. Była pogrążona w rozpacz i nic nie mogło uśmierzyć bólu, jaki odczuwała. Myślami uparcie powracała w przeszłość, przywołując w pamięci obraz ojca, aż do chwili, gdy widziała go po raz ostatni.

W pewnej chwili zadzwonił telefon. Elżbieta odruchowo podniosła słuchawkę w nadziei, że usłyszy głos ojca. I wtedy tym boleśniej dotarło do niej, że już nigdy go nie ujrzy, że Sam już nigdy do niej nie zadzwoni.

“Przepaść bez dna” - słowa Rhysa huczały jej w głowie. Zamknęła oczy, próbując pozbierać skołatane myśli.

## Rozdział 7

Narodziny Elżbiety Rowane Roffe były podwójną tragedią. Na stole połoźniczym zmarła jej matka. Jeszcze większym jednak dramatem był fakt, że urodziła dziewczynkę. Nadzieje Sama, że spadkobiercą jego potężnej fortuny zostanie syn, rozwiały się w jednej chwili.

Patrycja, żona Sama, była kobietą wyjątkowej urody. Poślubiła Sama z miłości. Inne kobiety, które chciały się za niego wydać, widziały w nim jedynie prezesa ogromnej korporacji i właściciela wielomiliardowego majątku. Patrycja popełniła jednak błąd. Sam traktował małżeństwo z nią jak kolejne handlowe zobowiązanie. Nie miał czasu ani ochoty przebywać na łonie rodziny. Nie było dla niego niczego ważniejszego od "Roffe & Sons". Całe swoje życie poświęcał korporacji i wymagał tego samego od innych. Patrycja była dla niego warta tyle, ile mogła wnieść do jego majątku. Chciał, aby była idealną żoną i gospodynią, i nie zawiódł się.

Powierzone jej role wykonywała znakomicie. Sam nie kochał jej i ona z czasem nauczyła się nie okazywać mu uczuć. Czuli się pracownikami "Roffe & Sons". Wiedziała też, że dla Sama znaczy tyle, co któraś z jego sekretarek. Towarzyszyła mu podczas wszystkich spotkań, zawsze gotowa zająć się gośćmi.

Bardzo dbała o własny wygląd. Dzięki spartańskiej diecie zachowała idealną figurę. Doskonale leżały na niej stroje Novell z Nowego Jorku, Chanel z Paryża, Hartnell z Londynu czy młodej Sybil Connolly z Dublina.

Przywiązywała też wielką uwagę do biżuterii. Specjalnie dla niej Jean Schlumberger i Bulgari projektowali brylantowe kolie.

W jej życiu nie było jednak miejsca na radość. Praca, puste i monotonne dni. Dopiero ciąża odmieniła wszystko. Sam był ostatnim męskim potomkiem rodziny Roffe i z tego powodu tak bardzo pragnął syna.

Patrycja miała teraz wrażenie, że los Sama spoczywa w jej rękach. W ciągu tych kilku miesięcy ciąży jej notowania wzrosły tak bardzo, że można je było porównać do wartości akcji "Roffe & Sons" na światowych giełdach. Była królową, która lada dzień powije księcia, a ten w przyszłości zostanie władcą farmaceutycznego imperium.

Kiedy jechała na salę porodową, Sam klasnął w dłonie i powiedział:

- Dziękuję, Patrycjjo. Zrobiłaś to, co do ciebie należało.

Pół godziny później zmarła wskutek rozległych zatorów w naczyniach krwionośnych.

Bogu dzięki, że nie dowiedziała się, jak bardzo rozczarowała męża.

Sprawy związane z pogrzebem tylko na krótko oderwały Sama od pracy. Na małą Elżbietę nie zdążył nawet popatrzeć. Nie miał już na to czasu. Wkrótce została jej przydzielona niania, pierwsza z wielu, jakie zajmowały się nią w dzieciństwie.

Do piątego roku życia rzadko widywała ojca. Był tylko gościem, który pojawiał się od czasu do czasu i prawie natychmiast wyjeżdżał. Życie upływało mu na podróżach i córkę traktował jak podręczny bagaż, który trzeba przewieźć i złożyć w bezpiecznym miejscu. Często zdarzało się, że jednego dnia Elżbieta pluskała się w basenie na zapleczu domu w Long Island, a już następnego piastunka w pośpiechu pakowała rzeczy, aby przewieźć ją do willi w Biarritz z pięćdziesięcioma pokojami, po których nieustannie błądziła. Czuła się jak przybysz, który pojawia się w miejscach, gdzie nikt na niego nie czeka.

Gdy dorosła, zrozumiała, co to znaczy być córką wielkiego Sama Roffe'a. Podobnie jak jej matka, była jego ofiarą.

Otoczający ją ludzie darzyli ją miłością proporcjonalną do kwoty wynagrodzenia, jakie otrzymywali od tego obcego mężczyzny, którego nazywali jej ojcem. Mężczyzny, dla którego poza korporacją nie liczyło się nic.

Patrycja zdolna była zaakceptować taki porządek rzeczy. Dla Elżbiety jednak było to nie do zniesienia. Czuła się niekochana i niechciana. Co gorsza, obwiniała samą siebie za obojętność ojca. Starła się więc za wszelką cenę zwrócić jego uwagę, malowała akwarelami jego podobizny, rysowała domy i ogrody, lepiła z gliny śmieszne popielniczki. Wszystkie te prace przechowywała pieczołowicie do powrotu Sama z kolejnej podróży. Pragnęła, aby choć raz powiedział, że to, co dla niego zrobiła, jest piękne, że ma wyjątkowy talent.

Dygocząc na całym ciele, kładła mu na kolanach rysunki i w skupieniu czekała, co powie. On jednak kiwał tylko obojętnie głową i prawie natychmiast zabierał się do przeglądania przywiezionych ze sobą dokumentów. Dziecięce prace córki były dla niego jedynie bezużytecznymi kartkami papieru poplamionymi farbą.

Czasem podczas jego nieobecności zakradała się do gabinetu, gdzie najczęściej przesiadywał. To tu, mówiła sobie, mój tata podpisuje ważne dokumenty, dzięki którym rządzi światem. Z namaszczeniem dotykała brzegów ogromnego dębowego biurka i wspinała się na stojący przy nim fotel. Wydawało jej się, że gdy przebywa wśród przedmiotów należących do ojca, on sam staje się jej bliższy.

Pewnej nocy Sam wrócił nieoczekiwanie i zastał ją w swoim gabinecie.

- Elżbieto, co ty tu robisz w środku nocy? - zapytał. Nie doczekawszy się odpowiedzi, wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

Później długo nie mogła zasnąć. Wciąż przypominała sobie to, jak ją niósł i co jej powiedział.

Od tamtej pory co noc schodziła do gabinetu ojca w nadziei, że on ją znów tam zastanie i zanieśie do sypialni. Jednak na próżno. Ten pamiętny wieczór nigdy się już nie powtórzył.

Nikt nie rozmawiał z nią o matce. Jej dużych rozmiarów portret wisiał w holu. Elżbieta często patrzyła na obraz, a następnie porównywała wizerunek matki z własnym wyglądem. To porównanie wypadło zdecydowanie na niekorzyść Elżbiety. Miała nieproporcjonalnie długie ręce i wyglądem przypominała mityczną Chimery. "Nic dziwnego, że ojciec mnie unika" - myślała. Postanowiła przybrać na wadze. Wmówiła sobie, że jeżeli będzie otyła i brzydka, nikt nie będzie porównywał jej z matką.

Gdy skończyła dwanaście lat, rozpoczęła naukę w prywatnej ekskluzywnej szkole, znajdującej się we wschodniej części Manhattanu. Przyjeżdżała na lekcje srebrnym rolls-royce'em, który prowadził ubrany w uniform szofer.

Podczas zajęć siadywała w ławce osobno i przez cały dzień słowem nie odzywała się do nikogo. Nigdy nie zgłaszała się do odpowiedzi na ochotnika. Kiedy zaś ją wrywano, podawała mylne rozwiązania i odpowiedzi. Wkrótce wszyscy nauczyciele zaczęli jej unikać. Uważano, że jest zepsuta i źle wychowana. W corocznym poufnym raporcie do dyrektora szkoły jej wychowawca napisał:

"Elżbieta Roffe poczyniła bardzo słabe postępy w nauce. Izoluje się od reszty klasy i nie chce czynnie uczestniczyć w zajęciach szkolnych. Trudno powiedzieć, czy jest to wynik jej złej woli, czy też zadania są dla niej zbyt trudne. Jest arogancka i egoistyczna. Gdyby nie to, że jej ojciec pomaga naszej szkole finansowo, byłbym za tym, aby ją natychmiast usunąć".

To, co napisano w raporcie, odbiegało całkowicie od prawdy. Elżbieta nie mogła poradzić sobie z samotnością. Własne kompleksy powstrzymywały ją przed zawieraniem przyjaźni. Nie chciała też, aby ktokolwiek odkrył, że wychowywała się w domu, w którym nikt jej nie kochał. Była chorobliwie nieśmiała i tę właśnie cechę odbierano mylnie jako przejaw jej arogancji.

Żyła w przekonaniu, że nie należy do świata, którym rządzi jej ojciec. "Nie zasługuję - przekonywała samą siebie - aby wożono mnie w tej przepięknej limuzynie". Nie chciała głośno odpowiadać na pytania, bo bała się zwracać na siebie uwagę. Czyniła tak, choć знаła prawidłowe odpowiedzi, podobnie zresztą jak rozwiązania najtrudniejszych nawet zadań.

Elżbieta uwielbiała czytać. Pożerała książki, ślęcząc nad nimi do późna w nocy. Jednym z wielu powodów, dla których trzymała się stale na uboczu, było to, że lubiła pogrążyć się we własnych rozmyślaniach. Marzyła wówczas najczęściej, że jest z ojcem w jego biurze w Paryżu.

Biuro jest potężne jak katedra świętego Patryka. Ludzie tłoczą się wokół ojca, trzymając w ręku dokumenty do podpisu.

- Nie widzicie, że jestem zajęty - słyszy nagle z jego ust. - Rozmawiam przecież z moją córką Elżbietą.

Czasami marzyła, że razem z ojcem zjeżdżają na nartach z jednego z najbardziej stromych stoków w Szwajcarii. Czuła, jak mroźny wiatr smaga jej twarz. W pewnym momencie ojciec traci równowagę i, krzyząc z bólu, pada na śnieg, łamiąc sobie nogę.

- Nie martw się, tatusiu - pociesza go wówczas. - Zaopiekuję się tobą.

Potem dzwoni do szpitala, krzyząc w słuchawkę:

- Pośpieszcie się, mój tata miał wypadek.

Po chwili przyjeżdża karetka i Elżbieta pomaga sanitariuszowi nieść rannego ojca na noszach. W szpitalu nie odchodzi na krok od jego łóżka, karmiąc go i poprawiając pościel. Nagle obok nich pojawia się jej niezwykła matka.

- Nie możemy teraz rozmawiać, Patrycj - mówi Sam. - Jest u mnie Elżbieta.

Marzyła też, że kiedyś wyjadą na Sycylię i ojciec poprosi ją, aby ugotowała dla niego obiad. Potem usłyszy z jego ust:

- Twoje posiłki są o wiele smaczniejsze od tych, które przyrządzała twoja matka.

Sceny z ojcem kończyły się najczęściej w momencie, kiedy w miejscu, w którym przebywali, pojawiał się niezwykle przystojny mężczyzna i prosił ją o rękę. Wtedy ojciec błagał ją, by go nie opuszczała. Mówił ze łzami w oczach, że kocha ją nad życie i że jej potrzebuje. Ona zaś wspaniałomyślnie zgadzała się, że pozostanie z nim.

Często wracała wspomnieniami do willi na Sycylii, gdzie spędziła najwcześniejsze lata dzieciństwa.

Przestronny i niezwykle kolorowy budynek stał na skalach. Rozciągał się stamtąd wspaniały widok na góry, zielone pola uprawne i błękitną toń Morza Tyrreńskiego. Cała okolica pachniała morskim powietrzem, białymi i żółtymi macchia, legendarnymi kwiatami, ubóstwianymi przez Napoleona. Rosły tam też dwumetrowe krzewy corbeccola, których czerwone owoce przypominały smakiem truskawki, oraz olbrzymie dęby guarcias, z których wyrabiano korek.

Elżbieta uwielbiała przysłuchiwać się "śpiewającym skałom". Były to potężne bloki granitowe z wydrążonymi otworami. Przelatujący przez nie wiatr wydawał dźwięki przypominające zawodzenie. Z czasem doskonale wiedziała, kiedy wieje ciepły wschodni wiatr śródziemnomorski, wydający gardłowe dźwięki - ponente, a kiedy grecale - wiatr północny. Jak wszyscy mieszkańcy Sycylii, bała się gorącego sirocco, niosącego ze sobą drobinki piasku z Sahary.

Willa była solidną kamienną budowlą. Wewnątrz marmurowe kolumny wspierały sklepienie. Budynek miał kilka pięter. Na każdym z nich znajdowały się duże, wygodne pokoje z kominkami i balkonami. Z jadalni i pokoju stołowego rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na całą wyspę.

Meble w większości były wykonane przez miejscowych rzemieślników: proste i wygodne. W oknach wisały białe zasłony, zrobione ręcznie przez kobiety z Costa Smeralda. Na uwagę zasługiwały drewniane mozaikowe podłogi cerasarda, które kładli najlepsi stolarze z Sardynii i Tuscany. Efektem pracy miejscowych rękodzielników były zaś duże wełniane dywany w tradycyjne miejscowe motywy, które zdobiły podłogi w sypialniach i łazienkach.

Na ścianach w holu i w pokojach wisały dzieła francuskich i włoskich impresjonistów, a w jadalniach duże portrety Samuela i Tereni Roffe - jej wielkiego pradziada i prababki.

Elżbieta najbardziej lubiła przesiadywać w pokoju na wieży, do którego dojść można było jedynie wąskimi schodami. Był to gabinet ojca. Na środku stało duże biurko i skórzany obrotowy fotel. Tutaj miejsce obrazów zajmowały mapy z zaznaczonymi filiami korporacji. Duże oszklone drzwi prowadziły na balkon, skąd rozciągał się przepiękny widok na strome morskie skały, o które z głośnym hukiem rozbijały się fale.

To właśnie tu, w gabinecie ojca, mając trzynaście lat, Elżbieta poznała historię swojej rodziny.

Pewnego dnia, gdy ojciec pojechał w interesach do Olbi, Elżbieta postanowiła przejrzeć stare manuskrypty, które Sam trzymał w szklanych gablotach. Był wśród nich rzadki łaciński rękopis z XV wieku, nazywany "Circa Instans", oraz inny, noszący nazwę "De Materia Medica".

Elżbieta postanowiła sprawdzić swoje wiadomości z łaciny. Otworzyła więc jedną z gablot i sięgnęła po stary wolumin. Gdy go uniosła, spostrzegła kolejny, mniejszy, oprawiony w skórę.

Zaintrygowana odkryciem, wyjęła go i położyła na biurku. Była to biografia jej pradziada, Samuela Roffe, pisana po angielsku. Księga nie posiadała tytułu ani daty powstania. Pożółkłe stroniczki zdradzały jednak, że pochodzi przynajmniej z początków stulecia. Nie był to rękopis. Wydano ją drukiem, zapewne w jednej z prywatnych drukarni.

Dotykając wyblakłych stronic, myślała o wiszących w jadalni portretach przodków ubranych w niemodne już stroje. Mężczyzna na portrecie nie był przystojny. Emanowała z niego jednak niezwykła siła i upór. Miał siwe włosy i błękitne oczy, a wydatne kości policzkowe zdradzały jego pochodzenie. Kobieta, w przeciwieństwie do mężczyzny, była niezwykle urodziwa. Elżbieta podziwiała jej czarne, połyskujące włosy, nieskazitelnie białą cerę i duże czarne oczy. Prababka Terenia była ubrana w długą, białą suknię. Ramiona jej okrywał kaftan z brokatu.

Elżbieta zastanawiała się, czy tak właśnie wyglądali, gdy żyli w krakowskim getcie, opisywanym na pierwszych stronicach tajemniczej księgi. Z nich też dowiedziała się, że założyciel korporacji “Roffe & Sons” uwielbiał za młodu przygody i był romantykiem oraz... mordercą.



## Rozdział 8

W 1855 roku, podczas pamiętnego pogromu w getcie, zginęła matka Samuela Roffe. Miał wtedy pięć lat. Cudem uniknął śmierci, przebywając wraz z innymi dziećmi w piwnicy domu, w którym mieszkali.

Wyszedł z ukrycia kilkanaście godzin po masakrze i, słaniając się na nogach, zaczął szukać matki. Wokół płonęły budynki, a obłoki czarnego dymu przesłaniały niebo. Ludzie, przekrzykując się nawzajem, poszukiwali ocalałych członków rodzin. Niektórzy próbowali ratować z pożogi dobytek.

Kraków miał wprowadzić własną straż pożarną, ale nie miała ona wstępu na teren żydowskiego getta. Gaszono więc pożar wiadrami, które podawano sobie z rąk do rąk. Wokół leżały na wpół zwęglone szczątki ludzkie, przypominające do złudzenia popsute lalki. Obok niemal nagich ciał kobiecych klęczały płaczące dzieci.

Jego matka też leżała na ulicy. Z białej jak kreda, wychudzonej niewiasty powoli uchodziło życie.

- Mamo! - krzyknął Samuel i podbiegł do niej.

Była jeszcze przytomna. Skonała jednak, zanim zdążyła wymówić jego imię.

- Mamo, obudź się! - powtarzał chłopiec, nie przestając jej szarpać.

Później stał nieopodal, gdy grabarze wykopywali dół obok miejsca, gdzie leżało ciało. Ziemia była nasączona jej krwią i, zgodnie z Pismem Świętym, należało nią posypać ciało, aby zmarła mogła powrócić do Boga.

To był przełomowy moment w życiu chłopca - Samuel zapragnął zostać lekarzem.

Rodzina Roffe mieszkała w trzypiętrowym drewnianym domu, wspólnie z ośmioma innymi rodzinami. Samuel wraz z ojcem i ciotką Rachelą zajmował mały pokój. Nie pamiętał, aby choć jeden raz przebywał w nim samotnie. W pokoju słychać było stale głośne rozmowy ojca i ciotki oraz pozostałych lokatorów. Samuel nie pragnął jednak samotności. Nie znał tego uczucia, gdyż nigdy go nie doświadczył. Od kołyski przyzwyczajony był do życia w zatłoczonym domu.

Każdego wieczora, gdy Żydzi zagonili już bydło do zagród, zamykano potężną drewnianą bramę getta. Otwierano ją dopiero o świcie, zezwalając Żydom na wyjście do miasta, gdyż trudnili się handlem. O zachodzie słońca musieli jednak wrócić do swoich domostw za murami.

Ojciec Samuela pochodził z Rosji. Uciekł stamtąd do Krakowa po pogromie w Kijowie. Wkrótce po przybyciu do miasta poznał swoją przyszłą żonę.

Odkąd sięgał pamięcią, jego ojciec zajmował się handlem obwoźnym. Był przygarbionym, posiwiiałym mężczyzną z twarzą pooraną zmarszczkami. Każdego ranka, pogwizdując, pchał swój

wóz, wypakowany różnymi towarami, przez wąskie i kręte ulice getta. Samuel często mu towarzyszył, pomagając torować drogę przez gęsty tłum ludzi. Uwielbiał odgłosy, jakie wydawały metalowe koła, uderzając o bruk. Idąc rozkoszował się zapachem świeżego chleba, suszonych ryb i serów. Przysłuchiwał się też kłótniom handlarzy i utyskiwaniom gospodyń domowych na ich paskarskie ceny. Dostawał zawrotu głowy od ilości towaru, jaki handlarze wozili na swoich wózkach: płótno na wsypy, przedza, skóra i mydło obok mięsa i warzyw.

W jego dwunaste urodziny ojciec postanowił zabrać go do miasta. Samuelowi dane było wtedy po raz pierwszy ujrzeć Kraków i jego mieszkańców. Któregoś ranka wraz z hałaśliwą grupą handlarzy ustawili się pod bramą oddzielającą oba światy. Samuel ubrany był w swój odświętny garnitur, na który narzucił czarny wełniany płaszcz. Było zimno i wiał ostry wiatr.

Po godzinie, która Samuelowi wydawała się wiecznością, otworzono wreszcie bramę i korowód kupców ruszył w kierunku miasta. Kiedy po chwili zbliżyli się do rogatek, serce zabiło mu mocniej. Chwycił ojca za rękę. Przed nimi wznosiły się fortyfikacje broniące dostępu do Wisły.

Niespodziewanie znaleźli się wśród ludzi, z winy których żyli w nędzy, za murami getta. Mimo strachu, bacznie przyglądał się przechodniom. Nie nosili payves czy bekaches, długich, czarnych płaszczy. Byli gładko ogoleni, a kolor ich włosów przypominał łany pszenicy.

Aby dojść do rynku, musieli pójść wzdłuż Plant, a następnie minąć kościół Mariacki, który wprawił młodzieńca w zachwyt. Ogromne wrażenie wywarły też na nim kamienice z małymi ogródkami pełnymi pachnących kwiatów. Marzył o tym, że któregoś dnia zamieszka w jednej z nich. Bardzo pragnął podzielić się z kimś swoimi wrażeniami, ale wokół nie było nikogo, kto mógłby go zrozumieć.

Elżbieta zamknęła oczy. Starła się wyobrazić sobie siebie na miejscu Samuela. Niemal fizycznie odczuwała gorycz jego osamotnienia. Czowała, że on jest częścią jej samej. W ich żyłach płynęła ta sama krew. Należeli przecież do tej samej rodziny i chyba po raz pierwszy Elżbieta była z tego dumna.

Jej rozmyślania przerwał warkot zbliżającego się samochodu ojca. Szybko ukryła pamiętnik w szklanej gablocie.

Sam długo nie wychodził ze swego gabinetu i Elżbieta nie mogła dokończyć czytania pamiętnika, mimo że umierała z ciekawości.

Dopiero po powrocie do Nowego Jorku ponownie sięgnęła po niego, przywiozła go bowiem ze sobą, ukryty na dnie walizki.

## Rozdział 9

Tylko trzech lekarzy mogło się zajmować chorymi w getcie. Najlepiej powodziło się doktorowi Zeno Wałowi. Jego biały dom wśród pozostałych brudnych i zaniedbanych domostw wyglądał jak pałac. Miał trzy piętra. We wszystkich oknach wisiały śnieżnobiałe firany. Czasami, gdy w słoneczne dni okna były otwarte na oścież, widać było połyskujące politurowane meble.

W takie dni Samuel, wspierając się łokciami o parapet, godzinami przyglądał się, jak doktor Wal bada swoich pacjentów. “Gdyby tak doktor zechciał mi pomóc - myślał, przestępując z nogi na nogę. - Niedługo sam leczylbym tych ludzi”. Wal nie zwracał jednak na niego najmniejszej uwagi. Był tak samo nieprzystępny, jak ludzie z tamtej strony muru.

Czasami Samuel widział, jak zacny doktor przechadzał się po głównej ulicy w towarzystwie dwóch innych lekarzy. Gestykulując, opowiadali sobie o czymś bardzo interesującym.

Któregoś dnia przypadkowo przechodził obok domu lekarza i natknął się na powracającego ze spaceru doktora z córką. Była w tym samym wieku co Samuel i należała do najładniejszych Żydówek w getcie. Samuel był nią oczarowany. Wystarczyło tylko jedno spojrzenie, aby zdecydował, że córka doktora zostanie jego żoną. Od tamtej pory często spacerował w pobliżu domu doktora w nadziei, że znów ją ujrzy.

Pewnego dnia usłyszał dochodzące z okna na pierwszym piętrze dźwięki. Ktoś grał na fortepianie. Samuel rozejrzał się dookoła, aby upewnić się, czy nikt go nie obserwuje, i zbliżył się do białej ściany domu. Okno, przez które dochodziła muzyka, znajdowało się tuż nad nim. Samuel bez chwili wahania uchwycił się blaszanego parapetu i podciągnął do góry. Kątem oka dostrzegł córkę doktora. To ona właśnie wygrywała skoczną melodię polki. Siedziała na obrotowym stołku i, przebijając palcami po klawiaturze, patrzyła przed siebie. Przez chwilę zdawało mu się nawet, że grała dla niego.

Obok fortepianu, na fotelu, siedział jej ojciec i czytał książkę. Samuel nie patrzył jednak na doktora. Cała jego uwaga skupiona była na dziewczynie. Nie mógł oderwać oczu od jej długich, czarnych włosów i delikatnych ramion. Kochał ją z całego serca i modlił się, aby jakiś cud sprawił, żeby i ona go pokochała.

W pewnym momencie zsiniałe od wysiłku palce odmówiły posłuszeństwa i Samuel, rozpaczliwie machając nogami, upadł na chodnik i stracił przytomność.

Ocknął się dopiero na stole operacyjnym w gabinecie doktora.

Doktor trzymał w ręku wacik nasączony jakimś cuchnącym roztworem. Samuel zakrztusił się powietrzem, a następnie, ciężko posapując, usiadł na stole.

- Widzę, że wróciłeś do siebie - zauważył doktor. - Miałem zamiar usunąć ci mózg, ale nie byłem pewien, czy go w ogóle masz w tej swojej głowie. Po co zakradałeś się do mojego domu? Chciałeś coś ukraść?

- Nie - Samuel potrząsnął głową.

- Jak się nazywasz?

- Samuel Roffe... - nie dokończył. Poczul ostry ból w prawej ręce, której właśnie dotknął doktor.

- Hm... Masz złamaną rękę, chłopcze. Może powinienem wezwać policję, aby się tym zajęła.

Słowa doktora przeraziły go. Oczami wyobraźni widział zapłakaną twarz ciotki i ponurą minę ojca na widok prowadzących go policjantów. Najgorsze było jednak to, że jako przestępca nigdy nie uda mu się zdobyć ręki córki doktora Wala...

Ponownie syknął z bólu.

- Nie trzeba wzywać policji. Właśnie ją nastawiłem - powiedział spokojnie doktor i zabrał się do zakładania gipsu. - Pewnie mieszkasz gdzieś niedaleko?

- Tak, proszę pana.

- Już nieraz cię widywałem. Dlaczego kręcisz się w pobliżu mojego domu?

Samuel pomyślał, że doktor wyśmiałby go, gdyby powiedział, że kocha jego córkę.

- Chcę, tak jak pan, zostać lekarzem. Doktor Wal spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- To dlatego próbowałeś wejść do mojego domu przez okno jak włamywacz?

Samuel znalazł się w tarapatach. Aby z nich wybrnąć, zaczął opowiadać o matce, która umarła na ulicy, o ojcu, obwoźnym handlarzu, a nawet o wycieczce do Krakowa i o tym, że zamyka się ich na noc w getcie jak zwierzęta w klatce. Wyznał też doktorowi, że kocha jego córkę. Na koniec przyznał, że jest mu niezmiernie przykro z powodu tego, co się stało.

Doktor słuchał w milczeniu, przyglądając mu się uważnie, a następnie powiedział:

- Wszyscy jesteśmy tu więźniami, chłopcze, a najtragiczniejsze jest to, że uwięził nas tu inny człowiek.

Samuel spojrzał na niego zmieszany.

- Nic nie rozumiem... Doktor westchnął.

- Pewnego dnia, chłopcze, przejrzysz na oczy i wszystko zrozumiesz. To nie czas ani miejsce dla niepoprawnych marzycieli, Samuelu Roffe. Nigdy nie zostaniesz lekarzem w getcie, bo tylko ja i dwóch moich kolegów możemy tu leczyć ludzi.

- Przerwał i zapalił fajkę. - Jest jeszcze co najmniej tuzin innych zdolnych lekarzy - kontynuował - czekających niecierpliwie na moment, w którym my przejdziemy na emeryturę lub

pożegnamy się z tym bezdusznym światem na dobre, aby oni mogli zająć nasze miejsce. Ty nie stoisz nawet na końcu tej kolejki. Nie masz najmniejszych szans, chłopcze! Urodziłeś się w niewłaściwym czasie i niewłaściwym miejscu. Rozumiesz?

- Tak, panie doktorze - odparł Samuel, przetykając głośnie ślinę.

Wal zawahał się przez chwilę, a następnie mówił dalej:

- Co do twojego drugiego marzenia, to jest ono równie niedorzecznie jak pierwsze. Wykluczone, abys kiedykolwiek dostał moją Terenię za żonę!

- Ale dlaczego?

- Dlaczego?... Z tego samego powodu, dla którego nie możesz zostać lekarzem. Żyjemy przecież w społeczeństwie, którym rządzą pewne reguły, na przykład ta, że nie popelniamy mezaliansów. Otóż moja córka wyjdzie za mąż za kogoś z naszej sfery, kogoś, kto zapewni jej dobrobyt, do jakiego przywykła w domu rodzinnym. Może będzie to lekarz, prawnik lub rabin... Radzę ci więc z dobrego serca, wybij ją sobie z głowy.

- Aleja...

- Skończyłem - przerwał mu stanowczo doktor i, przytrzymując go za łokieć, odprowadził do drzwi. Zanim jednak zamknął je za Samuelem, powiedział: - Uważaj, chłopcze, na gips, żeby nie popękał.

- Będę uważał, doktorze, dziękuję.

- Do zobaczenia, Samuelu.

Doktor Wal nie musiał długo czekać, aby go znowu spotkać. Już następnego dnia rano Samuel zadzwonił do jego drzwi. Doktor zobaczył go przez okno i zastanawiał się, czy sam ma kazać mu odejść, czy też poprosić o to służącą. W końcu zrezygnowany machnął ręką i kazał go wpuścić.

Od tamtej pory Samuel odwiedzał doktora dwa, trzy razy w tygodniu. Robił sprawunki, w zamian za co doktor pozwalał mu patrzeć, jak bada pacjentów i sporządza lecznicze mikstury. Samuel starał się wszystko dokładnie zapamiętać. Był doskonałym uczniem.

Cieszyło to doktora Wala, ale zarazem wywoływało jego niepokój. Rozbudzał bowiem w chłopcu nadzieje na to, że zostanie kiedyś kimś innym, kimś lepszym, i za to winił siebie.

Jakimś dziwnym trafem zawsze tam, gdzie przebywał Samuel, pojawiała się Terenia. Wtedy serce chłopca biło mocniej. Marzył, aby choć przez chwilę potrzymać ją za rękę. Pewnego razu, kiedy przypadkowo otarł się o nią w kuchni, omal nie zemdlał. Stała i patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. Później uśmiechnęła się i odeszła.

A więc w końcu zauważyła go. Samuel odniósł sukces. Był pewien, że z czasem dziewczyna zapala do niego gorącym uczuciem.

Od tamtej chwili często rozmyślał o ich wspólnej przyszłości. Planował wszystko z myślą o nich obojgu. Wierzył, że cudem wydadzą się z getta i osiedlą gdzieś na końcu świata, gdzie będą się kochali i żyli dostatnio. Marzył o tym, na przekór ponurej rzeczywistości.

Elżbieta nie zdążyła przeczytać kolejnej strony pamiętnika. Zrobiło się późno i zmęczona zasnęła. Następnego dnia rano skrzętnie ukryła pamiętnik i pobiegła do szkoły. Nie mogła jednak spokojnie usiedzieć na lekcjach. Próbowała odgadnąć, w jaki sposób udało się Samuelowi poślubić Terenię i co sprawiło, że stał się sławny - Jego losy całkowicie zaabsorbowały jej uwagę. Najchętniej zaszyłaby się gdzieś w odludnym miejscu, gdzie mogłaby spokojnie dokończyć lektury. A tymczasem musiała udać się na kolejną lekcję baletu, którego nienawidziła.

Z niechęcią wbiła się w swoje różowe "tutu" i, stojąc przed lustrem, starała się wmówić sobie, że ma figurę modelki. W rzeczywistości zaś była gruba i niezgrabna. Tylko ślepiec mógłby pomyśleć, że jest tancerką.

Wkrótce po jej czternastych urodzinach nauczycielka tańca, madame Netturova, oznajmiła, że wszyscy mają stawić się wraz z rodzicami w sali baletowej, gdzie odbędzie się coroczny pokaz tańca.

Elżbietę przerażała myśl, że będzie musiała zatańczyć przed publicznością. Czuli, że nie przeżyje takiego upokorzenia. Po powrocie do domu ani słowem nie wspomniała ojcu o pokazie. W przeszłości często przypominała mu o zebraniach i przyjęciach szkolnych z udziałem rodziców. On jednak zawsze był zajęty.

Następnego wieczoru, gdy szykowała się do wyjścia, w drzwiach jej pokoju niespodziewanie pojawił się ojciec.

- Dobry wieczór, Elżbieto - przywitał się z nią, a następnie zauważył: - Chyba znowu trochę przytyłaś.

- Masz rację, ojcze - odpowiedziała, oblewając się rumieńcem.

Przystanął na chwilę, chcąc jeszcze coś dodać, jednak zaraz zmienił zdanie i tylko zapytał:

- Co tam słychać w szkole?

- Wszystko dobrze, ojcze.

- Żadnych problemów?

- Żadnych, ojcze.

- Świetnie.

Ich rozmowa przypominała setki innych, jakie odbywali od lat. "Co tam w szkole?" "Żadnych problemów". "Świetnie". Było to jak dialog dwojga obcych sobie ludzi, którzy się nie słuchali i nie rozumieli.

Tym razem Roffe stał w drzwiach dłużej niż zwykle. Dostrzegł napięcie malujące się na pozornie pogodnej twarzy córki. Przez moment zastanawiał się, co mogło zmącić spokój jedynaczki, której niczego przecież nie brakowało. Szybko jednak doszedł do wniosku, że to tylko przywidzenie, bo odwrócił się i wolno ruszył przed siebie. Dobiegł go jednak jej głos:

- Madame Netturova organizuje dziś wieczorem przedstawienie baletowe z udziałem naszej klasy. Zaprasza też rodziców. Nie przyjdiesz, prawda?

Była na siebie wściekła. Nie chciała przecież, aby widział, jak płaczą się jej nogi. Co ją skusiło, że wspomniała mu o tym przedstawieniu? W głębi duszy знаła jednak odpowiedź. Była jedyną uczennicą, której rodzice nie pojawiali się na żadnej szkolnej uroczystości. Zresztą nie powinna się tym przejmować, gdyż ojciec z pewnością odmówi jej i tym razem.

On jednak powiedział:

- Mylisz się. Chętnie popatrzę, jak tańczysz.

Elżbieta nie mogła uwierzyć własnym uszom: jej ojciec po raz pierwszy w życiu obiecał zjawić się w szkole.

Sala pełna była rodziców i zaproszonych gości. Wszyscy patrzyli na tańczących uczniów, którym akompaniowały dwa fortepiany, stojące po obu stronach sceny. Przy jednym z nich stała madame Netturova i głośno wybijała takt.

Kilkoro utalentowanych dzieci zdecydowanie wyróżniało się na tle klasy. Pozostali brak umiejętności nadrabiali entuzjazmem. Dzieci miały wykonać fragment z "Kopciuszka" i "Jeziora łabędziego". Każde dziecko miało wykonać piece de resistance. Miało szansę pokazać, co umie.

Elżbieta nie mogła oderwać oczu od miejsca, w którym siedział ojciec. Stała ukryta za zasłoną i po raz kolejny wyrzucała sobie, że zgodziła się, aby tu przyszedł.

Z ciężkim sercem odliczała kolejne minuty, dzielące ją od występu solo. Była przekonana, że gdy tylko pojawi się na scenie, wszyscy wybuchną śmiechem, a ojciec będzie świadkiem jej upokorzenia. Jedynym pocieszeniem było to, że występ trwał zaledwie minutę.

Patrzyła z zazdrością na inne dziewczynki i wydawało jej się, że to tańczy Markowa, Maksimowa czy Fonteyn.

- Teraz twoja kolej, Elżbieto - usłyszała szept madame Netturovej.

- Tak, madame - zdążyła wykrztusić, gdy oba fortepiany zgodnie zagrały akompaniament.

- Na co czekasz? Wychodź na scenę!

Poczuła, jak czyjaś ręka wypycha ją zza kurtyny. Lekko podskoczyła, unosząc się na czubkach palców. Starła się nie patrzeć na ojca. Myślała tylko o jednym: aby jak najszybciej wykonać tych kilka prostych obrotów plies i jetes i szybko powrócić w bezpieczne miejsce za kurtynę.

Uniosła się lekko na palcach i zaczęła tańczyć w rytm muzyki. Mówiła sobie przez cały czas, że jest szczupła, giętka i lekka jak piórko.

Jej ostatni obrót publiczność nagrodziła brawami. Elżbieta ukloniła się i z lękiem spojrzała na ojca. Uśmiechał się z dumą i głośno bił brawo. Coś w niej pękło. Poczowała nagły przypływ energii. Mimo że nie było już słycać muzyki, uniosła się na palcach i ponownie zaczęła pisać, wykonując swoje plies i jetes, nie spuszczać przy tym ani na moment oczu z rozpromienionej twarzy ojca.

Zdezorientowani muzycy znowu zaczęli grać, starając się utrzymać rytm. Spoglądali niepewnie na madame Netturovą, która, trzęsąc się ze złości, ręką dawała znać Elżbiecie, że ma zejść ze sceny. Ona jednak nie zwracała na nią uwagi. Liczył się tylko ojciec i to, że dla niego tańczyła.

- Takiego zachowania nie możemy tolerować w naszej szkole, panie Roffe - powiedziała oburzona do głębi madame Netturova. - Pańska córka zignorowała moje polecenia, zachowując się jak, z przeproszeniem, rozkapryszona gwiazda.

Elżbieta stała obok ojca ze spuszczoną głową. Wiedziała, że to, co zrobiła, było karygodne. Chęć zaimponowania ojcu była jednak silniejsza niż zdrowy rozsądek. Pragnęła za wszelką cenę, aby był z niej dumny, aby ją kochał.

- Ma pani rację, madame. Dopilnuję, aby moją córkę spotkała zasłużona kara.

Madame Netturova spojrzała z triumfem na Elżbietę i powiedziała:

- Dziękuję, panie Roffe. Jestem pewna, że przemówi pan córce do rozsądku.

Po wyjściu z gabinetu madame Netturovej ojciec nie odezwał się do niej ani słowem. Szli w milczeniu długim szklanym korytarzem.

Elżbieta gorączkowo próbowała wymyślić cokolwiek na swoje usprawiedliwienie. Wątpiła jednak, czy ojciec ją zrozumie. Bała się go. Był dla niej zupełnie obcym człowiekiem. Nieraz słyszała, jak łajał innych za błędy i brak posłuszeństwa. Była pewna, że gdy przekroczą próg szkoły, wybuchnie gniewem. On jednak spojrzał na nią łagodnie i zaproponował:

- Chodźmy, Elżbieto, do Rumpelmayera na gorącą czekoladę.

- Dobrze, ojciec - odpowiedziała i wybuchnęła płaczem.

Tej nocy długo nie mogła zasnąć. Wciąż wywoływała w pamięci ten sam obraz: wnętrza kawiarni u Rumpelmayera, gdzie przy stoliku wśród kolorowych zabawek siedziała razem z ojcem i popijała czekoladę. Później zamówiła duży kawałek pysznego tortu i jedząc słuchała, co do niej mówił. Po raz pierwszy w życiu ich rozmowa nie była dialogiem dwojga obcych sobie ludzi.



Ojciec opowiadał jej o swojej podróży do Tokio i o tym, jak podano mu tam na deser koniki polne i mrówki w kremie czekoladowym. Ubawił Elżbietę do łez tym, że musiał wymieść miseczkę do czysta, aby nie obrazić gospodarzy.

. Krwawa linii

- Dlaczego sprzeciwiłaś się woli madame Netturovej, Elżbieto? - zapytał nagle, gdy zbierali się już do wyjścia.

Poczuła nagły ucisk w żołądku. Sądziła, że ojciec zapomniał o całym incydencie.

- Chciałam być lepsza od innych - odpowiedziała, a po chwili dodała z lękiem: - dla ciebie, ojczy...

Patrzył na nią przez chwilę. W jego oczach nie dostrzegła jednak złości.

- Sprawiałaś wszystkim wielką niespodziankę.

- Więc nie gniewasz się na mnie?

- Za to, że chcesz być najlepsza? To leży w naturze naszej rodziny - mówiąc to, uścisnął jej rękę.

“Mój ojciec mnie kocha - myślała, zapadając powoli w sen. - Od tej pory będziemy razem. Będzie rozmawiał ze mną o swoich problemach i zostaniemy przyjaciółmi”.

Następnego dnia rano sekretarka ojca poinformowała ją, że wkrótce wyjedzie do szkoły w Szwajcarii, gdzie zamieszka w internacie.

Chauteau Lemand, nowa szkoła Elżbiety, znajdowała się w małej wiosce Saint-Blaise, nad brzegiem jeziora Neuchatel.

Była to typowa szkoła dla dziewcząt, które rozpoczynały tu naukę w wieku czternastu lat i opuszczały jej mury skończywszy lat osiemnaście.

Już od pierwszych chwil Elżbieta nienawidziła tego miejsca. Czowała się jak na wygnaniu, jakby przysłano ją tu za karę. W jednej chwili rozwiały się nadzieje, że już nigdy nie rozstanie się z ojcem. Był teraz dalej niż zwykle i z każdym dniem stawał się znów coraz bardziej obcy.

O tym, co robił, dowiadywała się z gazet i magazynów, które często zamieszczały jego fotografie i relacje ze spotkań z szefami rządów. Rozpisywano się o jego nowych przedsięwzięciach, takich jak otwarcie zakładów farmaceutycznych w Bombaju, o tym, że jadł obiad z szachem Iranu lub że w wolnych chwilach uprawiał wspinaczkę wysokogórską.

Elżbieta zbierała skrzętnie wszystkie te wycinki i układała w kopercie obok pamiętnika Samuela.

W Chauteau, podobnie jak w poprzedniej szkole, znów trzymała się na uboczu, nie zabiegając o nowe przyjaźnie. Inne dziewczynki chciały być razem, prosząc o dwu-, trzyosobowe pokoje, Elżbieta nalegała, aby przydzielono jej osobny pokój.

Pisała długie listy do ojca, starając się nie opisywać w nich swoich uczuć. Czasami dostawała od niego lakoniczną odpowiedź z miłym załącznikiem z któregoś z drogich supermarketów. Na urodziny otrzymywała dodatkowo kartkę z życzeniami, które układała dla niej sekretarka. Elżbieta bardzo tęskniła za ojcem.

Nie mogła doczekać się chwili, kiedy ujrzy go znowu. Miało to nastąpić w najbliższe święta Bożego Narodzenia w ich willi na Sardynii. Elżbieta na samą myśl o spotkaniu umierała z niepokoju. Na kilka dni przed przyjazdem sporządziła listę przykazań, których postanowiła przestrzegać.

Otóż po pierwsze - nie wzbudzać zainteresowania. W dalszej kolejności - nie wolno było narzekać na szkołę czy życie w internacie. Nie powinna też dać odczuć ojcu, że jest samotna. Na czwartym miejscu umieściła zakaz przerywania mu, gdy mówił. Powinna też często się śmiać, aby widział, że jest szczęśliwa. Gdzieś w głębi duszy miała nadzieję, że ojciec zapragnie mieć ją przy sobie na dłużej i nie odeśle z powrotem do Szwajcarii. "Nie wiedziałem, że jesteś taka błyskotliwa, Elżbieto - powie na pewno, gdy zasiądą do kolacji wigilijnej. - Mam rację, Gertrudo, prawda? - zwróci się do sekretarki. - Chcę, aby przez jakiś czas Elżbieta została z nami".

Przedstawiciele kompanii Lear j et odebrali Elżbietę w Zurychu, skąd poleciała do Olbi, gdzie na lotnisku czekała na nią limuzyna. W drodze do Costa Smeralda układała plan rozmowy z ojcem. Przyrzekła też sobie, że nie uroni ani jednej łzy na jego widok. “Nie może się dowiedzieć, jak bardzo za nim tęskniłam” - myślała.

Limuzyna, zwalniając, wjechała na wąską drogę, prowadzącą na szczyt stromego wzniesienia, na którym stała willa. Ta droga zawsze ją przerażała. W górze, tuż nad jadącymi samochodami, wisiały ogromne bloki skalne, w dole zaś widniała głęboka przepaść.

Samochód zatrzymał się przed wejściem do willi. Na powitanie wyszła Margherita, która zajmowała się domem pod ich nieobecność.

- Miło znów widzieć panienkę - powiedziała, śmiejąc się. - Jak minęła podróż?

- Dobrze, dziękuję, Margherito. Ojciec jeszcze nie przyjechał?

- Nie, panienko. Dzwonił, że musi udać się w pilnej sprawie do Australii. Mówił też, że przesyła mnóstwo prezentów. Życzył panience wesołych świąt.

-

Elżbieta przywiozła ze sobą pamiętnik Samuela Roffe, który spoczywał bezpiecznie na dnie jednej z jej przepastnych waliz. Codziennie przesiadywała po kilka godzin w gabinecie ojca, zaczytując się we wspomnieniach wielkiego pradiada.

Przez kilka następnych lat Samuel pomagał doktorowi Wałowi sporządzać mikstury i maści. Około dziesiątej w pracowni pojawiała się Terenia, przynosząc im drugie śniadanie.

W białym zgrzebnym fartuszkowi wyglądała tak uroczo, że chłopiec nie mógł oderwać od niej oczu. Ona zaś uśmiechała się zalotnie, dając mu do zrozumienia, że nie jest jej obojętny. “Już niedługo będzie moja - myślał Samuel. - W końcu zdarzy się ten cud. Jestem tego pewien”.

Utwierdziła go w tym postawa doktora, który bardzo go polubił i wyrażał się o nim bardzo pochlebnie, chwając za sumienność i pracowitość. Innego zdania była jednak żona doktora, która otwarcie nienawidziła chłopca i przy każdej okazji starała się go upokorzyć.

Unikał jej więc jak ognia. Jej cięty język był bowiem gorszy od bata.

Od samego początku Samuel interesował się lekami, które przywracały zdrowie pacjentom doktora Wala.

Któregoś dnia, gdy przeglądał stare księgi w bibliotece doktora, natrafił na opis papirusu znalezionej w Egipcie. Zawierał on aż osiemset jednaście recept z niezwyklejmi medykamentami, które ordynowano chorym w 1550 roku p.n.e. Na każdej z tych recept widniał symbol egipskiego boga uzdrowiciela - Horusa. Leki w tamtych czasach sporządzano z niezwyklej składników: z łajna krokodyla, ciała jaszczurki, krwi nietoperza, śliny wielbłąda, wątroby lwa, żabich udek czy sproszkowanego rogu jednorożca. Nawet pojęcie “chemia” wywodziło się od starożytnej nazwy Egiptu zwanego krajem Kamii lub Chemii. Medyków natomiast nazywano magami. Niektóre z mikstur sporządzanych w tamtych czasach mogły bardziej zaszkodzić choremu, niż pomóc. Nie lepiej było z lekami, które sprzedawano w aptekach w getcie. Większość z nich nie była odpowiednio przetestowana. Niektóre pomagały choremu tyle, co umarłemu kadzidło. Były też i takie, które z pewnością szkodziły.

Nie przestrzegano podstawowych wymogów sanitarnych. Nierzadko w słoiczkach z lekami znajdowano martwe insekty lub ich odchody. Tak przechowywane medykamenty szybciej posyłały pacjenta na tamten świat niż choroba, którą miały leczyć.

Samuel pochłaniał wiedzę, jaką kryły w sobie opasłe księgi medyczne z biblioteki doktora Wala. Z czasem układał własne teorie na temat leczenia chorób, o których dyskutował potem z doktorem. Był też gorącym zwolennikiem głoszonej przez niektórych lekarzy tezy, że można przeciwdziałać rozwojowi choroby, jeżeli poda się pacjentowi szczepionkę, która pomoże bronić

się organizmowi i zniszczy infekcję w zarodku. Udało mu się nawet zarazić swoim entuzjazmem starego doktora.

Pewnego dnia wstrzyknęli koniowi krew pobraną od pacjenta chorego na dyfteryt. Niestety, szkapa padła, zanim dokończyli eksperymentu.

Mimo protestów Samuela, doktor Wal nie podejmował kolejnych prób wynalezienia szczepionki przeciw dyfterytowi czy też innej chorobie. Zignorował również uwagi chłopca, który uważał, że przy następnej próbie na pewno odnieśliby sukces.

- Kiedy byłem w twoim wieku, chłopcze, też wszystko wiedziałem najlepiej. Nie zwracaj mi już więcej tym głowy.

Samuel, w przeciwieństwie do doktora, nie poddał się tak łatwo. Nadal przeprowadzał eksperymenty na kotach i szczurach, które niestety padały, nawet po podaniu najmniejszej dawki skażonej krwi. "Są zbyt małe - myślał. - Potrzebuję większych zwierząt, takich jak konie, krowy czy owce. Tylko skąd je wziąć?"

Ktoregoś popołudnia, przed domem, w którym mieszkał, Samuel zobaczył ich wóz z napisem "Roffe & Sons", do którego ktoś zaprzęgał starego, wychudzonego konia.

- Czyj jest ten koń? - zapytał ojca zajętego naprawą uprzęży.

- Nasz, synu. Kupiłem go okazji na targu. Dzięki tej szkapie będziemy mogli przewieźć więcej towaru i być może wkrótce kupimy drugiego konia - odpowiedział z dumą.

Ambicją ojca było posiadanie starego wozu zaprzęzonego w dwa stare konie, którym mógłby wozić swój lichej towar po brudnych ulicach getta. Na samą myśl o tym Samuelowi chciało się płakać.

Tej nocy, gdy wszyscy zasnęli, Samuel wymknął się do stajni, aby dokładnie obejrzeć konia. Ojciec nazwał go Fred. Koń był kulawy i miał wygięty grzbiet. Zapewne też nie poruszał się szybciej od ojca. Najważniejsze jednak było to, że Samuel miał w końcu upragnione zwierzę, na którym mógł przeprowadzać swoje eksperymenty. Należało jednak zachować ostrożność, aby ojciec nie dowiedział się, co zamierza zrobić z jego koniem.

- Przejdiesz do historii, siwku - poklepał konia po grzbiecie.

Na miejscu, w stajni, Samuel zaimprovizował swoje własne laboratorium. Wyhodował zarazki dyfterytu w specjalnie przyrządzonym bulionie. Kiedy roztwór ściemniał, odlał małą porcję do osobnego naczynia, następnie rozrzedził i lekko podgrzał. Później napełnił nim strzykawkę i zbliżył się do konia.

- To twój wielki dzień, Fred! Niedługo będą o tobie pisały gazety na całym świecie - szepnął i wbił grubą igłę w luźną skórę konia, dokładnie tak, jak robił to doktor Wal.

Fred odwrócił łeb, spojrział na Samuela z wyrzutem i wylał na niego całą zawartość pęcherza moczowego.

Chłopiec ocenił, że pierwsze objawy choroby powinny wystąpić u konia po siedmiu dniach. Po upływie tego czasu wstrzyknie Fredowi jeszcze większą dawkę, a później kolejną. Zgodnie z teorią przeciwiał każda dawka powinna wywołać reakcje obronne organizmu. Wówczas Samuel otrzyma szczepionkę, którą z kolei poda któremuś z pacjentów chorych na dyfteryt. Był przekonany, że odniesie sukces i uratuje życie tysiącom ludzi.

Przez następne dwa dni spędzał przy Fredzie każdą wolną chwilę.

- Pierwszy raz widzę, aby ktoś tak kochał zwierzęta, mój synu - powiedział ojciec, widząc, że Samuel nie rozstaje się z koniem.

- Masz rację, ojcze - odparł Samuel. - Nikomu nie pozwoliłbym go skrzywdzić.

W głębi duszy Samuel czuł jednak wyrzuty sumienia z powodu swoich eksperymentów. Wiedział też, że gdyby choć pisał o tym słówko ojcu, ten obdarłby go żywcem ze skóry.

Pocieszał się myślą, że za kilka dni z krwi konia sporządzi surowicę i nikt nigdy nie dowie się, co z nim wyczyniał.

Był jednak w błędzie. Następnego dnia rano Fred wyciągnął kopyta.

- Momser! - krzyczał ojciec. - Złodziej i kłamca!

Stał obok wozu wypełnionego towarem, przy którym nie było konia. Wokół zgromadził się spory tłum gapiów.

- Gdzie jest Fred, ojcze?! - krzyknął Samuel, wciskając się pomiędzy ludzi.

- Nie żyje, synu. Zdechł jak pies na ulicy! Samuelowi pociemniało w oczach.

- Żebym choć raz dotknął go batem lub zdzielił pięścią. I taka jest końska wdzięczność! - krzyczał wzburzony. - Niech ja dopadnę tego gonifa, który mi go sprzedał. Ubiję jak psa!

W jednej chwili rozwiały się marzenia Samuela o wolności za murami getta, małżeństwie z Terenią i ich pięknym domu, gdzieś na końcu świata. Nie wiedział, że najgorsze jest jeszcze przed nim.

Otóż tego samego dnia dowiedział się od służącej doktora Wala, że Terenia wkrótce wychodzi za mąż za rabina.

Zdyszany wbiegł do saloniku, gdzie zastał doktora i jego żonę.

- Terenia należy do mnie! - krzyknął. - Żadnemu rabinowi jej nie oddam!

Oboje patrzyli na niego zdumieni.

- Terenia nie będzie szczęśliwa z rabinem. On jest dla niej za stary. Ja...

- Nebbich! - przerwała mu żona doktora. - Wynoś się i żebyś cię tutaj więcej nie widziała!

Przez cały dzień Samuel wałęsał się po uliczkach getta z głową ciężką od kłębiących się myśli.

W nocy, nie mogąc zasnąć, postanowił odbyć rozmowę z Bogiem.

- Czego chcesz, Boże, ode mnie? - zapytał głośno, klęcząc przy łóżku. - Nie pozwalasz mi kochać Tereni, nie ma w tobie litości, o Panie. Słyszysz mnie?! - krzyknął z całych sił.

- Wszyscy cię słyszymy! - rozległy się głosy w całym domu. - Na miłość boską, nie krzycz tak, chłopcze, i pozwól nam spać!

Następnego ranka doktor Wal posłał po Samuela. Cała rodzina doktora zebrała się w saloniku w oczekiwaniu na chłopca.

Kiedy Samuel wszedł, doktor przywitał go słowami:

- Przez ciebie mamy teraz kłopoty z Terenią, młody człowieku. Oświadczyła nam, że cię kocha. Nie wierzę w to, bo damy w jej wieku nic nie wiedzą o miłości. Faktem jednak jest, że nasza córka nie chce wyjść za czcigodnego rabina Rabinowitza, chce natomiast poślubić ciebie.

Terenia spojrzała na Samuela i uśmiechnęła się.

- Powiedziałeś nam, że ją kochasz - mówił dalej doktor.

- Tak... tak, proszę pana.

- I chciałbyś, aby Terenia spędziła życie u boku ulicznego handlarza?

Samuel spojrzał na doktora, a potem na Terenię. Czuł, że wpadł w zastawioną przez doktora pułapkę.

- Nie, proszę pana - powiedział cicho.

- Cieszę się, że zgadzasz się ze mną. Więc ani ty, ani ja, ani moja żona nie chcemy, aby Terenia była żoną handlarza.

- Nie zamierzam pozostać handlarzem, proszę pana. - Głos Samuela zabrzmiał stanowczo.

- Nie zamierzasz pozostać handlarzem - powtórzył za nim doktor z drwiną w głosie. - Twój dziad był handlarzem, twój ojciec jest handlarzem i ty również będziesz pchał wózek z towarami po ulicach getta. Otóż wiedz o tym, że nigdy nie pozwolę, aby moja córka wyszła za kogoś takiego.

Samuel zasepił się. Czuł, że grunt usuwa mu się spod nóg. Bóg miał serce z kamienia.

- Postanowiliśmy jednak dać ci szansę - przerwał milczenie doktor Wal. - Masz sześć miesięcy na to, aby nam udowodnić, że możesz być kimś więcej niż tylko handlarzem. Jeśli nas zawiedziesz, wówczas nasza córka zostanie żoną rabina Rabinowitza.

Samuel spojrzał przerażony na doktora.

- Sześć miesięcy! - powtórzył.

Nikt nie zostaje rabinem ani lekarzem w ciągu sześciu miesięcy. Prawo zabraniało przecież Samuelowi leczenia ludzi w getcie, a po to, by zostać rabinem, należało rozpocząć naukę mając

trzydzieści lat, Samuel zaś skończył właśnie osiemnaście. Nie miał też co marzyć o bogactwie, sprzedając towary na ulicy. Gdyby nawet pracował przez całą dobę, to po pół roku nadal byłby biedakiem. Doktor Wal i jego żona doskonale o tym wiedzieli. Tylko Terenia zdawała się ufać mu bezgranicznie. Była przekonana, że fortuna uśmiechnie się do niego.

“Ona jest bardziej szalona ode mnie” - myślał Samuel zrozpaczony.

Czas mijał nieubłaganie. W ciągu dnia Samuel pomagał ojcu sprzedawać towar, w nocy zaś, po pośpiesznie zjedzonej kolacji, zamykał się w swoim laboratorium, aby przygotować kolejne porcje surowicy. Wszczepiał ją potem królikom, kotom, psom i ptakom, ale wszystkie, bez wyjątku, niestety zdychały. Były zbyt małe i niewystarczająco odporne na zakażenia.

“Potrzebuję większego zwierzęcia” - myślał Samuel.

Dwa razy w tygodniu jeździł z ojcem na targ do Krakowa, gdzie kupowali potrzebny towar. Stawali o świcie wraz z innymi handlarzami pod zamkniętą bramą getta w oczekiwaniu, aż pojawią się strażnicy i otworzą ją.

- Naprzód, Żydzi - rozlegały się krzyki strażników, gdy brama stała już otworem.

Bramy pilnowało dwóch strażników ubranych w zielone mundury. Nosili specjalne naszywki i byli uzbrojeni w pistolety i pałki.

Obok getta płynęła mała rzeczka. Na jej przeciwległym brzegu stacjonował policyjny garnizon, którego zadaniem było pilnowanie porządku za murami getta. Aby dostać się do garnizonu, należało przejść drewniany most.

Samuel wiele razy był świadkiem, jak któregoś z jego ziomków strażnicy wlekli po moście do swojego obozowiska, skąd później deportowano go do obozu pracy. Żydzi drżeli w obawie, że któregoś dnia nie zdążą wrócić do getta przed zmrokiem, kiedy to zamykano bramę.

Strażnicy mieli za zadanie pilnować bramy przez całą noc. Wszyscy jednak wiedzieli, że tylko jeden z nich stał na straży, drugi zaś wymykał się do miasta, by oddawać się rozpuście. Wracał dopiero o świcie, aby, chwiejąc się na nogach, pomóc otworzyć koledze bramę.

Przy bramie stało najczęściej dwóch strażników - Paweł i Aram. Paweł był człowiekiem wesołym i towarzyskim, Aram zaś był jego przeciwieństwem: brutalny i bezlitosny. Siłę jego potężnych ramion zdążyło odczuć na własnej skórze wielu Żydów. Kiedy stał przy bramie, mieszkańcy getta woleli powrócić do domów na długo przed zachodem słońca. Nic tak bowiem nie bawiło Arama, jak bicie do utraty przytomności spóźnionego Żyda i wleczenie go potem do policyjnych baraków. Wtedy jeszcze Aram nie wiedział, że wkrótce przyjdzie mu się zmierzyć •i... Samuelem.



Te pół roku, łaskawie darowane mu przez doktora i jego żonę, skurczyło się już do czterech, a później trzech miesięcy. Każdą wolną chwilę Samuel spędzał w swoim małym laboratorium, na próżno podgrzewając i rozrzedzając bulion z surowicą.

Rozmawiał też z bogatymi kupcami, wypytyując ich o sposób, w jaki zdobyli swój majątek.

- Zbieraj grosz do grosza, chłopcze, a pewnego dnia kupisz sobie dom taki jak mój i będziesz majątnym człowiekiem.

Łatwo było dawać podobne rady, skoro większość z nich pochodziła z bogatych rodzin.

Przychodziły mu do głowy najgłupsze pomysły, jak ten, aby uciec z Terenią gdzieś daleko od doktora i jego żony. Tylko dokąd? Do innego getta, gdzie, jak tu, będzie biednym nebbich. Zbyt mocno kochał Terenię, aby jej zgotować podobny los. Znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Do końca darowanego mu czasu pozostały zaledwie trzy tygodnie, a on ani o krok nie posunął się do przodu. Jedynym pocieszeniem było to, że mógł trzy razy w tygodniu widywać swoją ukochaną.

- Na pewno znajdziesz jakiś sposób, abyśmy mogli być razem - pocieszała go Terenia.

On zaś z każdym dniem utwierdzał się w przekonaniu, że życie bez niej straciłoby sens.

Pewnego wieczoru Terenia odwiedziła Samuela w jego laboratorium. Zarzuciła mu ręce na szyję i powiedziała:

- Ucieknijmy gdzieś na koniec świata! Dla niego gotowa była narazić się na gniew rodziców i porzucić wygodne życie.

- Nie możemy, Tereniu. Zrozum, że gdziekolwiek zamieszkamy, nadal będę tylko ulicznym handlarzem.

- Nic mnie to nie obchodzi, Samuelu. Najważniejsze, że będziemy razem. - Samuel pomyślał o jej pięknym, dużym domu pełnym służby i o małej, brudnej klitce, którą dzielił z ojcem i ciotką.

- Nie zgadzam się, Tereniu. Wybacz mi - powiedział i wyszedł ze stajni, gdzie znajdowało się jego laboratorium.

Następnego ranka Samuel spotkał Izaaka, kolegę ze szkoły. Chłopiec szedł dumnie, trzymając za uzdę konia. Szkapą była na wpół ślepa, głucha i cierpiała na ostrą kolkę.

- Dzień dobry, Samuelu!

- Witaj, Izaaku. Nie wiem, dokąd idziesz z tym koniem, ale radzę ci, pośpiesz się, bo szkapą długo nie pożyje.

- Nie zależy mi na tym. Prowadzę Lottie do fabryki kleju.

Samuel przyjrzał się szkapie dokładnie.

- Nie sądzę, abyś dostał za nią wiele.

- Nie potrzebuję dużo. Tylko kilka florenów na nowy wóz.

Samuel poczuł, jak serce mocniej mu zabiło.

- Zaoszczędzę ci kłopotu, stary druhu. Dam ci mój wóz za konia.

Po pięciu minutach dobili targu i Samuel stał się właścicielem konia, który lada moment być może wyciągnie kopyta. "Ciekawe, co powie ojciec na tak wątpliwą transakcję" - zastanawiał się gorączkowo Samuel, wprowadzając szkapę do boksu, w którym poprzednio przebywał Fred.

Kilka minut później był już zajęty pracą nad sporządzaniem surowicy.

- Dzięki mnie, Lottie, zamiast do fabryki kleju trafisz na karty historii - poklepał konia po grzbiecie, widocznie zadowolony z wyników.

Z powodu zbytniego przeludnienia i braku higieny w getcie często wybuchały groźne epidemie. Ostatnio nękała mieszkańców silna gorączka, której towarzyszył duszący kaszel, duże powiększenie migdałów, i która w krótkim czasie doprowadzała do śmierci. Lekarze nie znali przyczyn gorączki i byli wobec niej bezsilni.

Samuel dowiedział się, że wśród ostatnich ofiar epidemii znalazł się ojciec Izaaka. Pośpiesznie udał się do jego domu.

- Doktor już był - powiedział, pochlipując, Izaak. - Mówił, że nic nie da się zrobić. - Słowom chłopca towarzyszył dochodzący z sypialni na piętrze głośny kaszel.

- Chcę, abys coś dla mnie zrobił, Izaaku - Samuel zniżył głos niemal do szeptu. - Przynieś mi chustkę do nosa twojego ojca.

- Co takiego? - zapytał zdziwiony Izaak.

- Te, której teraz używa. Tylko bądź ostrożny, bo jest na niej cała masa zarazków.

Samuel ostrożnie zeskrobał ślinę z chustki do naczynia z bulionem. Pracował całą noc i cały następny dzień, wstrzykując Lottie coraz to większe dawki szczepionki. Nie miał wiele czasu, ojciec Izaaka mógł niebawem skonać w mękach. Pozytywne wyniki eksperymentu miały też uratować jego własne życie.

Później, wracając myślami do tamtych chwil, zastanawiał się, czy Bóg ulitował się nad nim, czy nad Lottie, która żyła, mimo ogromnej ilości zarazków, wyniszczających jej organizm.

Wkrótce udało mu się uzyskać upragnioną szczepionkę. Pozostało mu tylko przekonać ojca Izaaka, aby zgodził się przyjąć jego lek. Jak okazało się, nie miał z tym większych problemów.

- Ojcu pozostało niewiele czasu - poinformował go Izaak, gdy przestąpił próg jego domu z małą fiolką w ręku.

- Chciałbym porozmawiać z tobą i twoją matką - powiedział Samuel.

W małej sypialni na piętrze leżał na łożu śmierci wychudzony mężczyzna. Jego ciałem wstrząsały dreszcze. Chory nie przestawał kaszleć.

Najbliższa rodzina bez sprzeciwu przystała na propozycję Samuela z tej prostej przyczyny, że chory i tak umierał. Zielone paskudztwo, które Samuel mu wstrzyknął, i tak by mu nie zaszkodziło, nawet gdyby to była trucizna.

Potem Samuel czekał przez trzy godziny na reakcję organizmu po podanej surowicy. Jedynym efektem był jednak tylko bardziej intensywny kaszel. W końcu zdecydował się opuścić dom Izaaka. Wyszedł bez słowa, unikając wzroku chłopca i jego matki.

Następnego dnia rano wyruszył do Krakowa. Kupowanie nowego towaru zdawało się trwać w nieskończoność. Samuel dalby wiele za jakiegokolwiek wieści o stanie zdrowia swojego pacjenta. Na targ przybyło o wiele więcej ludzi niż zwykle i z tego powodu wszystko trwało dłużej. Dopiero późnym popołudniem wyruszył w drogę powrotną do getta.

Gdy znajdował się niecały kilometr od bramy i strażników, przygotowujących się do jej zniknięcia, pękło jedno z kół wozu i prawie cały towar rozsypał się na drogę.

Samuel musiał szybko poszukać gdzieś nowego koła. Bał się jednak pozostawić towar na pastwę coraz większego tłumu gapiów.

W tym samym momencie dojrzał policjanta torującego sobie drogę w jego stronę. "Już po mnie - pomyślał. - To nie Żyd i pewnie zabierze mi cały towar".

- Czy to twój wóz, chłopcze? - zapytał policjant.

- Tak, panie.

- Potrzebne ci nowe koło. Czy wiesz, skąd je wziąć?

- Nie, panie.

Policjant napisał kilka słów na kartce papieru i podał ją Samuelowi.

- Idź pod ten adres, a dostaniesz potrzebne koło.

- Nie mogę, panie, zostawić wozu.

- Nie obawiaj się, chłopcze - odparł policjant, spoglądając groźnie na przekrzykującą się cizbę. - Tylko się pośpiesz - dodał, poklepując Samuela po plecach.

Samuel biegł przez całą drogę i wkrótce, zgodnie ze wskazówkami zapisanymi na kartce, dotarł do małej kuźni, gdzie po zapłaceniu jednego guldena dostał koło. Pchał je potem przed sobą, patrząc, jak wesoło podskakuje na bruku.

Mimo pomocy policjanta, Samuel przez kolejne pół godziny koło zakładał i zabezpieczał je. Gdy wszystko było gotowe, podziękował policjantowi i ruszył przed siebie. Nie przestawał myśleć o ojcu Izaaka. Czuł, że oszaleje, jeżeli za moment nie dowie się, czy jego pierwszy pacjent jeszcze żyje.

Zatopiony we własnych myślach Samuel nie spostrzegł, jak znajomy kształt murów przed nim powoli tonie w mroku. Za chwilę słońce zupełnie zajdzie, a on nadal będzie za bramą. Zaczął

biec co sił w nogach, popychając przed sobą ciężki wózek. Serce waliło mu jak młot. Znalazł się zaledwie kilka metrów od bramy, gdy ta zatrzasnęła się z hukiem.

Przypomnił sobie o wszystkich okropnościach, jakich doświadczyli pechowcy, którzy dotarli do getta po zapadnięciu zmroku. Jeżeli bramy pilnuje Paweł, istniała szansa, że Samuel wyjdzie z tarapatów cało. Wolał jednak nie myśleć, co go czeka, jeżeli wartę ma Aram. Jego życie nie będzie • wówczas warte nawet funta kłaków.

Samuel nigdy nie widział zamkniętej bramy getta od strony miasta. Teraz wydawało mu się, że przypomina wrota piekieł, które widywał na świętych obrazkach.

Nagle uświadomił sobie ze zgrozą, że być może nigdy nie ujrzy już swoich najbliższych.

Ciężko dysząc zwolnił kroku, rozglądał się niepewnie dookoła. Nigdzie jednak nie było widać strażników. Być może odwołano ich do baraków w jakiejś pilnej sprawie. Myślał o tym z nadzieją. Kiedy zbliżył się do bramy, na pewno znajdzie jakiś sposób, aby przedostać się na drugą stronę.

- Podejdź tu, Żydzie! - usłyszał nagle wołanie strażnika.

W ciemności nie widział jego twarzy, ale rozpoznał głos, który należał do... Arama.

- Pośpiesz się! - ponaglał go olbrzym.

- Panie, pozwól, że ci wytłumaczę. - Samuel czuł, jak ze strachu żołądek podchodzi mu do gardła. - W drodze pękło mi koło i...

Aram nie pozwolił mu dokończyć. Chwycił go mocno za kołnierz i uniósł do góry.

- Ty żydowski bękarcie! - ryknął. - Guzik mnie obchodzi, że pękło ci koło! O tej porze powinieneś być po tamtej stronie, zrozumiałeś? Czy wiesz, co się teraz z tobą stanie?

Samuel potrząsnął przecząco głową.

- Pojedziesz na Śląsk. Czeka cię dziesięć lat ciężkich robót w tamtejszych kopalniach. Jesteś zadowolony?

- Przecież ja nie zrobiłem niczego złego.

- To się okaże - odparł strażnik i uderzył go mocno w twarz. - Idziemy, Żydzie!

- Dokąd, panie?

- Do policyjnych baraków. Jutro z samego rana zostaniesz przewieziony na Śląsk, z całą resztą swoich zapchlonych ziomków.

- Niech mi pan choć pozwoli pożegnać się z ojcem - błagał Samuel, nie mogąc powstrzymać łez.

- Szkoda czasu, stary na pewno nie będzie za tobą tęsknił.

- Ależ proszę!

- Jeszcze jedno słowo, a obedrę cię ze skóry tu, na miejscu. - Ścisnął ramię chłopca i popchnął go w kierunku baraków.

“Dziesięć lat ciężkich robót na Śląsku! - myślał przerażony Samuel. - Już nigdy nie ujrzę ojca ani ciotki!”

- Niech mnie pan puści!

- Lubię, jak zapchlony Żyd błaga mnie o litość - Aram jeszcze mocniej ścisnął jego ramię.  
- Słyszałeś o Śląsku? Zdasz dojechać tam jeszcze tej zimy. Ale nie martw się, chłopcze. Głęboko pod ziemią będzie ci ciepło. Dopiero kiedy twoje płuca napelnia się węglowym pyłem, wyrzucą cię na śnieg, żebyś zdechł.

Samuel był tak przerażony, że nawet nie zauważył, kiedy zaczął padać deszcz.

- Szybciej - ponaglał go strażnik.

. Krwawa linia

Weszli właśnie na drewniany most. Samuel myślał o Tereni, o swojej rodzinie i umierającym ojcu Izaaka. Narastała w nim złość. Nikt nie miał prawa decydować o jego życiu. Postanowił, że za wszelką cenę musi stąd uciec.

Pod ich stopami z szumem płynęła rzeka. Samuel czuł, że natychmiast powinien coś zrobić. Kiedy dotrą do baraków, będzie już za późno. Nie było to jednak takie proste. Strażnik miał broń, a i bez niej mógł z łatwością skrócić mu kark.

Z dała, z budynków policyjnych, dobiegały głosy i śmiech.

- Szybciej przebieraj nogami, nędzniku - ryknął Aram i chwycił go za kołnierz, ciągnąc brutalnie po wybrukowanej drodze.

Samuelowi pozostało zaledwie kilka sekund na podjęcie decyzji. Sięgnął ręką do kieszeni i wyjął garść guldenów, które dyskretnie rozsypał na drogę. Ich brzęczenie przyciągnęło uwagę Arama.

- Co to było? - zapytał.

- Nic, panie.

Strażnik, nie puszczając chłopca, nachylił się, aby przyjrzeć się leżącym na ziemi metalowym krążkom.

- Słusznie robisz, chłopcze, pozbywając się pieniędzy. Tam, gdzie jedziesz, nie będą ci potrzebne.

Aram pochylił się jeszcze bardziej i zaczął zbierać połyskujące guldeny.

Samuel w jednej chwili znalazł się tuż przy strażniku i chwycił spory kamień, którym zaczął uderzać go w głowę. Aram zawył z bólu, chwiejąc się pod kolejnymi razami. Głowa zaczynała przypominać krwisty befsztyk. Nagle olbrzym wyprostował się i, otwierając szeroko usta, runął na

ziemię. Samuel patrzył na leżące ciało Arama, próbując odzyskać równowagę. Musiał uciekać. Groziło mu niebezpieczeństwo dużo większe niż roboty na Śląsku. Za zabicie strażnika torturowano by go, a następnie powieszono na centralnym placu getta.

Gorączkowo rozważał możliwość ucieczki gdzieś za granicę. Jednak rozesłano by za nim listy gończe i musiałby się ukrywać do końca życia. Postanowił zrobić inaczej. Z kieszeni spodni Arama wyjął duży klucz, którym otwierano bramę. Potem chwycił strażnika za nogę i, sapiąc z wysiłku, zaciągnął jego ciało na brzeg rzeki. Patrzył, jak ciało powoli stacza się po stromym brzegu i zanurza w kipiącej toni.

Chłopiec stał jak zahipnotyzowany, póki ciało nie zniknęło za najbliższym zakrętem. Potem podniósł z ziemi kamień, którym zabił strażnika, i również wrzucił go do rzeki.

Nie zwlekając ani chwili dłużej, zawrócił i pobiegł w stronę bramy. Szybko umieścił klucz w zanku i nie bez wysiłku otworzył ją. Potem wpełznął wóz do środka i zatrzasnął za sobą wrota. Po kilku minutach był już w domu. W pokoju gościnnym zgromadzili się wszyscy mieszkańcy.

- Strażnicy puścili cię wolno? - zapytali, przyglądając mu się, jakby był duchem.
- Myśleliśmy już, że... - mówił, jękając się, ojciec.

Samuel opowiedział im, co się stało.

- O mój Boże - jęknęła ciotka. - Powiesza nas wszystkich.
- Nie, jeżeli mnie posłuchacie - odparł Samuel i przedstawił wszystkim swój plan.

Po kwadransie Samuel, jego ojciec i dwóch sąsiadów stali przy bramie getta.

- A jeżeli nadejdzie drugi strażnik? - wyszeptał z trwogą ojciec.

- Musimy zaryzykować - odparł Samuel. - Jeżeli się nam nie powiedzie, całą winę wezmę na siebie.

Po chwili Samuel otworzył wrota i wyjrzał na zewnątrz. Był bardzo czujny. W każdej chwili mógł pojawić się drugi strażnik. Tym razem jednak dopisało mu szczęście: mała stróżówka przy murze była pusta.

Samuel pośpiesznie zamknął bramę od zewnątrz i stanął obok stróżówki. Z góry zrzuciono mu linę, która błyskawicznie ześlizgnęła się po mokrym murze. Chłopiec chwycił się liny i wspierając stopami o mur, powędrował do góry. Później zaczepił linę o wystający hak, zjechał po niej w dół i znalazł się po drugiej stronie, obok czekających na niego mężczyzn.

- Wolę nie myśleć, co się będzie działo jutro rano - odezwał się ojciec.
- A co ma się dziać? Będziemy walić w bramę, nalegając, aby nas wypuszczono.

O świcie w getcie zaroilo się od policjantów i żołnierzy. Szukali klucza, którym należało otworzyć bramę, aby wypuścić kupców. Paweł, drugi ze strażników, wyznał, że spędził noc w mieście i nic nie wie. Za karę umieszczono go w areszcie.

Szukano Arama. Zwykle podobne zniknięcie strażnika było wystarczającym powodem do wszczęcia pogromu. Tym razem jednak policję powstrzymywała zamknięta od zewnątrz brama i napierający na nią od wewnątrz kupcy.

W końcu uznano, że Aram uciekł z jedną ze swoich kochanek, i zaniechano poszukiwań. Zastanawiano się tylko, co zrobił z wielkim i wyjątkowo ciężkim kluczem. Jednak nikomu nie przeszło nawet przez myśl, że klucz spoczywał w ziemi pod domem Samuela.

Gdy wojsko i policja opuściły teren getta, Samuel wyczerpany położył się do łóżka i natychmiast zasnął.

Kilka godzin później obudziły go czyjeś krzyki. Ktoś energicznie potrząsał go za ramię.

“Znaleźli ciało Arama i teraz przyszedli mnie aresztować” - myślał z przerażeniem.

- Samuelu, to ja, Izaak! Obudź się! Matka prosi, abyś natychmiast przyszedł do naszego domu.

Kiedy, przeskakując po kilka stopni, Samuel wpadł do sypialni Izaaka, jego ojciec siedział na łóżku i rozglądał się przytomnie dookoła. Gorączka i kaszel ustąpiły.

- Mam ochotę na zupę z kurczaka - powiedział cicho do klęczącej przy jego łóżku żony.

Samuel przyglądał się tej scenie, nie mogąc powstrzymać łez.

Wiść o cudownym uzdrowieniu obiegła całe getto. Rodziny umierających mężczyzn, kobiet i dzieci zaczęły nachodzić dom Samuela, błagając go o cudowny lek. Chłopiec, nie mogąc poradzić sobie z przygotowaniem tak dużej ilości surowicy, udał się po pomoc do doktora Wala.

Doktor jednak odniósł się do wszystkiego bardzo sceptycznie.

- Przygotuj mi, chłopcze, kilka fiolek tego czegoś zielonego. Wypróbuję je na moich pacjentach.

Doktor wybrał kilku umierających mężczyzn i wstrzyknął im surowicę. Po dwudziestu czterech godzinach wszyscy zaczęli powracać do zdrowia.

- Udało ci się, Samuelu! - krzyczał stary doktor, pokonując biegiem dystans dzielący jego dom od stajni Samuela, w której znajdowało się laboratorium chłopca.

- Jakiej pragniesz nagrody za swój niezwykły talent?

Samuel popatrzył przez chwilę na doktora i odparł:

- Chcę jeszcze jednego konia.

Rok 1868 był z całą pewnością początkiem “Roffe & Sons”. Samuel i Terenia pobrali się i otrzymali w posagu sześć koni i małe, ale dobrze wyposażone laboratorium, w którym Samuel kontynuował swoje medyczne eksperymenty. Przyrządzał między innymi preparaty z ziół, po które co dzień ustawiała się kolejka cierpiących na różne dolegliwości osób. Tym, których nie stać było na zapłatę, zwykł był mówić:

- Leki są przede wszystkim po to, aby leczyły, a nie przynosiły zyski.

Jego sława sięgała daleko poza mury getta. Wkrótce mógł powiedzieć Tereni:

- Kochanie, niedługo otworzymy naszą własną aptekę. Ludzie będą nam przynosić recepty, a my będziemy im sprzedawać maści i proszki.

Ich mała apteka od samego początku cieszyła się dużą popularnością. Wielu bogatych mieszczan przychodziło tu, ofiarowując swoją pomoc i pieniądze.

- Będziemy partnerami - mówili. - Otworzymy całą sieć aptek.

Samuel kręcił jednak przecząco głową i odpowiadał:

- Nie chcę partnerów. To nasz rodzinny interes. Nie zniósłbym myśli, że ktoś obcy zarządzałby czymś, czemu poświęciłem połowę mojego życia.

Doktor Wal był zgorzony tym, że jego zięć odprawia z kwitkiem najbogatszych ludzi w mieście. Kiedy zapytał go, dlaczego tak postępuje, usłyszał:

- Nigdy nie wpuszczaj nawet przyjaźnie usposobionego lisa do kurnika, bo pewnego dnia może zgłodnieć.

Samuelowi i Tereni powodziło się coraz lepiej. Doczekali się pięciu synów: Abrahama, Józefa, Antoniego, Jana i Piotra. Otworzyli też pięć nowych aptek i zatrudniali prawie trzydziestu pracowników.

Pewnego dnia odwiedził ich pełnomocnik burmistrza Krakowa.

- Zniesiono wiele restrykcji nałożonych na Żydów - oznajmił. - Chcemy, aby pan otworzył aptekę w naszym mieście.

Tak też się stało. Trzy lata później Samuel wybudował kamienicę w centrum Krakowa i kupił piękny dom nad jeziorem, dokąd jeździli odpoczywać w niedziele i święta.

Tak oto spełniło się marzenie Samuela o ucieczce z getta. Z czasem zapragnął też podbić świat.

Dorastającym chłopcom nakazał uczyć się języków obcych: Abrahamowi i Janowi - angielskiego, Józefowi - niemieckiego, Antoniemu - francuskiego, a Piotrowi - włoskiego.

- On oszalał! - dowodziła teściowa. - Nasi sąsiedzi pokładają się ze śmiechu. Ci biedni malcy wkrótce nie będą potrafili dogadać się między sobą.

Samuel reagował na te uwagi śmiechem. Miał swoje plany w stosunku do synów. Później okazało się, kto miał rację.

Kiedy najstarszy syn skończył dwadzieścia jeden lat, Samuel zwołał rodzinę i oznajmił, że Abraham wyjeżdża do Ameryki.

- Do Ameryki? - krzyknęła matka Tereni. - Przecież tam mieszkają barbarzyńcy. Nie pozwolę narażać na niebezpieczeństwo mojego wnuka.



“Ciekawe, gdzie mieszkają barbarzyńcy?” - myślał Samuel, wspominając pogrom, w którym zginęła jego matka, i Arama, którego musiał zabić, aby samemu ujsć z życiem.

- Abraham pojedzie do Ameryki, aby otworzyć tam fabrykę leków. Tak postanowiłem.

- Będzie tak, jak sobie życzysz, ojcze - odparł dumnie Abraham.

Później Samuel zwrócił się do Józefa:

- Gdy ty skończysz dwadzieścia jeden lat, pojedziesz do Berlina.

- Tak, ojcze - odparł Józef.

- Ja zapewne pojedę do Paryża - powiedział Antoni.

- Zgadza się, chłopcze. Musisz być tylko ostrożny, bo kobiety są tam niezwykle piękne i wiedzą, jak zawrócić w głowie mężczyźnie.

Następnie odezwał się do Jana:

- Ty pojedziesz do Anglii...

- A kiedy ja wyruszę do Włoch, tato? - przerwał mu najmłodszy syn, Piotr.

- Masz na to jeszcze czas - śmiejąc się odpowiedział mu ojciec.

Samuel towarzyszył każdemu synowi w podróży za granicę. Pomagał kupować fabryki i zakładać biura. Po siedmiu latach w pięciu różnych krajach istniały filie “Roffe & Sons”. Nad każdą sprawował pieczę adwokat.

- Nikomu spoza rodziny nie wolno wejść do zarządu - przestrzegał Samuel każdego z prawników.

- Skoro synowie nie mogą sprzedawać akcji - dowodzili adwokaci - nie będą mogli sobie pozwolić na dostatnie życie.

- Kupimy im piękne domy - odpowiadał Samuel - i dostaną królewskie pensje. Wszystko będzie kontrolował mój najstarszy syn i jego synowie. Damy początek dynastii o wiele potężniejszej niż Rothschildowie.

Wszystko stało się tak, jak to sobie wymarzył Samuel. Całej rodzinie żyło się dostatnio. Ich potężne farmaceutyczne imperium rozrastało się. Synowie odwiedzali go w urodziny i święta. Przy każdej okazji dyskutowano o interesach.

Samuel i Terenia największe nadzieje pokładali w Abrahamie, najstarszym synu, który wyjechał do Ameryki w 1891 roku. Siedem lat później ożenił się i w 1905 roku urodził się Samuelowi pierwszy wnuk - Woodrow, który z kolei, gdy dorósł, spłodził syna o imieniu Sam.

Józef ożenił się z Niemką, która powiła mu dwoje dzieci: syna i córkę. Syn mając dwadzieścia lat ożenił się i wkrótce urodziła się Anna Roffe, obecna żona Walthera Gassnera.

Antoni pojął za żonę Francuzkę, która urodziła mu dwóch synów. Jeden z nich popełnił samobójstwo. Drugi ożenił się i został szczęśliwym ojcem Heleny. Helena wiele razy stawała na ślubnym kobiercu, z żadnego małżeństwa nie miała jednak dzieci.

Jan poślubił Angielkę. Ich jedynaczka wyszła za mąż za baroneta o nazwisku Nichols i wkrótce urodził im się syn Alec.

Piotr wziął sobie za żonę Włoszkę, która powiła dwoje dzieci: syna i córkę. Syn z kolei ożenił się z niezwykle uroczą niewiastą, która urodziła Simonettę. Simonetta zakochała się w młodym architekcie Ivo Palazzim.

Stary Samuel żył wystarczająco długo, aby zobaczyć jak na jego oczach zmienia się świat: Marconi zbudował telegraf bez drutu, bracia Wright wystartowali swoim samolotem z Kitty Hawk, świat dowiedział się o istnieniu Dreyfusa i admirała Peary, który dotarł do bieguna północnego, do masowej produkcji wprowadzono model Forda Ts, nie mówiąc już o telefonach i świetle elektrycznym. W medycynie zaś wyizolowano i ujarzmiono zarazki wywołujące gruźlicę, tyfus i malarię.

W ciągu mniej niż pół wieku od powstania firma "Roffe & Sons", której założycielem był ubogi żydowski chłopiec i jego kulawa szkapę Lottie, przekształciła się w wielką korporację farmaceutyczną, obejmującą swoim zasięgiem niemal cały świat....

Elżbieta westchnęła i cicho zamknęła pożółkły wolumin. Kiedy pojedzie na wakacje do willi na Sardynii, umieści go na powrót w szklanej kasecie w gabinecie ojca.

Dzięki pamiętnikowi Samuela poznała swoje korzenie. Dodawało jej to sił w najtrudniejszych momentach dorosłego życia.

## Rozdział 12

Elżbieta poznała Rhysa Williamsa w dniu, w którym kończyła piętnaście lat. Przyszedł wtedy do szkoły i przyniósł jej prezent urodzinowy od ojca.

- Ojciec chciał wręczyć ci go osobiście - tłumaczył Rhys - ale nie pozwoliły mu na to obowiązki.

Elżbieta z trudem powstrzymywała cisnące się do oczu łzy. Rhys widocznie to zauważył, bo powiedział:

- Nie martw się, Elżbieto. Jeżeli ojciec znajdzie odrobinę wolnego czasu, z pewnością cię odwiedzi. A tymczasem, czy możemy zjeść razem kolację?

“To był chybiony pomysł - myślała Elżbieta. - Ten niezwykle przystojny mężczyzna miałby jeść kolację w towarzystwie brzydkiego kaczątka, jakim niewątpliwie jestem?”

- Nie, dziękuję - odpowiedziała. - Mam dużo lekcji do odrobienia.

Ta wymówka widocznie nie przekonała Rhysa, gdyż zjawił się wieczorem w internacie, poprosił, by się przebrała, po czym, nie zważając na jej protesty, wsadził ją do samochodu i ruszyli przed siebie.

- Do Neuchatel powinien pan jechać inną drogą - zauważyła Elżbieta, kiedy minęła jej złość.

- A kto mówi, że jedziemy do Neuchatel?

- Dokąd mnie więc pan zabiera?

- Do “Maxima”. To jedyne miejsce, gdzie powinno się świętować piętnaste urodziny.

Polecieli prywatnym samolotem do Paryża, gdzie w sławnym “Maximie” zasiedli do wystawnej kolacji. Na początek podano pdte de foies gras z truflami. Następnie supę z homara, kaczkę pieczoną a l'orange i specjalność zakładu - sałatkę d la Maxim.

Później na stół wjechał okazałych rozmiarów tort z piętnastoma świeczkami. Przyniesiono także szampana w srebrnym kubelku wypełnionym lodem.

Po kolacji pojechali na przejażdżkę po Polach Elizejskich i późno w nocy wrócili samolotem do Szwajcarii.

To był najwspanialszy wieczór w życiu Elżbiety. Rhys sprawił, że czuła się atrakcyjna i interesująca.

- Nie wiem, jak panu dziękować. To był wyjątkowy wieczór - powiedziała, wysiadając z samochodu przed internatem.

- Powinnaś podziękować ojcu. Ta kolacja to jego pomysł.

Elżbieta wiedziała, że kłamał, ale postanowiła wybaczyć mu to drobne oszustwo. Była jednak pewna, że każda kobieta uczyniłaby to samo, nie mogąc oprzeć się urokowi tak przystojnego mężczyzny.

Mimo ogromnego zmęczenia, nie mogła zasnąć. Gdy pierwsze promienie słońca wpadły do pokoju, wstała z łóżka, podeszła do biurka i na małym skrawku papieru napisała: "Pani Elżbieta Williams".

Rhys spóźnił się na randkę z piękną francuską aktorką o całą dobę. Nie czuł jednak żalu z tego powodu. Spędził przemiły wieczór w towarzystwie Elżbiety, która wydała mu się niezwykle interesującą młodą damą. "Gdybym był młodszy" - myślał, całując na powitanie powabną Francuzkę.

Elżbieta nigdy nie była pewna do końca, kto był bardziej odpowiedzialny za jej późniejszą metamorfozę: jej ojciec czy Rhys Williams.

Z czasem nabrała pewności siebie. Dzięki uprawianiu różnych dyscyplin sportu bardzo wyszczuplała. Zaczęła również bardziej czynnie uczestniczyć w zajęciach szkolnych i przestała unikać koleżanek.

Kiedy któregoś dnia pojawiła się na przyjęciu, usłyszała:

- Cóż za niespodzianka, Elżbieto. Właśnie robiliśmy zakłady, że nie przyjdiesz.

Powietrze w pokoju przesiąknięte było słodkawym dymem palonej marihuany. Elżbieta wiedziała, że wiele dziewcząt pali marihuanę, choć sama nigdy tego nie próbowała.

Gospodyni przyjęcia, Francuzka o imieniu Renee, podeszła do Elżbiety, paląc długiego, czarnego papierosa. Zaciągnęła się mocno dymem i podała go Elżbiecie, mówiąc:

- Teraz twoja kolej.

- Chętnie - odparła Elżbieta, wkładając papierosa do ust z taką miną, jakby paliła trawkę od dziecka. Następnie, krztusząc się dymem, odparła: - Niezły tytoń.

Kiedy Renee odwróciła się, Elżbieta zbladła i usiadła ciężko na sofie. Przez moment czuła mdłości i świat wirował jej przed oczami. Później jednak, gdy zaryzykowała i zaciągnęła się dymem po raz drugi, odczuła coś w rodzaju odprężenia. Ciało jej stało się wiotkie, a myśli przypominały leniwie przepływające obłoki.

Wiele słyszała o halucynacjach, które wywoływała marihuana. Postanowiła pójść na całość i po raz kolejny nabrała do płuc gryzącego dymu. Po chwili zdawało się jej, że odpływa z pokoju. Gdzieś z oddali dobiegała muzyka i głosy rozmawiających dziewcząt. Nie wiadomo kiedy zaczęła szybować nad budynkiem szkoły, coraz wyżej i wyżej, aż dotarła do zaśnieżonych szczytów Alp...

Nagle poczuła, że ktoś nią potrząsa, i usłyszała swoje imię. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła zatroskaną twarz Renee.

- Nic ci nie jest, Elżbieto?

- Wszystko w porządku, Renee. Czuję się cudownie. Pierwszy raz w życiu paliłam marihuanę.

- Marihuanę?! - Renee nie ukrywała zdziwienia. - Przecież to był zwykły papieros, głuptasie.

Po drugiej stronie wioski znajdowała się szkoła dla chłopców. Dziewczeta z jej klasy często wymykały się z internatu na potajemne schadzki. Potem godzinami opowiadały o umiejętnionych torsach chłopców i ich długich penisach. Opisywały wszystko z pikantnymi szczegółami. Czasem, kiedy ich słuchała, zdawało jej się, że jest otoczona przez nimfomanki.

Jedną z ich ulubionych zabaw było frólage. Jedna z dziewcząt rozbierała się do naga i, leżąc na plecach, pozwalała innej pieścić swoje ciało. Zwykle po dziesięciu minutach osiągała orgazm i fundowała ciastko swojej kochance. Jeżeli zabawa przeciągała się, wówczas kochanka otrzymywała kolejne ciastko.

Inne ulubione divertissements rozgrywało się w szkolnej wannie. Któraś z kolejnych ofiar obsesji seksualnej pozbywała się odzienia i siadała w dużej wannie. Następnie, odkręcając prysznic, wkładała jego końcówkę między uda. Dziewczeta z wypiekami na twarzy obserwowały, jak ich szkolna koleżanka oddaje się rozkoszy.

Elżbieta wprawdzie nie brała udziału w tych wyrafinowanych zabawach, lecz równie silnie jak jej koleżanki zaczynała odczuwać potrzeby seksualne.

Jedną z jej szkolnych nauczycielek była drobna kobieta, Chantal Harriot. Chantal niedawno skończyła dwadzieścia lat i swoim wyglądem nie różniła się zbytnio od uczennic. Była ładna i wzbudzała sympatię. Elżbieta ufała jej bezgranicznie i opowiadała o swoich problemach. Chantal umiała ją pocieszyć. Była dla niej wyrozumiała. Pomagała jej wyjść z trudnej sytuacji. Na koniec częstowała ją filiżanką gęstej czekolady i ciastkami.

Chantal uczyła dziewczęta francuskiego i mody. Na lekcjach mody szczególny nacisk kładła na harmonię barw i dodatki.

- Pamiętajcie, dziewczęta - zwykła mówić - nawet najelegantsza suknia wygląda okropnie bez odpowiednich dodatków.

“Dodatki” - było to bez wątpienia magiczne słowo madame Harriot.

Elżbieta nie przestawała o niej myśleć. Czuła ciarki na ciele, kiedy wspominała dotyk dłoni Chantal na swoim ramieniu i piersiach, gdy nauczycielka obejmowała ją przy powitaniu.

Na początku wydawało się Elżbiecie, że Chantal przypadkowo dotykała jej piersi czy pośladków. Później jednak dostrzegła jej pełen wyczekiwania wzrok i... zdała sobie sprawę, że Chantal nie jest jej obojętna. Często przyłapywała się na tym, że wyobrażała ją sobie nagą, z

długimi nogami i falującymi piersiami. Wtedy to właśnie uświadomiła sobie gorzką prawdę o sobie: była po prostu lesbijką.

Jej pożądania nie wzbudzały jednak głupiutkie dziewczęta z klasy, lecz dojrzała i wrażliwa kobieta w osobie panny Harriot. Elżbieta wystarczająco dużo wiedziała o poniżeniu, jakiego doświadczały lesbijki. Otoczenie nie akceptowało ich, uważając takie związki za przejaw zwyrodnienia ludzkiej natury.

“Czy jest coś złego w tym, że kocha się kogoś tej samej płci? - pytała samą siebie. - Przecież liczy się miłość, która łączy kochanków, bez względu na to, czy jest to związek homo - czy heteroseksualny”.

Ciekawe, jak zareaguje ojciec, kiedy dowie się o jej skłonnościach. Będzie jednak musiał pogodzić się z tym, że jego córeczka nie będzie miała męża i nie urodzi mu ukochanego wnuka. Do końca życia pozostanie wyrzutkiem społeczeństwa.

Ona i madame Chantal Harriot zamieszkają w jakimś małym domku o ciepłych, pastelowych kolorach. Nie zapomną też o odpowiednio wyposażonych wnętrzach. Do wszystkich pokoi kupią francuskie meble, a na ścianach powieszą obrazy.

Ojciec na pewno im pomoże. Nie... nie poprosi ojca o pieniądze. Zresztą, kiedy mu o wszystkim powie, z całą pewnością nie będzie chciał więcej o niej słyszeć.

Elżbieta postanowiła, że nie będzie nosić szerokich tweedowych spodni ani szytych na miarę kostiumów czy wulgarnych męskich kapeluszy. Postara się wyglądać jak najbardziej kobieco.

Dla Chantal nauczy się gotować i będzie przyrządzać jej ulubione dania. Wyobrażała sobie, jak każdego wieczoru zasiądą do stołu i przy świecach zjedzą przygotowaną przez siebie kolację: bukiet smacznych sałatek, do tego krewetki lub homar i chateaubriand z lodami na deser. Po kolacji usiądą na podłodze przy kominku i będą czytały poezję T. S. Eliota lub V. J. Rajadhona...

Elżbieta z całego serca pragnęła zbliżenia z Chantal. Gdy pewnej nocy obudziła się i zobaczyła stojącą przy jej łóżku madame Harriot, serce zabiło jej mocniej.

- Elżbieto, moja kochana - szepnęła Chantal i zrzuciła z siebie koszulę nocną. - Spójrz na mnie. Stoję przed tobą zupełnie naga.

Chantal nie przypominała tej idealnej kochanki z jej marzeń. Jej piersi nie były tak jędrne, jak to sobie wyobrażała Elżbieta, brzuch był zbyt mocno wystający, a nogi zbyt umięśnione. Jej wygląd zewnętrzny nie miał jednak dla Elżbiety najmniejszego znaczenia. Liczyła się dusza tej kobiety i odwaga, z jaką przeciwstawiała się światu, a także to, że ją pokochała i pragnęła z nią zostać do końca życia.

- Zrób mi miejsce, mon petit ange - poprosiła szeptem Harriot.

Elżbieta posłusznie przesunęła się na środek łóżka. Chantał położyła się obok niej i objęła ją za szyję.

- Och, cheri. Od dawna marzyłam o tej chwili. - Mówiąc to, lekko musnęła wargami jej czoło, a później, pojękując i sapiąc, próbowała włożyć jej język do ust.

Elżbieta doznała szoku. W jednej chwili poczuła wstręt do tej kobiety. Harriot bezwstydnie ugniatała jej piersi, głaskała po udach i wkładała dłoń między uda, nie przestając sapać jak... zwierzę.

Ze łzami w oczach dziewczyna zegnała się z małym kolorowym domkiem, kolacjami przy świecach, sałatką z homara, poezją Eliota czytaną przy kominku i tymi wszystkimi uroczymi chwilami, które przyszłoby im spędzić razem.

- Och, cheri. Tak bardzo chciałabym wejść w ciebie - Harriot chwyciła mocno jej kolana i rozchyliła na boki.

- Niestety, nie uda się to pani, madame Harriot - odparła Elżbieta, siląc się na spokój. - Brakuje pani pewnego istotnego rekwizytu.

Płacząc i śmiejąc się na przemian, zdała sobie sprawę, że jest najnormalniejszą w świecie dziewczyną, którą Bóg stworzył po to, aby dawała rozkosz mężczyźnie i urodziła mu potomka.

Ostatnie ferie wiosenne Elżbieta postanowiła spędzić w willi na Sardynii. Ponieważ tuż przed końcem semestru ukończyła kurs prawa jazdy, mogła teraz przemierzać okolice Costa Smeralda swoim ulubionym jeepem.

W dzień zażywała morskich kąpiei, a w nocy, leżąc w łóżku, słuchała żalosego zawodzenia "śpiewających skał".

Pewnego razu wybrała się na festiwal do Tempio, gdzie podziwiała narodowe stroje, w których paradowali mieszkańcy pobliskich wiosek. Dziewczęta miały na twarzach przedziwne maski i zapraszały chłopców do zabawy, tańcząc przed nimi w takt muzyki. Tamtej nocy rzadko która broniła im dostępu do swoich wdzięków.

W Punta Murra Elżbieta rozkoszowała się smakiem pieczonych jagniąt przyrządzanych przez Sardyńczyków, piła miejscowe wino selememont, nieznane nigdzie indziej na świecie z tej prostej przyczyny, że łatwo psuło się podczas podróży.

Często też zaglądała do gospody w Porto Cervo. Znajdowało się tam zaledwie dziesięć małych stolików, a za staromodnym kontuarem otyły barman sprzedawał trunki. Przebywała tam w towarzystwie synów z najbogatszych rodzin na wyspie, którzy po obiedzie zapraszali ją na prywatki lub konną jazdę. Czasami co bardziej romantyczni proponowali kąpiel w morzu przy blasku księżyca.

- To džentelmeni w każdym calu - zapewniał ojciec.

Żeby tylko wiedział, jak bardzo się mylił. Wszyscy oni, jak jeden mąż, za dużo pili, zagadywali ją na śmierć i obłapiali przy każdej okazji. Za nic mieli jej osobowość. Nie pytali, co czuje lub jakie ma plany na przyszłość. Liczyły się jedynie jej wdzięki i to, oczywiście, że jest córką wielkiego Roffe'a.

Jakimś dziwnym zmysłem czuli, że jest dziewicą, i sądzili, że jeżeli uda im się zaciągnąć ją do łóżka, to z wdzięczności ona pozostanie ich niewolnicą do końca życia.

- Pragnę pójść z tobą do łóżka, Elżbieto - szeptał każdy z nich, odprowadzając ją po kolacji do domu.

Ci džentelmeni w każdym calu nie rezygnowali nawet wówczas, gdy im grzecznie odmawiała.

Nie wiedzieli, co o niej sądzić. Była piękna, a zatem musiała być głupia. Bo czy ktoś słyszał, aby dziewczyna była nie tylko piękna, ale i - o zgrozo - inteligentna?

Elżbieta umawiała się na randki jedynie po to, aby zadowolić ojca.



Któregoś dnia w ich domu niespodziewanie pojawił się Rhys Williams. Podobał się jej jeszcze bardziej niż wtedy, gdy widziała go po raz pierwszy. On również wydawał się zadowolony ze spotkania z nią.

- Bardzo się zmieniłaś od ostatniego razu - powiedział na powitanie.

- Nie rozumiem, proszę pana.

- A co tu jest do rozumienia? Przeglądałaś się ostatnio w lustrze?

Elżbieta oblała się rumieńcem. Lubiła, gdy tak do niej mówił.

Odkąd się pojawił, nie odstępowała go na krok. Czasem, gdy siedział zajęty rozmową z ojcem, wpatrywała się w jego pogodną twarz i słuchała, jak mówił o interesach.

Po jednej z takich rozmów Rhys zaprosił ją na obiad. zaproponował, by udali się do jej ulubionej gospody w Porto Cervo. Rhys przystał z ochotą. Po obiedzie grał w bilard z zupełnie obcymi mężczyznami i Elżbieta nie mogła się nadziwić, z jaką łatwością nawiązywał kontakty. Był człowiekiem, który wszędzie czuł się dobrze. Idealnie pasowało do niego pewne hiszpańskie określenie: "człowiek o wielu wcieleniach". Po kilku wygranych rundach Rhys wrócił do stolika i zamówił piwo. Siedzieli chwilę w milczeniu, popijając doskonały miejscowy trunk.

- Co słyhać w szkole? - zapytał niespodziewanie Rhys.

- Całkiem nieźle, proszę pana. Dopiero teraz zaczynam rozumieć, jak mało jeszcze umiem.

Rhys uśmiechnął się.

- Doskonale, moja panno. Jesteś lepsza od wielu ludzi, których znam. Dla nich to, co mówisz, byłoby herezją. Szkołę skończysz w sierpniu, prawda?

- Tak, proszę pana.

"Ciekawe, skąd on o tym wie?" - pomyślała.

- Co zamierzasz robić potem?

To pytanie sama zadawała sobie setki razy.

- Nie wiem, proszę pana.

- Czy chcesz wyjść za mąż?

"Chyba nie chce mi się oświadczyć?" - pomyślała, a serce zabiło jej mocniej. Po chwili zdała sobie jednak sprawę, że pytał bez wyraźnej przyczyny.

- Jeszcze nie poznałam nikogo odpowiedniego. Przypomniała sobie madame Harriot i zaśmiała się głośno.

- A może jednak nie mówisz prawdy?

- Może...

Elżbieta chętnie zwierzyłaby mu się z różnych swoich tajemnic, ale nie znała go dostatecznie dobrze. Był czarującym, przystojnym mężczyzną, który pewnego razu ulitował się nad

nią i zgodził się zjeść z nią kolację. Wiedziała też, że doskonale znał się na swojej pracy. W wielu sprawach wyręczał ojca. Nic jednak nie wiedziała o jego życiu osobistym. Był dla niej zagadką.

To przez niego Elżbieta straciła dziewictwo. Od dawna pragnęła zbliżenia z mężczyzną, chociażby dlatego, żeby przekonać się, jak to jest. Musiał to być jednak ktoś wyjątkowo czuły i delikatny.

W najbliższą sobotę ojciec Elżbiety urządzał wystawne przyjęcie.

- Włóż coś ładnego, Elżbieto. Chciałbym cię przedstawić paru osobom - oznajmił przed balem Rhys.

Elżbieta była przekonana, że Williams w nieco zawily sposób zaproponował jej randkę. Była w siódmym niebie i z niecierpliwością oczekiwała na rozpoczęcie balu.

Gdy w końcu ujrzała go w towarzystwie jasnowłosej piękności, wybuchnęła płaczem. Czuła się upokorzona. O północy opuściła przyjęcie w towarzystwie rosyjskiego malarza Wasilewa. Kilka minut później szukała ukojenia w jego ramionach.

Jej pierwsze doświadczenie seksualne okazało się zupełną porażką. Była zbyt zdenerwowana, a Wasilew zbyt pijany, aby dać jej choć namiastkę rozkoszy. Ich zbliżenie zdawało się nie mieć ani początku, ani końca.

Wasilew po prostu zdjął spodnie i zwałił się na nią całym ciężarem ciała. W pierwszej chwili miała ochotę uciec z sypialni. Postanowiła jednak ukarać Rhysa za jego zdradę.

Brodaty malarz wszedł w nią, zanim się spostrzegła. Czuła się dziwnie. Nie... to coś, co poruszało się w niej, nie sprawiało jej bólu. Ale też to, co odczuwała, nie było podobne do trzęsienia ziemi, o którym pisali poeci. Wasilew unosił rytmicznie obwisłe pośladki. Po chwili zaryczał jak raniony zwierzę i zastygł w bezruchu. Jeszcze moment i w całym domu rozległo się jego głośne chrapanie. Elżbieta czuła obrzydzenie. Myślała o Rhysie i chciała jej się płakać.

Następnego dnia rano w towarzystwie Rhysa i ojca odleciała do Szwajcarii na pokładzie ich prywatnego samolotu. Samolot mógł pomieścić aż stu pasażerów. W tylnej jego części znajdowały się dwie sypialnie z łazienkami. Dalej było biuro, skąd ojciec mógł w każdej chwili rozmawiać z przedstawicielami wszystkich agend "Roffe & Sons" na całym świecie. Z biura przez rozsuwane drzwi można było przejść do salonu, a stamtąd do małej galerii obrazów.

Jeszcze jako mała dziewczynka myślała o tym samolocie jak o latającym dywanie jej ojca.

Przez całą niemal podróż ojciec i Rhys rozmawiali o interesach. W wolnej chwili Elżbieta i Rhys zasiedli do szachów. Kiedy Elżbieta wygrała, Rhys powiedział:

- Jestem mile zaskoczony.

- Dziękuję - odparła, a na jej twarzy pojawił się rumieniec.

Kilka miesięcy roku szkolnego minęło błyskawicznie. Nadeszła pora, aby pomyśleć o przyszłości. “Co zamierzasz robić po szkole?” - dźwięczało jej w uszach pytanie Rhysa. Do tej pory nie zastanawiała się nad przyszłością. Pamiętnik pradziadka Samuela sprawił jednak, że coraz bardziej zaczynała się interesować korporacją. Intrygował ją zapis w testamencie dziadka, który mówił, że najpierw jej ojciec, a później ona przejmą całkowitą kontrolę nad firmą.

Zastanawiała się, czy nie powinna pomagać ojcu w taki sam sposób, jak robiła to jej matka. Być może z czasem stałaby się równie doskonałą panią domu jak Patrycja. W każdym razie powinna spróbować.

## Rozdział 14

Ambasador Szwecji położył dłoń na pośladkach Elżbiety i zaczął je ugniatać. Ona jednak starała się nie zwracać na niego najmniejszej uwagi. Tańczyli przecież na balu, który sama przygotowała.

- Jest pani wspaniałą tancerką - szepnął jej do ucha ambasador.

- Pan również świetnie tańczy - odpowiedziała, uśmiechając się słodko do natręta.

Kiedy jednak zacny dyplomata próbował włożyć rękę pod jej bluzkę, stanęła obcasem na jego bucie.

- Boli! - syknął mężczyzna.

- Bardzo przepraszam - odpowiedziała, udając współczucie. - Pozwoli pan, że postawię mu drinka.

Kiedy szli w kierunku baru, Elżbieta spoglądała dyskretnie na tańczących mężczyzn i kobiety, na orkiestrę, na poruszających się bezszelestnie kelnerów i bufet pełen egzotycznych dań i wybornych trunków.

Przyjęcie odbywało się na Long Island, a zaproszeni goście byli niezwykle ważni dla firmy.

“Wszyscy doskonale się bawią - pomyślała z dumą. - Mam nadzieję, że o niczym nie zapomniałam”.

“Perfekcja” była ulubionym słowem jej ojca. Każde przyjęcie musiała więc zaplanować ze szczegółami. W każdej chwili bowiem mogło wydarzyć się coś, co naraziłoby na szwank interesy firmy. Pewnie dlatego nie potrafiła nabrać dystansu do tego, co robiła, mimo że obecne przyjęcie było już setnym, nad którym sprawowała pieczę.

Jako gospodyni odczuwała podwójną satysfakcję: pracowała dla firmy i zarazem spełniły się jej dziewczęce marzenia, aby być blisko ojca.

Powoli przyzwyczała się do tego, że Sam traktował ją bezosobowo. Dla niego warta była tyle, ile mogła wnieść do firmy. W tym wypadku jego stosunek do niej w niczym nie różnił się od sposobu, w jaki traktował pozostałych współpracowników. Nie przypuszczała, że tak będzie, kiedy trzy lata wcześniej postanowiła zająć miejsce matki.

Wróciła teraz w myślach do tamtych wspomnień...

Nazajutrz po rozdaniu świadectw i hucznym balu na zakończenie roku szkolnego zjawiała się w apartamencie w Beekman Place na Manhattanie, gdzie czekali na nią ojciec i Rhys.

- Wejdz, Elżbieto - usłyszała, gdy otworzyła drzwi do biblioteki, w której siedzieli, jak zwykle zajęci rozmową o interesach.

- Jak tam szkoła? Skończyłaś już z nauką?

- Tak, ojcze.

I to było wszystko, co ojciec miał jej do powiedzenia. Nawet w takim momencie nie zdobył się na powiedzenie kilku ciepłych słów.

Natomiast Rhys wstał z sofy i podszedł do niej, śmiejąc się. Zdawał się być szczerze zadowolony na jej widok.

- Wyglądasz prześlicznie - powiedział.

Podobnych słów spodziewała się od ojca.

Poczuła nagły przypływ złości. "Gdybym była jego synem - pomyślała - na pewno objąłby mnie teraz, wypytując o samopoczucie. Jako córka jestem mu obca".

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziała, wycofując się w kierunku drzwi.

- Zaczekaj, Elzbieto - zatrzymał ją Rhys i zwrócił się do Sama: - Może Elzbieta pomogłaby nam zorganizować sobotnie przyjęcie. Co ty na to?

Sam uważnie przyjrzał się córce. Przypominała matkę. Była równie piękna i elegancka.

Elżbiecie przyszło na myśl, że patrzy na nią jak na nowy nabytek firmy.

- Czy masz odpowiednią kreację na taką okazję? - zapytał.

Elzbieta spojrzała na niego zaskoczona.

- Ja... - zaczęła.

- Mniejsza o to. Przecież możesz kupić sobie tyle sukienek, ile zechcesz. Czy potrafiłabyś przygotować przyjęcie?

Elzbieta przełknęła ślinę i odpowiedziała:

- Wydaje mi się, że tak, ojcze. W szkole, którą ukończyłam, uczono nas, jak urządzać bale i wydawać przyjęcia.

- Świetnie. Wkrótce przekonamy się, co potrafisz. W sobotę wieczorem będziemy mieli gości z Arabii Saudyjskiej - skwitował i po chwili zajął się rozłożonymi na biurku dokumentami.

- Chcesz, abym ci pomógł? - zapytał Rhys.

- Nie, dziękuję. Sama zajmę się wszystkim.

Kolacja okazała się niewypałem. Elzbieta kazała szefowi kuchni przygotować koktajle z krabów, które podano razem z wieprzowiną i winem. Arabowie po długiej podróży byli wyczerpani i głodni, lecz mimo to nawet nie tknęli kolacji. Patrzyli tylko na gospodarzy i uśmiechali się.

Elzbieta miała ochotę zapaść się pod ziemię. Siedziała ze spuszczoną głową przy końcu długiego stołu. Gdyby nie Rhys Williams, poważne rozmowy o interesach z pewnością by się nie odbyły. Próbując ratować sytuację, wyszedł na kilka minut z sali, następnie wrócił i zabawiał gości zabawnymi historyjkami, póki kelnerzy bezszelestnie nie uprzątnęli stołu. Po chwili wjechały

wózki z jedzeniem. Najpierw podano potrawy afrykańskie i kulki mielonego mięsa z prosem. Później na stół wniesiono jagnię i kurczaki z rożna, ryby i słodycze.

Wszyscy jedli z apetytem. Tylko Elżbieta nie mogła niczego przełknąć. Potem, gdy po kolacji zostali sami, westchnęła i powiedziała:

- Przepraszam, ojcze. Gdyby nie Rhys...

- Nic się nie stało - przerwał jej Sam. - Następnym razem z pewnością spieszysz się lepiej - dodał chłodno.

Później zrozumiała swój błąd. Powinna była sprawdzić, co jadają goście, zanim przygotowała menu. W tym celu założyła specjalny katalog, gdzie zbierała informacje o wszystkich ważnych osobach odwiedzających ich dom. Każdemu pochlebiało to, że podawano mu jego ulubioną brandy czy częstowano wyśmienitym hawańskim cygarem, które uwielbiał. Wszyscy byli też zadowoleni, że gospodyni doskonale jest zorientowana w interesach.

Rhys był obecny na każdym przyjęciu, zawsze w towarzystwie pięknych kobiet. Elżbieta nienawidziła ich i jednocześnie próbowała się do nich upodobnić. Nosiła więc te same sukienki, czesała się podobnie, a nawet naśladowała ich zachowanie. Jej starania nie wywierały jednak na Rhysie najmniejszego wrażenia.

W dniu jej dwudziestych pierwszych urodzin ojciec poprosił ją, aby kupiła bilety do teatru i zamówiła stoliki w restauracji. Elżbieta była bardzo zadowolona, że Sam pamiętał o jej urodzinach. Chciała zapytać, czy ma być też tort ze świeczkami, gdy ojciec niespodziewanie dorzucił:

- Każ przygotować kolację na dwanaście osób. Po spektaklu i kolacji omówimy nowe kontrakty z Boliwią.

Elżbieta pokiwała tylko głową i ani słowem nie wspomniała o urodzinach.

Tego dnia jeszcze raz mocniej zabiło jej serce. Otóż późnym popołudniem przyniesiono z kwaciarni ogromny bukiet kwiatów. "W końcu Sam przypomniał sobie o mnie" - pomyślała i otworzyła kopertę z życzeniami. Były podpisane przez... Rhysa Williamsa.

Ojciec wyszedł z domu o dziewiętnastej, śpiesząc się do teatru. Przechodząc obok jej pokoju, zauważył kwiaty.

- Cóż za hojny adorator - powiedział, poprawiając krawat.

Kusiło ją, aby zdradzić ojcu, że kwiaty są prezentem urodzinowym. Ale czy miało to jakiś sens? Nie mogła przecież nakazać mu pamiętania o jej urodzinach. Lepiej było pozostawić sprawy swojemu biegowi. Zastanawiała się tylko, czy pamiętałby o dwudziestych pierwszych urodzinach syna, który urodziłby się zamiast niej, czy też, podobnie jak ona, syn samotnie spędzałby ten wyjątkowy dzień w życiu. Czuła się okropnie.

O dwudziestej drugiej przebrała się w piżamę i naląła sobie kieliszek białego wina. Po godzinie, gdy powoli zaczęła zapadać w sen, rozległo się nagle: “Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin” - śpiewane na korytarzu.

Zanim zdążyła zareagować, Rhys Williams uniósł ją z fotela i pocałował.

- Myślałam, że jesteś teraz z ojcem - powiedziała zaskoczona.

- Powinienem być, ale gdy tylko pojawiłem się w teatrze, odprawił mnie. “Zajmij się Elżbietą - powiedział. - Kończy dziś dwadzieścia jeden lat”. Ubierz się, idziemy gdzieś na kolację.

- Nie, dziękuję, Rhys. Wolę spędzić ten wieczór samotnie w domu.

- Nic z tego, moja panno. Jeżeli zaraz się nie ubierzesz, zabiorę cię do restauracji w piżamie!

Kolację zjedli na Long Island. Szef kuchni specjalnie dla niej przyrządził hamburgery z chili i smażoną cebulą. Pili zimne korzenne piwo. Elżbieta czuła się wspaniale, jeszcze cudowniej niż przed laty w “Maximie”.

Rhys skupiał na niej całą swoją uwagę. Powoli zaczynała rozumieć, dlaczego kobiety tak bardzo do niego lgnęły. Był bowiem nie tylko wyjątkowo przystojnym mężczyzną, ale też wybornym znawcą kobiecej natury. Przy nim każda czuła się wyjątkowo i za to pewnie kochały go niezliczone rzesze kobiet, którymi się otaczał.

Rhys opowiadał Elżbiecie o swoim dzieciństwie. W jego ustach przypominało to nieco historyjkę żądnego przygód młodzieńca. Uciekł z domu, bo bardzo chciał poznać świat. Pragnął być kimś znaczącym. Życie ubogiego Walijszyka zupełnie mu nie odpowiadało.

Mówiąc o sobie, nawet nie przypuszczał, że w osobie Elżbiety znajdzie doskonałego słuchacza. Po lekturze pamiętnika Samuela świetnie rozumiała jego młodzieńcze tęsknoty.

- Oprowadzałem turystów po parkach i plażach lub woziłem po rwącej rzece w łódce z nieprzemakalnego materiału rozpiętego na wiklinowej ramie. Pewnie nigdy nie byłaś w Walii? - Elżbieta pokręciła przecząco głową. - Na pewno spodobałby ci się wodospad Yale w Neath czy też tajemnicze, pełne uroku miejsca, takie jak: Abereiddi, Caerbwdi, Porthclais, Kilgetty oraz Llangwm Uchaf.

- A mimo to opuściłeś tę bajkową krainę?

- Bo chciałem rządzić światem. Powinien był dodać, że nadal chce.

Elżbieta, podobnie jak kiedyś jej matka, robiła wszystko, aby Sam mógł spokojnie skoncentrować się na swojej pracy. Przyjmowała więc i zwalniała służbę. Sprawowała pieczę nad ich licznymi posiadłościami. Była powiernikiem i doradcą ojca. Często zasięgał jej opinii na temat któregoś z biznesmenów bądź też tłumaczył tok postępowania przy załatwianiu różnych drażliwych spraw.

Elżbieta była obecna, gdy podejmował wszystkie ważne decyzje, mające wpływ na życie tysięcy ludzi lub dzięki którym korporacja zarabiała miliony dolarów. Była też świadkiem, jak głowy państw błagały go, aby otworzył lub zamknął którąś z fabryk w ich kraju.

Po jednym ze spotkań Elżbieta zauważyła:

- Zarządzanie korporacją do złudzenia przypomina rządzenie krajem. Sam zaśmiał się i odparł:

- "Roffe & Sons" ma większe dochody niż niejeden kraj na świecie.

Podczas zagranicznych wojaży u boku ojca poznała całą swoją liczną rodzinę.

Najbardziej polubiła Simonettę i Ivo Palazzich. Byli niezwykle gościnni i, jak przystało na południowców, mieli duży temperament. Dzięki temu różnili się od ludzi, którzy otaczali ją na co dzień. Ivo przy każdej okazji dawał jej odczuć, że jest bardzo atrakcyjną kobietą. Miał w sobie dużo ciepła i uroku.

Inaczej rzecz się miała z Heleną Roffe-Martel. Od samego początku Elżbieta nie czuła do niej sympatii. Wprawdzie Helena była dla niej miła, ale traktowała ją z pewną wyższością. Co do jej męża, to wydawał się być sympatycznym człowiekiem, choć z tego, co mówił ojciec, wynikało, że brakowało mu inicjatywy. Mimo to filia, którą zarządzał, przynosiła niezłe zyski. Podejrzewano jednak, że była to zasługa Heleny.

Elżbieta bardzo lubiła swoją niemiecką kuzynkę - Annę Roffe Gassner i jej męża Walthera, mimo że uważano go powszechnie za czarną owcę.

Zresztą sam Walther nie krył, że ożenił się z mało atrakcyjną Anną dla jej pieniędzy. Mimo to podczas rodzinnych uroczystości wydawał się zakochany w Annie i trudno było uwierzyć w plotki, które o nim rozgłaszano. Miał urodę gwiazdora filmowego, przy czym nie był ani arogancki, ani pretensjonalny. Nie uważała też, by Anna była mało atrakcyjną kobietą. Należała jedynie do osób niezwykle wrażliwych, trochę zagubionych i nieśmiałych.

Największą sympatią Elżbieta darzyła swojego kuzyna Aleca Nicholasa. Zawsze kiedy miała problemy, zwracała się do niego o pomoc. Ujmował ją swoją łagodnością i wrażliwością. Pamiętała, jak kiedyś zrozpaczona próbowała uciec z domu. Spakowała swoje rzeczy i przed wyjściem z domu postanowiła zadzwonić do Aleca, aby się z nim pożegnać. W tym czasie miał ważną konferencję. Mimo to jednak odbył z nią długą rozmowę, po której postanowiła przebaczyć ojcu i pozostać w domu. Nie bardzo rozumiała tylko, co Alec widział w Vivian, kobiecie chyba najbardziej egoistycznej i bezdusznej na świecie.

Kiedyś Alec zaprosił Elżbietę na weekend do swojej posiadłości w Gloucestershire. Ponieważ on i Vivian byli czymś zajęci, Elżbieta postanowiła urządzić sobie mały piknik w pobliżu



lasu. Miała jednak pecha. Kiedy rozłożyła koc i zaczęła wyciągać z wiklinowego kosza smakołyki, rozpadła się deszcz i musiała wrócić do domu.

Przechodząc obok pokoju stołowego, przypadkowo podsłuchiwała rozmowę swoich gospodarzy.

- Zabawiaj sam swoją małą kuzyneczkę! - mówiła podniesionym głosem Vivian. - Jadę do Londynu. Mam tam spotkanie.

- Możesz je przecież odwołać. Elżbieta jutro wyjeżdża.

- Nic mnie to nie obchodzi! Mam ochotę zaszaleć i nikt mi w tym nie przeszkodzi.

- Na miłość boską, Vivian!

- Daj spokój, stary nudziarzu. Nie będziesz mi przecież prawil kazań.

Po chwili Vivian wypadła jak burza z pokoju, zupełnie ignorując Elżbietę, i popędziła na górę.

- Wejdz, Elżbieto - usłyszała spokojny głos Aleca.

Stał zapatrzony przed siebie i palił fajkę.

- Musisz zrozumieć Vivian - odezwał się po dłuższej chwili.

- Sama nie wiem, co powiedzieć. W końcu to są wasze sprawy... - urwała zakłopotana.

- Mimo to nie chcę, abyś źle o niej myślała. Elżbieta nie mogła uwierzyć własnym uszom.

Alec bronił Vivian po tym, jak go potraktowała.

- Czasem nawet w najlepszych rodzinach - mówił dalej - małżonkowie mają różne potrzeby. - Zrobił przerwę, szukając odpowiednich słów. - Ponieważ nie potrafię sprostać niektórym jej wymaganiom... To nie jej wina, zrozum.

- Mylisz się, Alec. - Jego spokój wytrącił ją z równowagi. - Czy ona spotyka się z innymi mężczyznami?

- Tak... - odparł cicho.

- Dlaczego więc nie rozwiedziesz się z nią? Alec uśmiechnął się.

- Bo ją kocham.

Od tamtej pory Alec stał się Elżbiecie bardzo bliski.

Od pewnego czasu Sama coś niepokoiło. Stał się małomówny i zamknięty w sobie. Na pytania Elżbiety o powód jego zmartwień odpowiadał, że to nic ważnego i wkrótce się wyjaśni. Kiedy więc oznajmił jej któregoś dnia, że wyjeżdża w góry, do Chamonix, ucieszyła się, że trochę odpocznie. Był przemęczony i wyglądał mizernie.

- Załatwię ci rezerwację, ojciec - zaproponowała.

- Nie trzeba, kochanie, sam się wszystkim zająłem.

Tamtego wieczoru rozmawiali po raz ostatni. Wyjechał następnego dnia rano po to, aby zginąć gdzieś na dnie przepaści.

Elżbieta leżała w ciemnym pokoju, wspominając przeszłość. Śmierć ojca wydawała się nierealna, być może dlatego, że tak bardzo zdominował jej życie.

Zastanawiała się nad losem korporacji. Jej ojciec był ostatnim męskim potomkiem rodziny, sprawującym kontrolę nad firmą. Ciekawe, komu przekazał władzę?

Nie musiała długo czekać na odpowiedź. Tego samego wieczoru złożył jej wizytę adwokat Sama i oznajmił, że ma ze sobą kopię testamentu, z którego wynikało, że kontrolny pakiet akcji korporacji "Roffe & Sons" przechodzi w... jej ręce.

Elżbieta nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Co sprawiło, że właśnie mnie uczynił swoim następcą? - To pytanie zadała prawnikowi. Stary Robertson odchrząknął i powiedział:

- Pozwoli pani, że będę szczery. Otóż pani ojciec był stosunkowo młodym człowiekiem i nie spodziewał się rychłej śmierci. Testament, który pani odczytałem, spisał dawno temu, i jestem przekonany, że gdyby teraz miał zdecydować, komu przekazać władzę, wybrałby kogoś zupełnie innego. Tym bardziej że do tej pory żadna kobieta nie sprawowała funkcji prezesa firmy. W piątek w Zurychu odbędzie się walne zebranie członków zarządu. Czy będzie pani obecna?

- Tak - odpowiedziała Elżbieta.

Gdyby się nie zgodziła, Sam i Samuel nigdy by jej tego nie wybaczyli.

CZĘŚĆ DRUGA

PORTUGALIA, ŚRODA, 9 WRZEŚNIA, PÓŁNOC

W apartamencie przy Rua dos Bombeiros kręcono niezwykle film. Wszystkiemu przyglądał się mężczyzna w ciemnych okularach i dużym czarnym kapeluszu. Prócz niego obecny był jeszcze kamerzysta i reżyser w jednej osobie oraz aktorzy: trzydziestoletni, dobrze zbudowany mężczyzna oraz młoda, zgrabna blondynka. Oboje byli zupełnie nadzy. Jej szyję zdobiła jasnoczerwona kokardka, zaś jego sterczący penis imponował niezwykle wielkimi rozmiarami.

Kamerzysta spojrzał pytająco na obserwatora, a kiedy tamten pokiwał głową, włączył kamerę i krzyknął:

- Kręcimy!

Mężczyzna uklęknął na wprost twarzy kobiety i włożył jej do ust członek. Po chwili, kiedy członek nabrzmiał jeszcze bardziej, wyjął go i rozkazał dziewczynie położyć się na łóżku.

- O Boże, jaki on duży! - powiedziała, delikatnie dotykając penisa palcami.

- Wejź w nią! - krzyknął kamerzysta.

- Nic z tego - dziewczyna pokręciła przecząco głową i odsunęła się od mężczyzny.

Krwawa linia

- Przestań kaprysić, moja panno. Bierz się do roboty! - Kamerzysta był wyraźnie poirytowany.

- Za nic w świecie! Jego członek jest wielkości melona!

Po chwili pokiwała głową z rezygnacją i wykonała polecenie.

Obserwator w czarnych okularach pochylił się, aby nie uronić niczego z rozpoczynającego się aktu.

- Pamiętaj, że ma ci się to podobać - upomniął dziewczynę kamerzysta.

- O mój Boże! - jęknęła. - Włóż go głębiej!

Anonimowy widz oddychał coraz szybciej. Dziewczyna była najładniejsza z trzech, które dotąd oglądał. Teraz wiła się jak węgorz, powtarzając:

- Nie przestawaj!... O tak!... Mocniej! - Chwyliła mężczyznę za biodra i zaczęła rytmicznie przyciągać go do siebie. Po chwili ruchy jej ciała stały się coraz szybsze i w końcu wysapała: - Już jest!... O Boże!... Czuję się jak w raju!

Kamerzysta ponownie spojrzał na obserwatora. Na twarzy mężczyzny pojawiły się kropelki potu.

- Teraz! - rozkazał kamerzysta.

Dryblas chwycił dziewczynę za gardło i zaczął dusić. Blondynka była przerażona. Na próżno próbowała wyzwolić się ze śmiertelnego uścisku. Orgazm, który nadal przeżywała, zmieszał się z agonią.

Pot lał się strużkami z czoła obserwującego mężczyzny. Jego podniecenie sięgnęło zenitu. Wstał z miejsca, aby lepiej przyjrzeć się ciału wijącemu się w śmiertelnych konwulsjach. Oddychał głęboko, chwytając łapczywie powietrze.

Dziewczyna została ukarana. Czuł się jak młody bóg.

ZURYCH, PIĄTEK, 11 WRZEŚNIA, POŁUDNIE

Budynki zarządu korporacji rozlokowane były na sześćdziesięciu akrach ziemi wzdłuż Sprettenbach, w zachodniej części miasta. Najwyższy z nich, ze szkła i aluminium, miał dwanaście pięter. Spośród pozostałych budynków, w których mieściły się laboratoria, wyróżniał się kształtem. Na jedenastym i dwunastym piętrze znajdowało się centrum dowodzenia całej korporacji “Roffe & Sons”.

W sekretariacie przyjmował gości sekretarz korporacji i towarzyszył osobiście tym wszystkim, którzy uzyskali przepustkę do budynku. Wystrój sekretariatu utrzymany był w kolorze zielonym i białym. Wnętrze wypełniały eleganckie duńskie meble.

Po prawej stronie biurka sekretarza znajdowały się windy. Najszybsza z nich, zwana “ekspresem” z powodu szybkości, z którą przemieszczała się między piętrami, zarezerwowana była dla samego prezesa.

Tego ranka przewoziła członków zarządu do gabinetu, w którym do niedawna urzędował Sam Roffe. Niektórzy z dyrektorów nie musieli korzystać z “ekspresu”, ponieważ przylecieli prywatnymi helikopterami, które jeden po drugim lądowały na dachu biurowca.

Sir Alec Nichols, Walther Gassner, Ivo Palazzi i Charles Martel siedzieli w sali konferencyjnej, nerwowo wyczekując przybycia piątego i najważniejszego członka rodziny i być może przyszłej królowej farmaceutycznego imperium.

- Przyjechała limuzyna panny Roffe - poinformowała Kate Erling. Rozejrzała się też bacznie dokoła, sprawdzając, czy pióra i notatniki leżały na swoim miejscu i czy przy każdej z osób stoi karafka z wodą.

Kate Erling była osobistą sekretarką Sama Roffe'a od piętnastu lat. I mimo jego śmierci, nie zaniedbywała swoich obowiązków.

Upewniwszy się więc, że wszystko jest w porządku, pokiwała głową z aprobatą i wyszła z sali.

Czarna limuzyna zatrzymała się przy wejściu do budynku. Szofer otworzył drzwi i pomógł Elżbiecie wysiąść. Była ubrana w czarny, doskonale skrojony kostium i białą bluzkę. Jej twarz bez makijażu była nienaturalnie blada. Natychmiast otoczył ją tłum reporterów.

- Jestem z “L'Europero”, panno Roffe. Kto teraz będzie kierował korporacją, gdy pani ojciec...

- Proszę spojrzeć w moją stronę i uśmiechnąć się do czytelników...

- “Associated Press”: czy pani ojciec pozostawił testament?

- "New York Daily News": pani ojciec był ekspertem we wspinaczce wysokogórskiej. Czy wiadomo już, jak doszło do tragedii?

- "Wall Street Journal": czy może pani powiedzieć, jak wygląda budżet korporacji?

- Jestem z "London Times". Planuję napisać artykuł o pani ojcu...

Trzech strażników pomagało Elżbiecie przecisnąć się przez gęstniejący tłum przedstawicieli mass mediów.

- Prosimy o jeszcze jedno zdjęcie, panno Roffe...

Za reporterem z aparatem fotograficznym w ręku zatrzasnęły się drzwi. Elżbieta odetchnęła z ulgą i ruszyła w kierunku windy. Kiedy znalazła się w sali konferencyjnej, pierwszy powitał ją Alec Nichols.

- Tak mi przykro, Elżbieto. Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci tym tragicznym wypadkiem. Vivian i ja próbowaliśmy zadzwonić, ale...

- Tak, wiem - przerwała Elżbieta. - Dziękuję, że nie zapomniałeś o mnie.

- Cara - Ivo Palazzi pocałował ją czule w policzek - co tu dużo mówić, musisz wziąć się w garść.

- Tak, wiem, Ivo. Dziękuję.

- Przyjmij nasze kondolencje, Elżbieto. Jeżeli ja lub Helena moglibyśmy ci w czymś pomóc, to...

- Wiem, dziękuję, Charles.

Ostatni przywitał się z nią Walther Gassner.

- Anna i ja pragniemy wyrazić nasz głęboki smutek z powodu tego, co się stało.

- Dziękuję, Waltherze.

Chciała uciec na koniec świata, od tych ludzi, którzy przypominali jej ojca. Pragnęła być sama.

Rhys Williams obserwował ją bacznie. Czuł, że jeżeli za chwilę nie wkroczy, nowy prezes korporacji zapewne wybuchnie płaczem. Wyciągnął rękę i powiedział:

- Witaj, Liz.

- Witaj, Rhys. - Ostatni raz widziała go, gdy zjawił się, by powiadomić ją o śmierci ojca. Zdawało jej się, że od tamtej pory minęły wieki.

- Pozwolisz, Elżbieto, że rozpoczniemy posiedzenie.

- Tak, proszę.

Mężczyźni zajęli miejsca przy dużym dębowym stole. Rhys odprowadził Elżbietę na miejsce, gdzie do tej pory zasiadał jej ojciec. Po chwili nacisnął mały przycisk w rogu stołu i pojawiła się Kate Erling, niosąc pióro i notatnik. Usiadła na krześle za plecami Elżbiety.

Pierwszy odezwał się Alec.

- Śmierć Sama jest ciosem dla nas wszystkich. Dlatego przez pamięć dla niego oraz w naszym własnym interesie powinniśmy zadbać o to, aby firma jak najszybciej odzyskała dobre imię.

- D'accord, prasa narobiła ostatnio wiele hałasu wokół "Roffe & Sons" - mruknął Charles.

- Dlaczego? - zapytała Elżbieta.

- Mamy kilka poważnych problemów, Elżbieto - tłumaczył Rhys. - Czekają nas kilka rozpraw sądowych. Naciskają na nas zarówno banki, jak i rząd. Z każdym dniem tracimy klientów.

- Nie jest jeszcze za późno, cara - pocieszał Ivo. - Wszystko można jeszcze uratować.

- Jak? - zapytała Elżbieta.

- Pozbywając się naszych akcji - odparł Walther, a Charles dodał:

- W ten sposób spłacimy długi bankom i jeszcze zostanie sporo dla nas.

- Co ty na to, Alec? - zapytała Elżbieta.

- Wszyscy jesteśmy jednomyślni w tej kwestii. Należy jak najszybciej wprowadzić do firmy obcy kapitał.

Elżbieta zastygła w bezruchu, myśląc o czymś intensywnie.

- Mam tu przygotowane wszystkie dokumenty. - Rhys położył przed nią szarą teczkę. - Wystarczy, że złożysz swój podpis.

- Jeżeli podpiszę, to co się stanie?

- Biura maklerskie są gotowe utworzyć konsorcjum i rozpiścić akcje, sprzedając je po najkorzystniejszych cenach. O nasze udziały będą się ubiegały najbogatsze firmy prywatne i państwowe.

- Masz na myśli banki i firmy ubezpieczeniowe, Charles?

- Tak, Elżbieto.

- I ich przedstawiciele zasiądą w naszym zarządzie.

- Zwykle tak się dzieje...

- I przejmą kontrolę nad "Roffe & Sons"?

- No cóż... W końcu jako jedni z dyrektorów korporacji również będziemy mogli podejmować ważne decyzje...

- Mówiłeś, Charles, że firmy maklerskie są gotowe przystąpić do sprzedaży...

- Tak, Elżbieto, od dawna.

- To dlaczego do tej pory w naszym zarządzie nie zasiadł ani jeden nowy dyrektor? Charles spojrzał na nią zmieszany.

- Nie rozumiem.

- Skoro wszyscy się zgadzają na sprzedaż akcji, to dlaczego do tej pory tego nie uczyniono?

W sali zaległa głucha cisza, którą po chwili przerwał Ivo.

- Widzisz, cara, otóż wszyscy bez wyjątku muszą wyrazić na to zgodę.

- Więc kto jest temu przeciwny?

- Był... twój ojciec, Elżbieto - wtrącił Rhys - prezes korporacji, Sam Roffe.

Nagle Elżbieta zdała sobie sprawę, że mimo smutku i żalu, w jakim pogrążona była przynajmniej część rodziny, odczuwało się atmosferę triumfu.

“Przygotowaliśmy wszystkie dokumenty. Tylko je podpisz” - dźwięczało jej w uszach.

- Jeżeli to, co proponujecie, jest słuszne, to dlaczego ojciec tak bardzo się temu sprzeciwiał?

- Miał swoje dziwaczne pomysły - odezwał się Walther. - Potrafił być bardzo uparty, jeżeli mu na czymś bardzo zależało.

“Jak stary Samuel - pomyślała Elżbieta. - Nigdy nie wpuszczaj lisa do kurnika, bo któregoś dnia może zgłodnieć” - przypomniały się jej słowa pradziadka. Sam również nie chciał oddać zarządu w obce ręce i zapewne miał ku temu swoje powody.

- Pozwól nam zająć się wszystkim, cara. Znamy się na interesach lepiej niż ty.

- Kiedy twoje akcje zostaną sprzedane - dodał Walther - dostaniesz tyle pieniędzy, że będziesz je mogła wydawać do końca życia.

To, co powiedział Walther, nie było pozbawione sensu. Mogła przecież zamieszkać na Florydzie lub Bermudach i cieszyć się życiem. Lepsze to niż zajmowanie się problemami, które ją przerastały.

- Elżbieto, tracimy czas. - Charles stał się niecierpliwy. - Wiesz doskonale, że nie masz wyboru.

Elżbieta była jednak innego zdania. Podobnie jak ojciec miała tu wiele do powiedzenia. Mogła zgodzić się na sprzedaż udziałów, ale mogła też odwlec ten moment, aby dowiedzieć się, dlaczego wszyscy tak bardzo nalegają, aby zrzekła się swoich praw do decydowania o losach “Roffe & Sons”.

Spojrzała na Rhysa, zastanawiając się, o czym myśli. Jego spokojna twarz wydawała się nieprzenikniona. Wiele dałaby za to, aby móc porozmawiać na osobności z Kate Erling. Musiała dużo wiedzieć, skoro przepracowała u boku ojca aż piętnaście lat.

Członkowie rodziny Roffe, wstrzymując oddech, czekali na jej odpowiedź.

- Nie zamierzam podpisać tych dokumentów - powiedziała stanowczo. - Przynajmniej na razie.



- Co takiego?! - Walther był wzburzony. - Musisz je podpisać. Wszystko zostało przygotowane.

- Walther ma rację. Musisz podpisać - odezwał się Charles.

Nagle wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, wykrzykując swoje racje.

- Dlaczego nie chcesz podpisać tych dokumentów? - nalegał Ivo.

Nie mogła mu odpowiedzieć, że ojciec na jej miejscu postąpiłby podobnie i że podejrzane wydaje jej się to, że tak na to nalegają. Czowała, że coś się za tym kryje, i miała zamiar poznać prawdę.

- Potrzebuję trochę czasu - powiedziała spokojnie.

Wszyscy popatrzyli po sobie.

- Jak długo każesz nam czekać, cara? - Ivo z trudem tłumił złość.

- Nie wiem. Muszę wszystko przemyśleć.

- A co tu jest do myślenia?! - wybuchnął Walther.

- Zgadzam się z Elżbietą - odezwał się nagle Rhys.

Ivo i Walther spojrzeli na niego z wyrzutem.

- Zanim podejmie decyzję, powinna poznać szczegółowo problemy nękające firmę.

Wszyscy w skupieniu analizowali słowa Rhysa. Pierwszy odezwał się Alec.

- On ma rację.

- Bez zgody Elżbiety nic nie możemy zrobić - dodał Charles z rezygnacją.

- Zrozum, dziewczyno, musisz jak najszybciej podjąć decyzję - błagał Ivo, składając ręce jak do modlitwy.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, ale, jak mówiłam, potrzebuję czasu.

Członkowie zarządu pokiwali ze zrozumieniem głowami.

“O, Boże! - pomyślał jeden z siedzących w sali mężczyzn. - Ona też będzie musiała zginąć”.

Elżbieta była przerażona. Wiele razy odwiedzała biura ojca w Zurychu, ale zawsze była gościem. Teraz władza, która należała do Roffe'a, spoczywała w jej rękach.

Czuła się nieco zagubiona w dużym gabinecie, urządzonym przez Ernesta Hohla. W jednym końcu pokoju stał sekretarzyk Roentgena, nad którym wisiał krajobraz pędzla Milleta. Znajdował się tam też duży kominek, przed którym stała skórzana sofa, stolik do kawy i cztery krzesła. Na ścianach wisiały płótna: Renoira, Chagalla, Klee i dwa wczesne malowidła Courbeta.

Obok sofy stało solidne mahoniowe biurko, na którym znajdowało się kilka aparatów telefonicznych. To stąd można było połączyć się bezpośrednio ze wszystkimi filiami korporacji na świecie. Nad biurkiem wisiał portret Samuela Roffe'a.

Osobne drzwi prowadziły do przebieralni, z przepastnymi szufladami, z których na szczęście ktoś wyjął ubrania ojca. Elżbieta zajrzała do łazienki wyłożonej marmurowymi kafelkami. Na wieszakach wisiały świeże tureckie ręczniki. Szafka z przyborami toaletowymi ojca była również pusta. Wszystko uprzątnęła zapewne Kate

Erling. "Być może była zakochana w ojcu" - przemknęło Elżbiecie przez myśl.

W kolejnym pomieszczeniu znajdowała się sauna, pokój do ćwiczeń z pełnym wyposażeniem, salon fryzjerski i jadalnia, w której jednorazowo mogło posilić się sto osób. Kiedy przyjmowano gości z zagranicy, na stole stawiano proporczyk z barwami jego kraju.

Prócz dużej jadalni dla gości istniała jeszcze jedna, mała, w której jadał wyłącznie Sam. Obydwie obsługiwało dwóch szefów kuchni, jeden dyżurował w ciągu dnia, drugi - w nocy. Każdy z nich potrzebował bardzo niewiele czasu na przyrządzenie smacznej kolacji czy śniadania dla kilkunastu osób.

Elżbieta usiadła za biurkiem, które ugięło się pod stosem zaległej korespondencji. Nie wiedziała, od czego zacząć. Pomyślała o ojcu, o jego niezwyklej inteligencji i poczuła się zagubiona. Wiele dałaby za to, aby był tu teraz przy niej.

Przypomniała sobie rozmowę z Nicholsem tuż przed jego odlotem do Londynu.

- Przemyśl sobie wszystko, Elżbieto - doradzał. - Nie poddawaj się presji. - Zdawał się być szczery wobec niej.

- Sądzisz, że powinnam zgodzić się na sprzedaż akcji?

- No cóż... Jak wiesz, ja także mam w tym swój interes. Pensje, które otrzymujemy, nikogo już nie zadowolają.

Miała ochotę nacisnąć guzik intercomu pod nazwiskiem Aleca i oznajmić mu, że podjęła zadowolającą wszystkich decyzję. Zawahała się jednak i po chwili zastanowienia wezwała do siebie Rhysa.

- Nieźle wszystkich zaskoczyłaś - przywitał ją od progu.

- Przykro mi z tego powodu.

- Przykro?! Jeszcze jedno takie posiedzenie, a cały zarząd "Roffe & Sons" wylądaje na oddziale intensywnej terapii. - Przez chwilę przyglądał się badawczo Elżbiecie. - Dlaczego nie zgodziłaś się podpisać dokumentów, Liz?

Cóż mogła mu odpowiedzieć? To, że jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, aby tego nie robiła? A może upór, z jakim jej ojciec dążył do zachowania kontroli nad korporacją, miał jakiś sens?

Rhys zdawał się czytać w jej myślach, bo nagle powiedział.

- Twój pradziad wymyślił regułę, zgodnie z którą należy trzymać obcych jak najdalej od korporacji. W jego czasach "Roffe & Sons" była jeszcze niewielką firmą. Od tamtej pory wiele się zmieniło. Jesteśmy obecnie jedną z największych filii farmaceutycznych na świecie. Na barki każdego, kto znajdzie się na miejscu twojego ojca, spadnie olbrzymia odpowiedzialność.

Elżbieta słuchała Rhysa i zastanawiała się, czy w ten elegancki sposób nie daje jej przypadkiem do zrozumienia, żeby się po prostu poddała.

- Jeżeli spróbuję zająć miejsce Sama, pomożesz mi?

- Doskonale wiesz, że możesz na mnie liczyć. Jego słowa dodały jej otuchy. Rhys wydawał się być jedyną osobą, na którą mogła liczyć.

- Zanim zabierzesz się do pracy, proponuję, abyśmy się wybrali na małą wycieczkę po wytwórni leków. Ta, którą obejrzymy, jest największa w całej światowej sieci fabryk. Jak ci wiadomo, prócz lekarstw produkujemy też inne artykuły. Między innymi są to artykuły chemiczne, perfumy, witaminy, lakiery do włosów oraz pestycydy. Wytwarzamy również kosmetyki i instrumenty bioelektroniczne. Zajmujemy się także produkcją żywności. - Elżbieta, uczestnicząc w licznych posiedzeniach zarządu, wiedziała o wszystkim, o czym informował ją teraz Rhys. Nie przerywała mu jednak. Zawsze lubiła go słuchać. - Wydajemy magazyny i opracowania naukowe dla lekarzy. Mamy wielkie cementownie oraz zakłady pod specjalnym nadzorem, w których produkujemy materiały wybuchowe. - Rhys mówił o wszystkim z wielką dumą. Sposób, w jaki przemawiał, do złudzenia przypominał jej ojca. - "Roffe & Sons" posiada filie w przeszło stu krajach, z których zyski odprowadzane są tu, do Zurychu. - Zrobił pauzę, aby upewnić się, czy Elżbieta rozumiała sens jego ostatnich słów. - Aż trudno uwierzyć, że firma, którą założył żydowski chłopak, wnosząc do niej udział w postaci kulawej szkapki i fiołki z surowicą, rozrosła się

do sześćdziesięciu potężnych zakładów, rozlokowanych na całym świecie. W samych tylko Stanach Zjednoczonych w zeszłym roku zarobiliśmy kilka miliardów dolarów.

“Dlaczego więc mamy kłopoty ze spłatą kredytów w banku?” - zastanawiała się Elżbieta.

- Czy chciałabyś obejrzeć nasz magazyn wart sto milionów dolarów?

Rhys wziął ją za rękę i zaprowadził do budynku chronionego przez uzbrojonych strażników. Pokazał im przepustkę i chwilę potem znaleźli się wewnątrz długiego oszklonego korytarza, prowadzącego do magazynu.

Pomieszczenie wypełniały tysiące rozmaitych buteleczek, słoiczków i fiolek.

- Dlaczego nazywacie to magazynem wartym sto milionów dolarów?

- Bo tyle kosztują zgromadzone tu specyfiki. Nie mają one nazw, tylko kolejne numery. Otóż zanim wyprodukujemy skuteczny lek, powstaje przeciętnie tysiąc innych, zupełnie bezużytecznych, które trafiają do tego pomieszczenia. Czasami wydajemy kilka milionów na wytworzenie leku, który okazuje się mało skuteczny bądź też w jego produkcji wyprzedziła nas konkurencja. Nie wyrzucamy wtedy tych fiolek na śmietnik, bo mogą się przydać do produkcji jakiegoś innego leku.

- Rozumiem.

- Chodź, pokażę ci magazyn, w którym trzymamy rzadkie leki, na które także wydajemy miliony dolarów, nie odzyskując ani centa.

Ten niezwykle magazyn znajdował się w sąsiednim budynku i również od podłogi po sufit wypełniony był buteleczkami lekarstw.

Rhys podszedł do najbliższej półki i zdjął słoiczek z napisem “botulizm”.

- Czy wiesz, ile buteleczek tego specyfiku sprzedaliśmy zeszłego roku w USA? Dwadzieścia pięć. Wolę nie wspominać, ile milionów dolarów kosztowało wyprodukowanie go i magazynowanie. Zgadnij, do czego służy ten lek? - Elżbieta wzruszyła ramionami. - Otóż to jest antidotum na zatrucie jadem kiełbasianym. Jest tu zresztą jeszcze wiele innych medykamentów leczących rzadkie choroby. Przekazujemy je w darze wojsku i szpitalom.

- To szlachetny cel - powiedziała Elżbieta. - Staremu Samuelowi też by się to spodobało - dodała cicho.

Następnie Rhys zaprowadził Elżbietę do hali, gdzie automaty napełniały buteleczki lekarstwami. Później zwiedzali pomieszczenia do sterylizacji, skąpane w świetle ultrafioletowym. Obok znajdowały się małe sale, pomalowane na kolor biały, zielony i niebieski. Pracujący tam ludzie mieli na sobie kombinezony tej samej barwy co sala, w której się znajdowali.

Za każdym razem, gdy wychodzili lub wchodzili do pomieszczenia, musieli przebierać się w specjalnej komorze do sterylizacji.

- Pokażę ci coś, co z pewnością cię zainteresuje - powiedział Rhys, prowadząc Elżbietę w kierunku drzwi z napisem "Obcym wstęp wzbroniony".

Popchnął drzwi i przestąpili próg dużego, słabo oświetlonego pomieszczenia. Panował tu ogromny zaduch, jakby znaleźli się w środku tropikalnej dżungli.

Wewnątrz znajdowały się klatki ze zwierzętami: małpami, kotami, chomikami i białymi myszami. Niektóre zwierzęta biegały nerwowo po klatkach, inne zaś leżały w letargu. Ich ciała spoczywały w nienaturalnych pozach i były pokryte guzami. Uwagę Elżbiety przyciągnął mały biały kotek z odkrytym mózgiem, osłoniętym jedynie plastikowym workiem, przez który wystawały elektrody. Odór i hałas były tu nie do zniesienia.

- Czy ta biała kotka musi tak cierpieć? - zapytała Elżbieta stojącego przy klatce mężczyznę w białym fartuchu.

- Badamy nowy środek uspokajający, proszę pani - wyjaśnił mężczyzna.

- Oby wam się powiodło - odpowiedziała Elżbieta i pobiegła do drzwi wyjściowych.

- Nic ci nie jest? - zapytał Rhys, próbując dotrzymać jej kroku.

- Zrobiło mi się niedobrze, ale już mija. Czy te wszystkie eksperymenty są konieczne?

- Niestety tak, Elżbieto. Uratowały wiele istnień ludzkich. Prawie połowa ludzi urodzonych po 1950 roku żyje dzięki nowoczesnym lekom.

Elżbieta potrzebowała całego tygodnia na zwiedzenie wszystkich oddziałów zakładu. Była wyczerpana i miała w głowie mętlik. Zastanawiała się, ile potrzebowałaby czasu, by obejrzeć tuzin podobnych, rozrzuconych po całym świecie zakładów.

Fakty i liczby, które poznała, były zdumiewające. Otóż wyprodukowanie jednego leku zabiera od pięciu do dziesięciu lat. Naukowcy muszą w tym czasie przetestować dwa tysiące związków chemicznych...

"...jakość produktów sprawdza trzystu specjalnych kontrolerów, mających swoją siedzibę w Zurychu..."

"...we wszystkich swoich filiach »Roffe & Sons« zatrudnia łącznie pół miliona pracowników..."

"...poprzedniego roku korporacja zarobiła..."

Elżbieta nie mogła zasnąć. Dane, które przekazywał jej Rhys, mieszały się z radami dawanymi przez członków rodziny.

- "...kiedy zgodzisz się sprzedać akcje, dostaniesz tyle pieniędzy, że będziesz je wydawać do końca życia..."

- "...pozwól nam zająć się wszystkim, cara. Znamy się na interesach lepiej niż ty..."

- "...mam w tym swój interes, Elżbieto. Pensje, które dostajemy, nikogo już nie zadowalają..." - brzmiało jej w uszach.

"Oni mają rację - pomyślała. - Powinnam była pozwolić rodzinie decydować o losie korporacji. Jutro naprawię ten błąd".

Następnego dnia rano poprosiła Kate Erling, aby skontaktowała ją z Rhysem.

- Pan Williams poleciał do Nairobi zeszłego wieczoru - poinformowała ją Kate. - Prosił, abym przekazała, że wróci we wtorek.

- W takim razie proszę mnie połączyć z sir Nicholsem.

- Jak pani sobie życzy. - Sekretarka zawahała się przez moment i dodała: - Dzisiaj rano przysłała do pani przesyłkę z departamentu policji. Są w niej osobiste rzeczy pani ojca.

Wspomnienie ojca zasmuciło Elżbietę.

- Policja przeprosza, że nie oddała przesyłki pani posłańcowi, ale została wysłana, zanim on przybył.

- Posłaniec ode mnie? - Elżbieta była wyraźnie zaskoczona.

- Ten, którego pani wysłała do Chamonix.

- Ależ ja nikogo nie wysyłałam do Chamonix. To jakaś biurokratyczna pomyłka. Gdzie jest ta przesyłka?

- Włożyłam ją do szafy w pokoju obok.

To, co Kate nazwała przesyłką, było dużą walizką, do której przytwierdzona była aktówka.

"W aktówce zapewne są dokumenty korporacji - pomyślała Elżbieta. - Każę Rhysowi natychmiast się nimi zająć".

Przypomniała sobie jednak, że Rhys jest nieobecny. Zdecydowała się sama przejrzeć dokumenty.

- Niestety, panno Roffe, sir Aleca też nie ma w biurze.

- Kiedy wróci, poproś go, aby zadzwonił do willi na Sardynii. Jadę tam na weekend. Tę samą wiadomość zostaw panu Palazziemu, Gassnerowi i Martelowi.

"Zapewne ucieszą się - myślała - kiedy im powiem, że będą mogli sprzedać swoje udziały.

Czuła się zmęczona bezsennymi nocami i długimi rozmowami z samą sobą. Potrzebowała cichego miejsca, gdzie mogłaby spokojnie pomyśleć o przyszłości.

Jeszcze tego samego wieczoru poleciała na Sardynię. Na dnie przepastnej walizy spoczywała aktówka z dokumentami ojca.

W willi nie paliło się ani jedno światło. Była zamknięta na cztery spusty. Elżbieta nie powiadomiła służby o swoim przybyciu, ponieważ tym razem pragnęła być naprawdę sama.

Otworzyła drzwi frontowe i weszła do holu. Szybko pozbyła się płaszcza i, jak za dawnych lat, pobiegła na górę, do swojej sypialni. Zatrzymała się w połowie drogi i skręciła w kierunku pokoju ojca. Ostrożnie otworzyła drzwi, jakby w obawie, że usłyszy jego głos. Niemalże czuła jego fizyczną obecność. Jednak było to tylko złudzenie. Pokój był pusty i nic się w nim nie zmieniło od jej ostatniego tutaj pobytu.

Postawiła walizkę na podłodze i podeszła do okna. Było otwarte. Rozsunęła ciężkie aksamitne zasłony i nabrała do płuc przesiąkniętego jesiennym chłodem powietrza. Postanowiła spędzić tu noc.

Kilka minut później zeszła do biblioteki i usiadła w głębokim skórzanym fotelu. Gładziła rękoma miękką skórę i myślała o Rhysie Williamsie. Wiele by dała, aby teraz był tu przy niej. Przypomniała sobie, jak kiedyś po powrocie z Paryża napisała na skrawku papieru: “Pani

Elżbieta Williams”. Pod wpływem impulsu podeszła do sekretarzyka i wyjęła z niego kartkę papieru, na której napisała to, co wtedy. Popatrzyła na kartkę i uśmiechnęła się. “Ciekawe, ile idiotek robi to samo w tej chwili?” - pomyślała.

Nagle poczuła głód. Przypomniała sobie, że nie miała nic w ustach od obiadu. Postanowiła rozejrzeć się po kuchni; w lodówce powinno znaleźć się kilka smakowitych kąsków.

Myliła się jednak, bowiem zarówno lodówka, jak i zamrażarka, były puste. Na szczęście w kredensie znalazła dwie małe puszki tuńczyka, słoik rozpuszczalnej kawy i paczkę herbatników. Przyszło jej na myśl, że powinna pojechać na zakupy do któregoś z supermarketów przy Calia di Volpe. Mogła tam z łatwością dojechać jeepem, którego trzymano na zapleczu kuchni.

“Ciekawe, czy w baku jest paliwo?” - zastanawiała się, przekręcając kluczyk w stacyjce. Usłyszała odgłos rozrusznika i samochód zapalił.

- Doskonale! - Klasnęła w dłonie. - Jutro z samego rana kupię wszystko, co będzie mi potrzebne.

W tym momencie usłyszała głuchy dźwięk telefonu. Nie zwlekając ani chwili, wbiegła do holu i uniosła słuchawkę aparatu.

- Halo!

- To ja, Alec.

- Skąd dzwonicz?

- Z Gloucester.

Nagle Elżbieta zapragnęła powiedzieć mu o swojej decyzji.

- Słuchaj, Alec...

- Tak...

- Czy mógłbyś przylecieć do mnie na ten weekend? Chciałabym porozmawiać z tobą w bardzo pilnej sprawie.

Alec zawahał się przez moment. Po chwili jednak odpowiedział:

- Dobrze. Zjawię się.

- Weź ze sobą Vivian - zaproponowała.

. Krwawa linia

- Niestety, pilne sprawy zatrzymały Vivian na dłużej w Londynie. Przylecę jutro rano. Nie wysyłaj nikogo po mnie na lotnisko. Wezmę taksówkę.

Kiedy odłożyła słuchawkę, poczuła ulgę. Wiedziała, że podjęła właściwą decyzję. Zastanawiała się, kogo rada dyrektorów mianuje prezesem "Roffe & Sons". Na ich miejscu wybrałaby Rhysa Williamsa. Był najbardziej kompetentny. Znał też korporację od podszewki. Istniał tylko jeden problem: Rhys nie należał do rodziny.

Elżbieta otworzyła walizkę i jej wzrok przyciągnęła skórzana aktówka. Pomyślała, że jutro rano da ją Alecowi. Zobaczysz tylko, czy nie ma w niej jakichś prywatnych drobiazgów. Zniosła aktówkę do biblioteki i położyła na biurku.

Wewnątrz prócz dokumentów była duża szara koperta, na której widniał napis: "Sam Roffe. Do rąk własnych". Wyjęła z koperty kartki maszynopisu. Wyglądało to na rodzaj tajnego raportu, ponieważ nigdzie nie było nazwiska nadawcy. Przerzuciła kilka stron i zamarła z przerażenia. Raport donosił o wynikach dochodzenia w sprawie kilku poważnych incydentów, jakie miały miejsce w ciągu ostatniego roku.

"W Chile - czytała - wyleciały w powietrze zakłady chemiczne, należące do korporacji, zatruwając setki mil kwadratowych powierzchni. Zginęło kilkunastu robotników. Drugie tyle w ciężkim stanie trafiło do szpitala. Ewakuowano ludzi mieszkających w okolicy. Domagano się odszkodowań, przekraczających setki milionów dolarów... Zaskakujące było to, że ktoś podłożył ładunek wybuchowy. Innego zdania był rząd chilijski, który uważa, że korporacja jest bogata i powinna płacić. Pasywna postawa urzędników państwowych uniemożliwia wykrycie sprawy sabotażu..."

Elżbieta przypomniała sobie, że czytała o tym wydarzeniu w którymś z magazynów. Na pierwszej stronie widniały fotografie ofiar. Oskarżono

"Roffe & Sons" o umyślne spowodowanie tragedii.



W dalszej części raportu anonimowy nadawca pisał o projekcie badawczym, wartym kilka milionów dolarów, który został wdrożony do produkcji w zakładach należących do... konkurencji. Podobny los spotkał poprzednie cztery projekty.

“Uważani - konkludował autor - że za tym wszystkim kryje się ktoś z zarządu korporacji. Nikt bowiem, poza dyrektorami, nie ma dostępu do ściśle tajnych dokumentów, dotyczących prac badawczych”.

Ostatnie dwie strony zawierały doniesienia o tragicznych skutkach, jakie spowodowały leki, na których ktoś celowo zamienił nalepki. Leki należały do wyjątkowo toksycznych.

“...z pilnie strzeżonego laboratorium zniknęło kilka ton trujących chemikaliów. Ktoś powiadomił o tym prasę, wywołując skandal...”

Nagle zrobiło się zimno. Elżbieta wstała i zamknęła okno. Zapaliła jeszcze jedną lampę i powróciła do przerażającej lektury. Wynikało z niej niezbitie jedno: ktoś próbował zniszczyć “Roffe & Sons”, ktoś z zarządu korporacji.

Na marginesie zauważyła notatkę pisaną ręką ojca: “Próbuje wyrzucić na mnie nacisk, abym zezwolił na sprzedaż akcji. Ten sukinsyn zapłaci mi za to!”

Zaczynała rozumieć, dlaczego ojciec stał się nagle taki tajemniczy. Czuł się osaczony i nie ufał nikomu.

Pod raportem zamiast nazwiska dostrzegła napis: “Nie zrobiono kopii”.

Zapewne ojciec zlecił dochodzenie jakiejś firmie detektywistycznej spoza korporacji. Dzięki temu nikt oprócz niego nie wiedział o istnieniu tego dokumentu, a już z pewnością winowajca, o którym była mowa w raporcie. Ciekawe, czy Sam wiedział, kto to był? Czy próbował do niego dotrzeć, przemówić do rozsądku?

To musiał być ktoś z zarządu. Nikt inny nie mógłby spowodować tak wielkich szkód. Czy w ten sposób próbował wymusić na ojcu sprzedaż akcji? A może Sam nie chciał zgodzić się na rozpisanie akcji, zanim nie wykryje winowajcy? Trudno byłoby przeprowadzić tajne dochodzenie, gdyby w zarządzie zasiadali obcy.

Elżbieta przypomniała sobie zebranie zarządu i to, z jakim zapałem nakłaniali ją do przekazania im kontroli nad korporacją. Jej rozmyślania przerwał dźwięk telefonu.

- Elżbieto, to ja, Rhys - usłyszała w słuchawce. - Właśnie odebrałem twoją wiadomość.

Była zadowolona i jednocześnie zmartwiona, słysząc jego głos. Chciała przecież poinformować go, że ma zamiar podpisać dokumenty, które wcześniej przygotował. Tymczasem w ciągu zaledwie kilku godzin zmieniła zdanie. Spojrzała na portret Samuela. Ten dzielny człowiek założył firmę i walczył o nią. Pomyślała, że musi za wszelką cenę zatrzymać “Roffe & Sons” w rodzinie. Jest to winna zarówno ojcu, jak i dziadkowi.

- Rhys, chcę, abyś zwołał posiedzenie rady nadzorczej na wtorek, na godzinę 14:00.
- Wtorek, o czternastej. Coś jeszcze? Elżbieta zawahała się.
- Nie, to wszystko. Dziękuję.

Byli wysoko w górach. Wspinała się po linie obok ojca. Pod nimi widniała głęboka przepaść, a nad głowami rozpościerały się majestatyczne oblodzone szczyty.

- Nie spoglądaj w dół - ostrzegł ją ojciec.

Ona jednak nie posłuchała jego rady i wyjrzała poza urwistą krawędź, na której opierała stopy. Nagle rozległ się grzmot i niebo przecięła oślepiająca błyskawica, od której zapaliła się lina ojca. Widziała, jak Sam spada w dół, a jego ciało rozpada się na części, uderzając o wystające występy skalne. Jej krzyki zagłuszał grzmot...

Obudziła się zlaną potem. Przez dobrą chwilę nie mogła się uspokoić. Za oknem szalała burza i stamtąd pochodził odgłos grzmotu, który słyszała we śnie.

Przez szeroko otwarte okno strugi deszczu zalewały podłogę, a błyskawice rozświetlały pokój.

Wstała i z trudem zamknęła okno. Patrzyła przez chwilę na granatowe niebo, próbując odpędzić od siebie wspomnienie koszmaru.

Nad ranem burza minęła. Elżbieta miała nadzieję, że zła pogoda nie przeszkodziła Alecowi dotrzeć na Sardinie. Po przeczytaniu raportu miała ochotę na długą, przyjacielską rozmowę z kimś bliskim. Może nawet pokaże mu zawartość szarej koperty, którą tymczasem postanowiła schować w bezpieczne miejsce. Najlepiej nadawał się do tego gabinet ojca.

Narzuciła szlafrok i zeszła do biblioteki, gdzie na biurku poprzedniego wieczoru zostawiła raport. Po raporcie nie było jednak śladu.

Biblioteka wyglądała tak, jakby przeleciał przez nią huragan. Okna były otwarte na oścież, krzesła poprzestawiane i wszystko mokre od deszczu. Na dywanie leżało kilka luźnych kartek raportu. Resztę zapewne silny wiatr wywiał przez okno i porozrzucił po ogrodzie.

Przypomniała sobie, że był to oryginał raportu, bez kopii. Będzie musiała jak najszybciej odnaleźć detektywa, któremu mogłaby zaufać. To przypominało istny koszmar; ludzi, którzy ją otaczali, wszystkich bez wyjątku, można byłoby umieścić na liście podejrzanych. Postanowiła zachować ostrożność.

Poranny chłód wzmógł uczucie głodu. Przypomniała sobie o zakupach i o tym, że będzie musiała pojechać do Cala di Volpe. Jeżeli się pośpieszy, zdąży przed przybyciem Aleca.

Z szafy w przedpokoju wyjęła płaszcz przeciwdeszczowy i włożyła kalosze. Postanowiła, że zaraz po powrocie poszuka w ogrodzie brakujących kartek raportu.

Wsiadła do jeepa i zatrzasnęła drzwiczki. Po chwili samochód z cichym pomrukiem wytoczył się z garażu. Zrobiła koło i wjechała na stromą górską ścieżkę, prowadzącą do wioski, której czerwone dachy domów widać było daleko w dole.

Jechała wolno po śliskiej nawierzchni. Droga była wąska i biegła tuż przy skale. Po drugiej stronie, kilkaset metrów niżej, szumiało morze. Elżbieta starała się jechać jak najbliżej środka jezdni, hamując co chwila. W pewnym momencie droga raptownie opadła i Elżbieta mocniej nacisnęła hamulec, który tym razem nie zareagował. Samochód toczył się coraz szybciej w kierunku ostrego zakrętu. Nacisnęła ponownie pedał hamulca. Skutek był taki jak poprzednio. Samochód minął o włos barierkę odgradzającą drogę od przepaści i zaczął nabierać szybkości. Elżbieta z przerażeniem spojrzała na szybkościomierz: wskazówka w zawrotnym tempie przesuwała się w górę. Zastanawiała się, czy nie wyskoczyć z samochodu. Szybko jednak zrezygnowała z tego zamiaru. Skacząc, miałaby do wyboru ścianę skalną albo przepaść, co zresztą w obydwu przypadkach oznaczało pewną śmierć.

“Za moment - myślała z przerażeniem - i tak zginę, nie ruszając się z miejsca”.

Zastanawiała się gorączkowo, czy przypadkiem ktoś celowo nie zepsuł hamulców. Zapewne też przedtem podciął linę ojcu i później spokojnie przyglądał się, jak jego ciało roztrzaskuje się na skałach. Próbowwała domyślić się, kim był morderca. Kto wśród najbliższej rodziny mógł aż tak ich nienawidzić? Alec, Ivo, Walther, a może Charles? I pomyśleć, że co dzień spotykała się z tym niegodziwcem. Może nawet, gdy pocieszał ją po śmierci ojca, czyhał już na jej życie.

Starała się za wszelką cenę utrzymać kierunek jazdy, mimo iż koła buksowały po śliskiej nawierzchni. Próbowwała krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle. Miała zeszywniałe dłonie. Zdawało

jej się, że jest sparaliżowana. Szybkościomierz wskazywał ponad setkę, a przed sobą miała kolejny zakręt, którego z pewnością nie pokona.

“Staraj się wyprowadzić samochód z poślizgu” - przypomniała sobie słowa instruktora jazdy.

Zacisnęła mocno powieki i jak na jawie ujrzała ojca.

- Co robisz tu po ciemku, Elżbieto? - zapytał.

Potem wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Nie... nie do sypialni. Postawił ją na scenie i kazał płaszać w takt muzyki. Z tyłu ujrzała czerwoną z wściekłości twarz madame Netturovej, która machając rękami, krzyczała do niej. A może był to tylko świst wiatru?

- Nie co dzień obchodzi się dwudzieste pierwsze urodziny - mignęła jej przed oczami twarz Rhysa.

“O Boże, już nigdy go nie zobaczę - pomyślała. - Jeżeli mam już zginąć, to niech się to stanie teraz, zaraz...” - Otworzyła oczy i kilkadziesiąt metrów przed sobą ujrzała barierkę, za którą znajdowały się ostre występy skalne. Uderzy w nie z wystarczającą siłą, aby jeep rozpadł się na kawałki. Jednak w ostatnim momencie mocno obróciła kierownicą w prawo. Ku swojemu zaskoczeniu wjechała na drogę ukrytą w rozstępie między skałami. Droga biegła w górę. Pomyślała, że przynajmniej częściowo wyhamuje samochód. Jak się okazało, była to złudna nadzieja. Jeep bowiem błyskawicznie znalazł się na szczycie skały i jechał z góry prosto w stronę urwiska, za którym znajdowała się przepaść i spienione morze. Samochód z rykiem podskoczył na występie i... uderzył w rosnące w tym miejscu drzewo. Ostatnią rzeczą, którą Elżbieta zapamiętała, był potężny huk, po którym nastąpiła martwa cisza.

Kiedy otworzyła oczy, znajdowała się w łóżku szpitalnym, a obok niej stał Alec Nichols.

- Nie zdążyłam zrobić zakupów, Alec - powiedziała cicho i wybuchnęła płaczem. Alec ujął jej dłoń.

- Elżbieto!

- Nic mi nie jest, Alec... Boli mnie tylko głowa.

Z trudem przychodziło jej uwierzyć, że żyje. Przypomniała sobie to ogromne drzewo i silne uderzenie. Poczła nagły skurcz serca.

- Jak długo tu jestem?

- Przywieźli cię dwa dni temu. Lekarz mówił, że cudem uszłaś z życiem. Wszyscy, którzy widzieli miejsce wypadku, zgodnie twierdzili, że byłaś w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Masz rany na całym ciele, ale, dzięki Bogu, wszystkie kości są całe. Dlaczego właściwie pędziłaś tak na złamanie karku, ryzykując życie?

Elżbieta opowiedziała mu o całym wydarzeniu. Kiedy skończyła, Alec zbladł i wykrztusił:

- Co za okropny wypadek!

- To nie był wypadek - powiedziała z naciskiem.

Nichols spojrzał na nią zmieszany.

- Nie rozumiem.

“Jak możesz rozumieć, skoro nie czytałaś raportu?” - pomyślała i dodała głośno:

- Ktoś zepsuł hamulce. Nichols potrząsnął głową.

- Ale dlaczego? Jaki miałyby w tym cel? Nie mogła powiedzieć mu prawdy, mimo że darzyła go zaufaniem. Jeszcze nie teraz.

- Nie wiem, Alec. Intuicja mówi mi jednak, że hamulce nie mogły same przestać działać. Zauważyła, jak twarz Nicholasa pochmurnieje.

- Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą - wybuchnął - to natychmiast każę szukać sprawcy!

Podszedł do telefonu i wykręcił numer posterunku policji w Olbi.

- Mówi Alec Nichols. Tak, panie komendancie, czuje się dobrze. Dziękuję, przekażę jej. Chciałbym się dowiedzieć, gdzie w tej chwili znajduje się jeep? Proszę go tam zatrzymać i postarać się o dobrego mechanika. Przyjadę za pół godziny. Do zobaczenia. - Odwrócił się do Elżbiety i powiedział: - Samochód jest w policyjnym garażu.

- Jadę z tobą.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- W takim stanie? Lekarz nalegał, abys została w łóżku jeszcze co najmniej przez dwa dni.

- Nic mnie to nie obchodzi - powiedziała stanowczo i kwadrans później, mimo protestów lekarza, siedziała już w samochodzie Nicholasa.

Ligi Ferraro, szef posterunku policji w Olbi, był otyłym mężczyzną w średnim wieku. Oprócz niego pracował tam jeszcze detektyw Bruno Campagna, który wzrostem górował nad komendantem. Obaj, a także Elżbieta i Nichols bacznie przyglądali się mechanikowi, który badał podwozie jeepa, stojącego na hydraulicznym wysięgniku.

- Dobrze się czujesz? - zapytał szeptem Alec.

- Nic mi nie jest - skłamała. Była słaba i zbierało się jej na wymioty. Pragnęła jednak być obecna przy oględzinach samochodu.

Mechanik wytarł ręce w poplamioną olejem szmatę i powoli cedząc słowa, powiedział:

- Teraz już nie budują takich mocnych wozów. Po innym samochodzie nie byłoby co zbierać.

Elżbieta przyjrzała się uważnie jeepowi. Lewy błotnik i przedni zderzak były zmiażdżone, widniała na nich kora drzewa, w które uderzyła.

- W jakim stanie są hamulce? - zapytał Nichols.

- W doskonałym, proszę pana.

- Co pan przez to rozumie? - Elżbieta nie dowierzała własnym uszom.

- Że mimo wypadku działają należycie.

- To niemożliwe! Gdyby były sprawne, nie doszłoby do wypadku.

- Panna Roffe sądzi, że ktoś majstrował przy hamulcach - wyjaśnił Ferraro.

- Pani się myli - mechanik potrząsnął głową.

- Ktoś, kto chciałby uszkodzić hamulce, musiałby albo podciąć linki, albo poluzować nakrętkę

- wskazał na kawałek metalu wystający z tyłu podwozia. - Gdyby poluzował nakrętkę, wówczas wyciekłby płyn hamulcowy znajdujący się w tym zbiorniczku. A jak pani sama widzi, zbiorniczek jest pełny. Linek również nikt nie dotykał. Są napięte.

Szef policji odwrócił się do Elżbiety i powiedział:

- Rozumiemy, że w pani stanie...

- Czy jest możliwe - przerwał komendantowi Alec - aby ktoś już po wypadku wymienił linki lub ponownie napełnił zbiorniczek?

- Wykluczone, proszę pana. - Mechanik wydawał się rozdrażniony. - Powiedziałem już, że nikt nie dotykał linek. Co do nakrętki... - przerwał i szmatą, którą trzymał w dłoni, wytarł nakrętkę.

- Nie ma na niej nawet najmniejszej rysy. Mogę przysiąc, że odkręcano ją co najmniej pół roku temu. Niech mi pan wierzy, te hamulce są w idealnym stanie. Zresztą pokażę panu.

Mechanik włączył wysięgnik i kiedy samochód znalazł się na betonowej posadzce, wsiadł do niego i po zapaleniu silnika cofnął jeepa do ściany. Następnie nacisnął pedał gazu i samochód z piskiem opon ruszył w kierunku detektywa Campagny. Elżbieta przerażona patrzyła na pędzący samochód. Po chwili ponownie rozległ się pisk opon i jeep zatrzymał się kilka centymetrów od nóg detektywa.

- Widzą państwo sami, że hamulce działają jak należy - powiedział mechanik z triumfem, wysiadając z samochodu.

Wszyscy spojrzeli na Elżbietę. Wiedziała, co myślą. Nie byli jednak z nią w pędzącym jeepie, gdy w panice naciskała pedał hamulca raz za razem.

Teraz mechanik udowodnił, że działają. A może jej się to wszystko wydawało?

- Co ty na to, Elżbieto? - zapytał bezradnie Alec.

- Sama nie wiem. Przecież jeżdżę zupełnie nieźle. Gdyby hamulce były sprawne... Sam rozumiesz...

Nichols patrzył przez chwilę na Elżbietę, a następnie zwrócił się do mechanika.

- Czy istnieje jeszcze jakiś inny sposób, aby uszkodzić hamulce?

- Tak, proszę pana - powiedział detektyw. - Można zmoczyć klocki hamulcowe i wówczas nie będą tarły o bęben hamulcowy.

- To prawda, proszę pani - zgodził się mechanik. - Czy kiedy ruszała pani spod domu, hamulce działały?

Elżbieta przypomniała sobie, że kilkakrotnie hamowała, wyprowadzając jeepa z garażu.

- Działały.

- To wszystko wyjaśnia. - Mechanik zadowolony klasnął w dłonie. - Klocki zmokły na deszczu.

- Mógł je przecież ktoś zmoczyć, zanim samochód wyjechał z garażu - oponował Alec.

- Wtedy hamulce nie działałyby od samego początku - odparł spokojnie mechanik.

- Deszcze w tych okolicach wyrządza wiele szkód, proszę pani - wtrącił komendant. - Takie wypadki jak ten, który przydarzył się pani, nie należą wcale do rzadkości...

Alec pokiwał głową z rezygnacją. Było mu głupio.

- Przepraszamy za kłopot, jaki panu sprawiliśmy.

- Nie ma za co. Najważniejsze, że pana kuzynka wyszła cało z tego wypadku. - Ostatnie słowo komendant wymówił z naciskiem. - Detektyw Campagna odwiezie państwa do domu.

- Wyglądasz na wyczerpaną, Elżbieto. Masz natychmiast pójść do łóżka i nie wstawać co najmniej przez kilka dni. Zaraz zamówię telefonicznie coś do jedzenia. Poproszę o zakupy na cały tydzień.

- A kto zajmie się gotowaniem?

- Ja...

Tego wieczoru Alec rzeczywiście przyrządził kolację i zaniósł Elżbiecie do łóżka.

- Przyznam ci się, że gotuję nie najlepiej - oznajmił, stawiając tacę na pościeli. - Ale przynajmniej trochę się posilisz.

Okazało się, że Alec nie miał zielonego pojęcia o gotowaniu. Danie, które przygotował, było przesolone i niedogotowane. Zjadła jednak wszystko, ponieważ umierała z głodu. Nie chciała też urazić Aleca. Przez cały czas siedział przy niej i zajmował rozmową. Ani razu nie wspomniał o incydencie w policyjnym garażu i Elżbieta była mu za to wdzięczna.

Alec nie odstępował jej na krok również przez kilka następnych dni. Gotował, wychodził z nią na spacer, a wieczorami czytał jej ulubioną powieść. Odbierał też telefony, które stale dzwoniły.

Ivo i Simonetta dzwoniли rano i wieczorem, wypytując o jej zdrowie. Podobnie Helena i Charles oraz Walther. Wszyscy zgłaszali chęć przyjazdu. Elżbieta tłumaczyła im, że czuje się dobrze i że wkrótce przyjedzie do Zurychu.

Zadzwoił również Rhys Williams. Kiedy usłyszała w słuchawce jego głos, o mało nie zemdląła. Zdała sobie nagle sprawę, jak bardzo za nim tęskniła.

- Słyszałem, że próbowałaś pobić rekord szybkości w jeździe górskiej - żartował Rhys.

- Na pewno pobiłam jeden z ostatnich rekordów Heleny - śmiała się.

- Cieszę się, że jesteś cała i zdrowa - powiedział z wyraźną ulgą w głosie.

Zastanawiała się, czy jest może teraz z którąś ze swoich kochanek. "Pewnie jest równie piękna, jak inne, które płaszczyły się u jego stóp" - pomyślała z odrazą.

- Czy wiesz, że piszą o tobie w gazetach?

- Chyba żartujesz sobie ze mnie.

- Nie. Posłuchaj: "Dziedziczka fortuny cudem uniknęła śmierci zaledwie kilka tygodni po tragicznym wypadku jej ojca, znanego..."

Rozmawiali przez dłuższą chwilę i kiedy skończyli, Elżbieta poczuła się trochę lepiej. Rhys interesował się tym, jak ona się czuje i co porabia. Wyraźnie martwił się o nią. Pomyślała, że chyba umarłaby z rozpacz, gdyby na przykład oznajmił jej, że zamierza poślubić którąś z tych znienawidzonych przez nią kobiet.

"Elżbieta Williams..." - pomyślała, odkładając słuchawkę.



- Przypominasz mi kota z Cheshire - powiedział Alec, wchodząc do sypialni.

- Jesteś miły - odparła. "Może powinnam była powiedzieć Rhysowi o tajnym raporcie ojca?"

- Czas na nas - oznajmił Alec następnego dnia rano. - Chętnie pozwoliłbym ci jeszcze poleniuchować kilka dni, ale musimy lecieć do Zurychu. Czeka cię przecież arcyważne spotkanie z dyrektorami korporacji.

Na lotnisku czekali na nich dziennikarze. Zanim wsiedli do limuzyny, Elżbieta wygłosiła krótkie oświadczenie dla prasy dotyczące wypadku.

Kilka minut później znalazła się w sali konferencyjnej. Zajęci dotąd rozmową mężczyźni nagle umilkli. Elżbieta wolno zbliżyła się do stołu, przy którym siedzieli, i siłać się na spokój, powiedziała:

- Panowie, chcę was poinformować, że podtrzymuję swoją poprzednią decyzję, co oznacza, że nie zamierzam zgadzać się na sprzedaż akcji.

Charles gniewnie zmarszczył brwi. Wyrzucał jej, że niepotrzebnie się upiera i że jest nieodpowiedzialna. Gdyby wiedział, jak bliska była decyzji, która z pewnością zadowoliłaby wszystkich. Nie mogła się jednak poddać. Wśród nich był przecież zabójca jej ojca, który teraz czyhał również na jej życie. Gdyby zgodziła się na sprzedaż "Roffe & Sons", złoczyńca odniósłby zwycięstwo.

Wszyscy obecni próbowali przekonać ją, by zmieniła decyzję, przytaczając różne argumenty.

Alec utrzymywał, że "Roffe & Sons" potrzebuje doświadczonego prezesa, który wyciągnąłby korporację z obecnych tarapatów.

Ivo kokietował ją jeszcze bardziej niż zwykle.

- Jesteś przepiękną kobietą, carissima. Masz cały świat u swoich stóp. Powinnaś cieszyć się życiem, a nie zajmować nudnymi interesami.

Charles tłumaczył jej wszystko na swój sposób.

- Przejęłaś kontrolę nad firmą wskutek tragicznego zbiegu okoliczności. Powinnaś jak najszybciej naprawić swój błąd, zanim będzie za późno.

- Mamy poważne kłopoty - dodał Walther. - Jedyнным rozwiązaniem jest rozpiśanie akcji i ich sprzedaż.

Elżbieta analizowała dokładnie wszystkie argumenty.

Ich wypowiedzi nie były pozbawione sensu. Mieli na względzie dobro korporacji, a mimo to któryś z nich pragnął ją zniszczyć. "Tylko który?" - zastanawiała się, próbując przeniknąć szare od gniewu twarze.

Jedno było pewne: pragnęli z całego serca, aby usunęła się z drogi i zezwoliła na sprzedaż akcji. Rozumiała jednak, że z chwilą, gdy wyrazi na to zgodę, szansę znalezienia zabójcy ojca i jednocześnie winowajcy wszystkich obecnych problemów korporacji będą równały się zeru.

Postanowiła jak najszybciej zakończyć posiedzenie.

- Doskonale zdaję sobie sprawę, że zarządzanie tak ogromną firmą nie należy do spraw najłatwiejszych, dlatego oczekuję od was pomocy. W ten sposób z pewnością stawimy czoło obecnym kłopotom...

- Niech ktoś przemówi jej do rozsądku! - przerwał Elżbiecie Ivo. Wreszcie dał o sobie znać jego temperament.

- Obawiam się, panowie, że będziecie musieli zatańczyć tak, jak zagra wam ta młoda dama - odezwał się nagle Rhys i, śmiejąc się, mrugnął porozumiewawczo do Elżbiety.

- Dziękuję, panie Williams. Chciałabym, aby oficjalnie ogłoszono, że od dziś zajmuję miejsce ojca.

- Czy to ma oznaczać, że zostajesz nowym prezesem? - zapytał Charles.

- Przecież już nim jest - odparł Alec. - Robi nam jedynie grzeczność, że nas o tym informuje.

Charles zawahał się przez moment, ale w końcu wykrztusił z siebie:

- Głosuję za tym, aby Elżbieta Roffe została nowym prezesem "Roffe & Sons".

- Popieram wniosek - powiedział Walther i uniósł rękę do góry.

- Słucham, panno Roffe - powiedziała Kate Erling, stojąc na baczność niczym żołnierz. Elżbiecie wydawało się, że biedna Kate za chwilę zaszaluje.

- Mój ojciec miał ponoć przy sobie jakiś tajny raport. Czy wie pani coś na ten temat? Kate potrząsnęła przecząco głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Pan Roffe nie wspominał o żadnym raporcie.

- A gdyby chciał wszcząć prywatne dochodzenie, kogo poprosiłby o pomoc?

- Któraś z agencji detektywistycznych korporacji, proszę pani.

Było to zapewne ostatnie miejsce, gdzie udałby się jej ojciec. Nikomu więc nie mogła ufać.

Na biurku leżał raport o stanie finansów firmy. Elżbieta przejrzała go pobieżnie i posłała po księgowego, Wiltona Krausa. Kraus był człowiekiem błyskotliwym i tryskającym energią. Prawdopodobnie ukończył Wharton School albo Harvard.

Kiedy się pojawił, Elżbieta zapytała bez ogródek:

- Czy jest możliwe, aby tak potężne przedsiębiorstwo, jak nasze, miało kłopoty finansowe?

Kraus wzruszył ramionami. Nie był widać przyzwyczajony do szefa kobiety.

- No cóż - zaczął, przetykając ślinę. - Kilka lat temu nasze przedsiębiorstwo przeżywało okres ekspansji i potrzebne były pieniądze na założenie kilku nowych filii. Dlatego pani ojciec i członkowie zarządu postanowili zaciągnąć krótkoterminowe pożyczki od banków. Jesteśmy obecnie zadłużeni na sześćset milionów dolarów.

- I zalegamy ze spłatą odsetek?

- Zgadza się, proszę pani. W niektórych przypadkach wstrzymaliśmy nawet płacenie podstawowych rat.

- Nie rozumiem.

- Pozwoli pani, że jej wytłumaczę. Otóż w przypadku każdej zaciągniętej pożyczki oprócz odsetek i kary umownej płacimy również ratę podstawową. Bez niej nie spłacilibyśmy długu.

- Czy nie moglibyśmy odwlec spłaty długu w przypadku wysokich pożyczek?

- Próbowaliśmy, proszę pani, ale banki sprzeciwiają się, argumentując, że "Roffe & Sons" nie cieszy się ostatnio dobrą reputacją. Poza tym mamy dużo wydatków związanych z wypłatą odszkodowań.

Elżbieta przypomniała sobie o eksplozji w Chile i tysiącach ludzi, którzy w wyniku skażenia środowiska musieli opuścić swoje domy. Drugie tyle zmarło w mękach wskutek zażycia leków, na których ktoś pozamieniał nalepki.

Spojrzała pytająco na Krausa.

- Zgodnie z tym, co pan napisał w raporcie, nasze kłopoty mają charakter przejściowy. Każda duża firma może zostać uwikłana w jakąś poważną aferę. Nie oznacza to jednak, że stanowi ryzyko dla banku, w którym zaciągnęła pożyczkę.

- Jesteśmy korporacją farmaceutyczną, proszę pani, a to duża różnica...

Ktoś już kiedyś użył tego stwierdzenia. Jej ojciec? A może Rhys? Próbowała sobie przypomnieć.

- Proszę kontynuować.

- Nasze problemy nabrały rozgłosu. Świat interesu, jak pani wiadomo, jest swoistą dżunglą. Nasi konkurenci już zastanawiają się, jak nas usunąć z rynku.

- Podobnie chyba rozumują bankierzy? Kraus uśmiechnął się z aprobatą.

- Ma pani słuszość. Banki mają ograniczony fundusz przeznaczony na pożyczki. Jeżeli więc dojdą do wniosku, że na przykład pożyczkobiorca X jest mniej ryzykowny niż pożyczkobiorca Y, wówczas, sama pani rozumie... - Kraus rozłożył ręce.

- Czy w naszym przypadku banki doszły już do takiego wniosku?

Kraus nerwowo przecesał ręką włosy.

- Od śmierci pani ojca wielokrotnie dzwonił do mnie Herr Julius Badrutt, przewodniczący konsorcjum banków, w których mamy długi.

- W jakiej sprawie dzwonił więc do pana ten Herr Julius Badrutt? - zapytała, mimo że znała odpowiedź.

- Chciał się dowiedzieć, kto będzie nowym prezesem korporacji.

- I co mu pan odpowiedział?

- Prawdę. Powiedziałem, że nie wiem, proszę pani.

- A teraz już pan wie?

- Nie, proszę pani.

- Ja nim jestem.

Kraus był wyraźnie zaskoczony.

H. Krwawa linia

- Jak pan sądzi, co się stanie, gdy Herr Badrutt dowie się o tym?

- Z jego banków nie dostaniemy zapewne już ani centa - wykrztusił.

- Porozmawiam z nim. A tymczasem - rozparła się wygodnie na krześle - może ma pan ochotę na filiżankę kawy?

- To... to bardzo miło z pani strony. Dziękuję.

Ten młody człowiek zaczynał się jej podobać. Wiedział zapewne, że Elżbieta poddała go próbie i wyszedł z niej zwycięsko.

- Chciałabym prosić pana o radę. Gdyby został pan prezesem “Roffe & Sons”, jakie byłyby pana pierwsze kroki?

- No cóż - starał się ważyć każde słowo. - Zleciłbym kilku bankom maklerskim rozpisanie akcji i po prostu sprzedałbym je. W ten sposób uzyskałbym wystarczającą ilość pieniędzy, aby spłacić bankom długi, i jeszcze drugie tyle na inwestycje. Przyzna pani, że to proste.

Biedny Kraus nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo spadły jego akcje. Elżbieta raz jeszcze przekonała się, że może liczyć tylko na siebie.

HAMBURG, PIĄTEK, 1 PAŹDZIERNIKA, 2 RANO

W dzielnicy Reeperbahn było tłoczno niczym w centrum miasta w biały dzień. Ulice były pełne turystów rozglądających się za roznegliżowanymi dziewczętami, które uśmiechały się zachęcająco zza załomów ulic i z okien małych, kolorowych burdelików. Nie zniechęcił ich ani poranny chłód, ani silny wiatr, wiejący od morza.

Reeperbahn przypominała wielki sklep rzeźniczy, w którym klient mógł kupić sobie odpowiedni kawałek mięsa, w zależności od zasobności kieszeni.

Dla pruderyjnych dziewczęta proponowały niewyszukany seks. Ci zaś, którzy lubili urozmaicenia, mogli liczyć na superatrakcje.

W hamburskiej dzielnicy można wynająć chłopca na noc lub pójść do łóżka z jego matką i siostrą. Można też popatrzeć, jak wielki Dane masuje kobiety lub kazać się wychłostać jednej z nich.

Reeperbahn szczyliła się tym, że każdy mógł tu znaleźć coś dla siebie. Młode prostytutki w minispódniczkach i obcisłych bluzkach spacerowały po chodnikach, proponując swoje usługi zarówno mężczyznom, jak i kobietom.

Do jednej z nich, młodej blondynki, podszedł mężczyzna z kamerą. Dziewczyna stała oparta o mur domu i rozmawiała z przyjaciółką. Kiedy zobaczyła mężczyznę, powiedziała:

- Masz ochotę na dobrą zabawę, liebchen? Zgódź się tylko, a ja z moją przyjaciółką chętnie się tobą zajmiemy.

Nieznajomy przyjrzał się uważnie dziewczynom i wskazując na blondynkę, odparł:

- Tylko ty.

Jej koleżanka wzruszyła ramionami i odeszła.

- Jak masz na imię?

- Hilda.

- Chciałabyś zagrać w filmie, Hildo? Blondynka spojrzała chłodno na mężczyznę.

- Chyba nie w jednym z tych hollywoodzkich kiczów?

- Skądże znowu. - Nieznajomy uśmiechnął się. - To poważna oferta. Zagraasz w filmie porno, który kręcę dla mojego przyjaciela.

- Zgoda, ale zapłacisz mi pięćset marek z góry.

- W porządku.

Hilda żałowała, że nie zażądała więcej. Mężczyzna z pewnością zgodziłby się na każdą sumę.

Leżała naga w dużym łóżku w skromnie urządzonej sypialni, którą nazywano studiem. Zachowanie trzech mężczyzn, również obecnych w studiu, wzbudzało jej nieufność. "Coś niedobrego się tu dzieje" - pomyślała. Nauczyła się polegać na swojej intuicji, która nie raz pozwoliła jej uniknąć kłopotów. Chętnie zwałaby stąd, ale dali jej już pięćset marek i obiecali, że dołożą drugie tyle, jeżeli dobrze się spisze. Postanowiła więc dać z siebie wszystko. Była przecież profesjonalistką i lubiła swoją pracę.

Obróciła się do mężczyzny, który położył się obok niej. Był dobrze zbudowany i miał gładko ogoloną głowę. Spojrzała na jego twarz. Zaskoczyło ją to, że wyglądał bardzo staro. W tego rodzaju filmach biorą udział z reguły młodzi mężczyźni.

Najbardziej jednak niepokoił ją widz w ciemnych okularach, który siedział pod ścianą studia. Był ubrany w długi, czarny płaszcz, a na głowie miał czarny kapelusz. Nie wiedziała, czy to kobieta, czy mężczyzna.

Nerwowo dotykała palcami czerwonej wstążki na szyi. Zastanawiała się, po co kazali jej to założyć...

- W porządku, zaczynamy - klasnął w dłonie kamerzysta.

Hilda usłyszała cichy pomruk kamery i zabrała się do pracy. Mężczyzna leżał na plecach. Delikatnie dotknęła językiem jego ucha, potem musnęła kark i centymetr po centymetrze dotarła do brzucha i genitaliów. Dokładnie penetrowała jego ciało i z satysfakcją obserwowała, jak rośnie podniecenie mężczyzny.

- Wejdz w nią! - rozkazał kamerzysta.

Mężczyzna uklęknął, a kiedy Hilda położyła się przed nim, rozchylił jej uda i legł na niej. Kiedy w nią wszedł, poczuła wzbierającą rozkosz. W jednej chwili zapomniała o wcześniejszych obawach.

- Mocniej, liebchen! - poprosiła. Mężczyzna wchodził w nią coraz głębiej, rytmicznie kołysząc biodrami.

Anonimowy widz, przyglądający się całej scenie, pochylił się do przodu, a widząc zamknięte oczy Hildy, krzyknął do kamerzysty:

- Ma zamknięte oczy. Wszystko zepsuje!

- Offne die Augen!

Hilda otworzyła oczy. Spojrzała na kamerzystę, a następnie na mężczyznę pochylonego nad sobą. Musiała przyznać, że był niezły. Kochał się z nią tak, jak lubiła: mocno, niemalże brutalnie. Zaczęła również kołysać biodrami. Czowała, że za moment nastąpi to spełnienie. Rzadko kiedy przeżywała orgazm, chyba że robiła to z kochanką. Z mężczyzną z reguły udawała. Robiła to tak dobrze, że z łatwością się nabierali.

Człowiek, który jej płacił, ostrzegał jednak, że jeżeli nie przeżyje orgazmu, nie dostanie drugiej pięćsetki. Zaczęła więc myśleć o wszystkich pięknych rzeczach, które będzie mogła sobie kupić.

- Schneller! - krzyknęła i poczuła ciarki przebiegające po całym ciele. - Es kommt! Es kommt!

Widz pokiwał głową, a człowiek stojący za kamerą powiedział:

- Teraz, Hans!

Mężczyzna chwycił Hildę za szyję i zacisnął palce. Spojrzała przerażona w jego oczy. Były chłodne i bez wyrazu. Szamotała się i próbowała krzyczeć. Zaczynała tracić oddech. Jeszcze moment i jej ciało, targane konwulsjami, zastygło w bezruchu.



ZURYCH, PONIEDZIAŁEK, 4 PAŹDZIERNIKA, 10 RANO

Kiedy Elżbieta przybyła do biura, czekała na nią zalakowana koperta, na której widniał napis: "Do rąk własnych". W środku znajdował się raport z laboratorium chemicznego podpisany przez Emila Joepli.

Mimo że raport pełen był niezrozumiałych terminów, czuła, że jest ważny. Przejrzała go pobieżnie i powiedziała do Kate Erling:

- Kate, wychodzę na pół godziny.

Emil Joepli był wysokim mężczyzną w średnim wieku. Miał siwe włosy i szczupłą, bladą twarz. Podczas rozmowy z Elżbietą wydawał się być zdenerwowany. Widocznie nie był przyzwyczajony do odwiedzin kogokolwiek z zarządu w swoim małym laboratorium.

- Przeczytałam pana raport - powiedziała Elżbieta. - Jednak w niektórych miejscach jest on dla mnie niejasny. Czy mógłby pan...

- Tak, rozumiem - przerwał jej Joepli. - Otóż przeprowadzam eksperymenty nad metodą powstrzymywania szybkiego rozpadu kolagenu, używając do tego mukopolisacharydów i stosując techniki blokujące enzymy. Kolagen, rzecz jasna, jest podstawowym składnikiem protein tkanki łącznej.

- Jest dokładnie tak, jak pan mówi. - Starła się być grzeczna, choć nadal nie rozumiała ani słowa z jego wywodu. W pamięci jednak utkwiło jej zdanie podsumowujące raport, który od niego otrzymała: "...śmiem twierdzić, że środek, nad którym pracuję, może znacznie opóźnić proces starzenia się..."

- Być może człowiek w niedalekiej przyszłości - dowodził Joepli - będzie mógł z łatwością dożyć stu, stu pięćdziesięciu, a może nawet dwustu lat.

To, o czym mówił Joepli, mogło oznaczać rewolucję w medycynie i miliardy dolarów dla "Roffe & Sons". Mogliby sami produkować ten lek lub sprzedawać licencję innym firmom. Elżbieta z trudem ukrywała podniecenie.

- Kiedy zakończy pan prace nad lekiem?

- Jak napisałem w raporcie, przeprowadzałem przez ostatnie cztery lata testy na zwierzętach z bardzo dobrym wynikiem. Czas, aby podać go ludziom.

Elżbiecie podobał się jego entuzjazm.

- Kto jeszcze wie o pana badaniach? - zapytała.

- Wiedział o nich pani ojciec. Moja praca badawcza jest ściśle tajna. O jej rezultatach mogłem informować jedynie prezesa korporacji i jednego z członków zarządu.

- Kogo?
- Walthera Gassnera. Elżbieta umilkła na moment.
- Od tej pory proszę kontaktować się w tej sprawie tylko ze mną.

Joepli spojrział na nią zaskoczony i odparł:

- Rozumiem, proszę pani.
- Kiedy będziemy mogli wdrożyć ten lek do produkcji?
- Jak wszystko pójdzie dobrze, za rok, może półtora.
- Doskonale. Proszę dać mi znać, jeżeli będzie pan potrzebował pomocy.
- Dobrze, proszę pani.

Elżbieta wstała z miejsca i ruszyła w kierunku drzwi.

- Było mi miło panią poznać - powiedział Joepli na pożegnanie. - Bardzo lubiłem pani ojca.

- Dziękuję. Sądzi pan, że lek będzie przydatny dla ludzi?
- Jestem tego pewien.

- Kto zatwierdza nowe projekty badawcze? - zapytała Elżbieta sekretarkę po powrocie do biura.

- To zależy, na jaką sumę opiewa projekt.
- Co przez to rozumiesz?

- Jeżeli projekt nie przekracza pięćdziesięciu tysięcy dolarów, wówczas każdy z dyrektorów może zezwolić na rozpoczęcie badań. Powyżej tej sumy projekt musi uzyskać akceptację całego zarządu.

- A co się dzieje w przypadku badań ściśle tajnych?
- Zanim trafią do tak zwanej czerwonej teczki, muszą przejść pozytywnie testy wstępne.
- Oznacza to, że muszą dobrze rokować - wtrąciła Elżbieta. - Co się dzieje dalej?

- Później prace nad nimi zleca się jednemu z naszych tajnych laboratoriów, a wszystkie wyniki umieszcza się w czerwonej teczce. Dostęp do niej ma tylko troje ludzi: naukowiec prowadzący badania, prezes korporacji i jeden z jej dyrektorów.

- Który?
- Pani ojciec wybrał Walthera Gassnera.
- Dziękuję, Kate.

Elżbieta nie wspomniała sekretarce ani słowem o projekcie Joepli, ale czuła, że ta wie o jego istnieniu. Były tylko dwie możliwości: albo Sam miał do niej zaufanie i powiedział jej o tajnych badaniach, albo dowiedziała się o nich od kogoś innego.

Postanowiła porozmawiać z Gassnerem. Nacisnęła guzik interkomu.

- Słucham - usłyszała głos Kate.

- Chciałam... Nie, nic, Kate. - W ostatnim momencie doszła do wniosku, że lepiej będzie, jeżeli spotka się z nim osobiście.

Jeszcze tego samego popołudnia poleciała do Berlina.

Walther Gassner był bardzo zdenerwowany. Jedli kolację w jednej z restauracji w Kurfiirstendamm.

Jeszcze nie tak dawno, gdy przyjeżdżała do Berlina, Walther zapraszał ją na kolację do domu, gdzie czekała na nich Anna. Tym razem zaproponował kolację w restauracji i przyszedł bez Anny.

Walther swoim wyglądem przypominał gwiazdora filmowego. Miał jednak bladą, zmęczoną twarz i drżały mu ręce. Wydawał się żyć w ciągłym napięciu. Gdy zapytała go o Annę, udzielił niejasnej odpowiedzi.

- Nie mogła przyjść, bo nie czuje się najlepiej.

- Czy to coś poważnego?

- Nie, skądże. Jest teraz w domu. Odpoczywa.

- Zadzwoń do niej.

- Lepiej jej nie przeszkadzaj - powiedział stanowczo.

Zastanawiała się, co sprawiło, że Walther z sympatycznego człowieka przemienił się w ponuraka. W końcu zdecydowała się porozmawiać o projekcie badawczym Emila.

- To, nad czym ten człowiek pracuje, może uratować "Roffe & Sons". Walther pokiwał głową.

- Narobi niezłego zamieszania.

- Poprosiłam Joepli, aby od tej pory nie składał ci już więcej raportów. Spojrzał na nią zaskoczony.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Nie zrozum mnie źle. Uczyniłabym to samo w przypadku każdego innego członka zarządu. Po prostu chcę sama sprawować nadzór nad tym projektem.

- Rozumiem - odparł i położył ręce na stole, próbując opanować ich drżenie. - Masz rację. - Uśmiechnął się, choć widziała, ile go to kosztowało. - Chcę cię jednak o coś prosić.

- Słucham.

- Zgódź się, proszę, na sprzedaż akcji. Pieniądze, które dostalibyśmy, bardzo by nam pomogły... Sama rozumiesz...

- Rozumiem, Waltherze, ale nie mogę się na to zgodzić. Jeszcze nie teraz.

-



## Rozdział 24

Herr Julius Badrutt był szczupłym, wysokim mężczyzną. W czarnym garniturze przypominał do złudzenia kapłana. Siedział teraz wraz z pięcioma innymi bankierami za przydzielonym stołem i nie spuszczał wzroku z Elżbiety.

- Bardzo dziękuję panom za przybycie - zaczęła.

Mężczyźni ukłonili się grzecznie. Wszyscy, podobnie jak Badrutt, mieli na sobie czarne garnitury, białe koszule i krawaty w ciemnych kolorach.

- Pragnę prosić panów o przedłużenie terminów spłaty pożyczek, które zaciągnął u panów mój ojciec - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Julius Badrutt pokręcił przecząco głową.

- Już informowaliśmy panią...

- Jeszcze nie skończyłam. - Elżbieta spojrzała na twarze bankierów. - Wiem, że gdybym była na miejscu panów, również odmówiłabym.

Bankierzy wydawali się zaskoczeni.

- Zastanawiam się jednak, dlaczego zgodziliście się przełożyć spłatę długu, kiedy żył mój ojciec, a nie chcecie zrobić tego teraz, gdy ja zostałam prezesem? Może dlatego, że mój ojciec był doskonałym biznesmenem?

- Sama odpowiedziała sobie pani na to pytanie - powiedział Badrutt.

- Współpracujecie z "Roffe & Sons" od ćwierćwieku - kontynuowała, ignorując uwagę Badrutta. - Jestem pewna, że większość z was znała mojego ojca i szanowała go.

- To prawda, proszę pani. - Kilku bankierów uśmiechnęło się. Z ich reakcji wynikało, że go lubili.

- Chciałabym zobaczyć miny panów, kiedy dziś rano dowiedzieliście się, że to ja zajęłam jego miejsce.

Jeden z bankierów wybuchnął głośnym śmiechem i powiedział:

- Wypadła mi z rąk filiżanka z kawą. Pozostali zawtórowali mu śmiechem.

- Jestem pewna, że na miejscu panów zareagowałabym podobnie. - Elżbieta uśmiechnęła się niewinnie.

- Pozwoli pani, że zapytam - odezwał się siedzący najbliżej bankier - co jest naprawdę powodem naszego spotkania? Nasze stanowisko w sprawie pożyczek jest jasne, więc... - Rozłożył ręce.

Elżbieta przełknęła ślinę i powiedziała:

- Zarządzają panowie najpotężniejszymi bankami na świecie. Ale nie odnieśliście sukcesu, gdyby świat wokół miał dla was jedynie postać dolarów i centów.

- To prawda, panno Roffe, jesteśmy biznesmenami, a nie księgowymi, jednak...

- "Roffe & Sons" jest przecież doskonałą inwestycją. Dopiero gdy usiadłam za biurkiem ojca, uświadomiłam sobie, jak wiele istnień ludzkich zawdzięcza swoje życie naszej korporacji, jak wielki wnieśliśmy wkład w rozwój medycyny. Mamy filie w...

- Przepraszam bardzo - przerwał jej energicznie Badrutt - to, co pani mówi, jest godne pochwały, ale odbiegamy od tematu. Wiem, że naciskano na panią, aby zgodziła się pani na sprzedaż udziałów. W ten sposób uzyskałaby pani pieniądze potrzebne na spłatę długów.

"Wiem, że naciskano na panią". Skąd mógł wiedzieć, że na nią naciskano, skoro nie był obecny na zebraniu zarządu? Dyrektorzy byli przecież zobowiązani do zachowania tajemnicy. Któryś z nich miał jednak za długi język.

- Dla panów to zapewne bez różnicy, skąd pochodzą pieniądze na spłatę długów?

Badrutt przyjrzał się jej badawczo. Zastanawiał się, czy w tym, co mówi, nie kryje się jakaś pułapka.

- Nie... to oczywiste.

- Pieniądze mogą więc pochodzić zarówno ze sprzedaży akcji, jak i z naszych zysków.

- Tak.

- Proszę więc o wyświadczenie mi grzeczności i przełożenie terminu spłaty długów o trzy miesiące.

Julius Badrutt poruszył się nerwowo w fotelu.

- Współczujemy pani, ale nie możemy...

- Trzy miesiące, plus karne odsetki. W sali zaległa cisza nie wróżąca nic dobrego. Postanowiła więc być z nimi szczerą.

- Wyjawię panom pewien sekret. Muszą mi jednak panowie obiecać, że to, co powiem, nie wyjdzie poza tę salę.

Wszyscy mężczyźni skinęli głowami.

- Otóż "Roffe & Sons" prowadzi prace badawcze nad lekiem, który wkrótce zrewolucjonizuje wszystkie dotychczasowe osiągnięcia w pewnej dziedzinie medycyny.

Bankierzy patrzyli na nią z niedowierzaniem.

- Zgodnie z naszymi przewidywaniami znacznie wyprzedzamy konkurencję. Jestem pewna, że specyfik, o którym mówię, stanie się rynkowym szlagierem.

- A jaki to lek? - spytał Bardutt.

- Przykro mi, ale i tak powiedziałam już za wiele. Muszą mi panowie zaufać. Jeżeli wdrożymy lek do produkcji, "Roffe & Sons" zarobi setki milionów dolarów. Być może będziemy też zmuszeni poczynić nowe inwestycje i zaciągnąć nowe kredyty. - Bankierzy spojrzeli po sobie. Pierwszy odezwał się Badrutt:

- Jeżeli odłożymy spłatę obecnych długów korporacji o trzy miesiące, czy możemy wówczas liczyć na współpracę w przypadku przyszłych transakcji?

- Naturalnie.

Bankierzy znów spojrzeli po sobie znacząco.

- Czy może nam pani zagwarantować, że po upływie trzech miesięcy zaległości finansowe korporacji zostaną w całości uregulowane?

- Tak.

- W takim razie zgadzam się - odparł Badrutt. - Nie sądzę, aby zaszkodziła nam tak niewielka zwłoka, jeżeli jeszcze przy okazji zarobimy dodatkowe odsetki. Co panowie na to?

- No cóż - odezwał się jeden z bankierów - skoro ty się zgadzasz, Juliuszu...

"Udało się - pomyślała Elżbieta z ulgą. - Mam jednak zaledwie dziewięćdziesiąt dni na zrealizowanie mojego planu. Nie wolno mi więc zmarnować ani minuty".

W ciągu najbliższych dni czekał ją ogrom pracy. Jej biurko ugięło się pod stosem raportów z fabryk w Zairze, laboratoriów na Grenlandii, z biur w Australii i w Tajlandii.

Każdy z nich opisywał nowy produkt, warunki jego sprzedaży i programy badawcze. Musiała podjąć decyzje co do budowy nowych fabryk lub sprzedaży starych. Musiała też przyjmować lub zwalniać dyrektorów. W każdej sprawie zasięgała rady ekspertów, ale ostateczną decyzję musiała podjąć sama, podobnie jak robił to przedtem jej ojciec. Była mu wdzięczna, że przez te trzy lata pozwolił jej pracować obok siebie. Wtedy utożsamiała ojca z królem, a korporację z królestwem składającym się z wielu księstw rządzonych przez książęta w osobach jej kuzynów. Wszystkie ich poczynania były analizowane w sali tronowej w Zurychu.

Pojawienie się Elżbiety w świecie będącym domeną mężczyzn wywołało wiele zamieszania. Zdawało jej się kiedyś, że twierdzenie, jakoby mężczyźni traktowali kobiety przedmiotowo, było nieprawdziwe. Teraz dopiero zrozumiała, jak bardzo się wtedy myliła. Świat męski wypowiedział jej wojnę.

Przy każdej okazji dawano jej odczuć, że zamiast interesami powinna zająć się domem, kuchnią lub oddawać się miłosnym uciechom w łóżku. Nie znosili, gdy kwestionowała ich poczynania lub rozkazywała im. Dla niektórych to, że była młoda i ładna, stanowiło wyzwanie. "Wystarczyłaby jedna upojna noc z tą kobietą, a miałbym ją w garści" - zdawali się myśleć. Do złudzenia przypominali chłopców z Sardynii i popełniali ten sam błąd: kwestionowali zalety jej umysłu, dostrzegając tylko piękno jej ciała. Zanim zdążyli się zorientować, przegrywali. W jej żyłach płynęła krew wielkich Roffe'ów. Po przodkach odziedziczyła siłę, upór i przebiegłość, zalety, dzięki którym z ofiary szybko przeistaczała się w myśliwego.

Po pracowitym dniu długo jeszcze studiowała dokumenty. Pewnego wieczoru wścibskiemu reporterowi udało się zrobić jej zdjęcie, kiedy wychodziła z biura z dwiema grubymi aktówkami pod pachą. Następnego dnia w jednej z gazet ukazał się tytuł: "Zapracowana dziedziczka olbrzymiej fortuny".

W ciągu jednego dnia Elżbieta stała się głównym obiektem zainteresowań mass mediów. Historia młodej, atrakcyjnej dziewczyny, która odziedziczyła multimiliardowy majątek i jednocześnie zabrała się do zarządzania olbrzymią korporacją, była nie lada gratką.

Elżbieta nie unikała dziennikarzy. Wprost przeciwnie: urządzała minikonferencje, na których odpowiadała na trudne pytania. Zdobyła sobie tym uznanie środowiska dziennikarskiego. Starła się choć w części naprawić nadszarpniętą reputację firmy.



Często zwoływała też posiedzenia rady nadzorczej. Pragnęła lepiej przyjrzeć się najbliższym członkom rodziny i w końcu wyśledzić łotra odpowiedzialnego za eksplozję fabryki w Chile, sprzedaż konkurencji wyników badań nad lekami i wiele innych aktów sabotażu, w wyniku których "Roffe & Sons" mogło ulec zniszczeniu.

"Który z nich? - zastanawiała się. - Czarujący i pełny temperamentu Ivo Pallazi? Alec Nichols, dżentelmen w każdym calu, zawsze gotowy pośpieszyć z pomocą? A może cichy i spokojny Charles Martel? Tacy ludzie potrafią być bardzo niebezpieczni, gdy czują się zagrożeni. No i został już tylko Walther Gassner, bardziej przypominający zimnego i wyrachowanego Anglika niż Niemca. Ciekawe, czy ożenił się z Anną, starszą od siebie o trzynaście lat, z miłości czy dla jej ogromnej fortuny?"

Często w obecności członków rady nadzorczej wspominała o ofiarach w Chile lub skradzionych patentach, badając ich reakcje. Niczego podejrzanego jednak nie odkryła. Ten, którego tropiła, był zbyt przebiegły, aby dać się złapać w zastawione przez nią sidła.

"Dopadnę go w końcu" - myślała, zaciskając pięści.

Coraz bardziej fascynował ją przemysł farmaceutyczny i związany z nim rynek leków.

Czasem szefowie konkurencyjnych firm spotykali się, aby przedyskutować nurtujące ich, w większości podobne, problemy. Na jedno z takich nieformalnych zebrań została zaproszona Elżbieta. Była tam jedyną kobietą.

Pod koniec zebrania zagadnął ją jakiś nadęty prezes którejs z większych firm.

- Restrykcje rządowe stają się z każdym dniem coraz bardziej uciążliwe. Gdyby jakiś geniusz wynalazł teraz aspirynę, ci debile z rządu z pewnością by ją zakwestionowali. - Uśmiechnął się z wyższością. - A czy ty, młoda damo, wiesz, od jak dawna ludzkość ma aspirynę?

- Od czwartego stulecia przed naszą erą, kiedy to Hipokrates odkrył salicylany w korze wierzby.

Uśmiech zastygł na jego twarzy.

- Ma pani rację - odburknął i odszedł.

Szefowie firm doszli do wspólnego wniosku, że wrogiem numer jeden są małe, półlegalne zakłady, które całą swoją energię skupiają na kradzieży patentów. Zmieniają potem opakowania, sprzedając lek pod inną nazwą. Liczące się zakłady farmaceutyczne tracą na tych nikczemnych operacjach setki milionów dolarów.

Jednym z krajów, gdzie najłatwiej można było skraść patent, były Włochy. Kupowano go za jedyne kilkaset tysięcy lirów i w ciągu niewielu dni uruchamiano produkcję leku pod inną nazwą.

- Wydajemy miliony dolarów na prace badawcze - dowodził jeden z prezesów - a ci drobni handlarze odbierają nam później zyski. I to wszystko dlatego, że rząd włoski nie wydał dotąd ustawy regulującej ochronę prawną nowo powstałego leku.

- Czy powinniśmy obawiać się tylko Włoch? - zapytała Elżbieta.

- Najgorsze są Włochy i Hiszpania. Nieco lepiej jest we Francji i Niemczech. Najbezpieczniejsze pod tym względem są Stany Zjednoczone i Anglia.

Elżbieta przyglądała się zatroskanym twarzom godnych zaufania biznesmenów i zastanawiała się, który z tych sukinsynów okradał z patentów jej firmę.

Większość czasu Elżbieta spędzała na pokładzie swojego prywatnego samolotu. Co chwila bowiem dostawała pilną depezę z Kairu, Gwatemali czy Tokio i wraz z tuzinem bliskich współpracowników leciała tam, aby zająć się pilnymi sprawami.

Spotykała się z dyrektorami i ich rodzinami w dużych miastach, takich jak Bombaj, i odległych filiach, jak Puerto Yallarta. Powoli "Roffe & Sons" przestawało być dla Elżbiety tylko zestawieniem liczb i statystyk. Kiedy otrzymywała raport z Gwatemali, wiedziała, że był pisany ręką Emila Nunoza, męża otyłej dobrodusznej kobiety z dwanaściorciem dzieci o łagodnie brzmiących imionach. Kopenhaga kojarzyła jej się z Nilsem Bjornem, który opiekował się swoją kaleką matką. Depesza z Rio de Janeiro przywodziła na myśl wspaniały wieczór, który spędziła w towarzystwie Alessandro Duvala i jego pięknej kochanki.

Elżbieta utrzymywała też stały kontakt z Emilem Joepli. Dzwoniła do jego domu przy Aussersihl i pytała o postęp w pracach.

- Wszystko idzie dobrze, proszę pani - odpowiadał niezmiennie.

- Czy potrzebuje pan mojej pomocy?

- Na razie nie. Zadzwońię do pani, jeżeli będę miał kłopoty. Obiecuję.

Podczas każdej takiej rozmowy Elżbieta miała ochotę ponaglić go, dać mu do zrozumienia, że w jego rękach spoczywa los całego "Roffe & Sons". Było to jednak zbyt ciche. Joepli był odpowiedzialnym człowiekiem. Dwoił się i troił, aby zakończyć badania na czas. Jak jednak zaznaczył, na pewno nie uda mu się zakończyć ich przed upływem roku. Elżbieta nie miała zatem wyboru. Postanowiła, że po upływie terminu płatności kredytów zaproponuje Badruttowi wizytę w tajnym laboratorium. Była przekonana, że po zapoznaniu się z wynikami badań nad lekiem i rozmowie z Emilem Joepli bankier zgodzi się na najdłuższy nawet termin spłaty kredytów.

Dużo też ostatnio pracowała z Rhysem. Czasem zostawała w biurze do późna w nocy, Williams towarzyszył jej przez cały czas. Jedli kolację w małej jadalni na zapleczu bądź też w pięknie położonym apartamencie w Zurichberg. Zauważyła, że przybyło mu nieco siwizny na skroniach, co dodawało mu jeszcze uroku. Czuła, że ona także mu się podoba, choć właściwie nie

okazywał tego. Był co prawda dla niej bardzo uprzejmy i czuły, ale swoim zachowaniem przypominał bardziej dobrotliwego wujaszka. Wiele razy miała ochotę zwierzyć mu się ze swoich nadziei związanych z badaniami nad niezwykłym lekiem oraz powiedzieć mu o tym, że któryś z członków rodziny próbuje zniszczyć korporację. Powstrzymywała się jednak. Nawet jemu nie mogła ufać, póki nie dowie się czegoś więcej.

Z każdą podjętą decyzją Elżbieta nabierała coraz więcej zaufania do siebie.

Kiedys rozmawiali o nowym lakierze do włosów. Dowiedziała się, że sklepy kosmetyczne zwracają go, ponieważ nie zainteresował klientów. Zdziwiło ją to, gdyż był on o niebo lepszy od innych, mających powodzenie na rynku.

- Zabierzcie lakier ze sklepów - zarządziła - i dajcie go do salonów piękności. Musi stać się dostępny tylko dla bogatszej klienteli. Zróbcie przy tym większą reklamę.

Przy tej rozmowie obecny był również Rhys. Wysłuchał jej rady, pokiwał głową i powiedział:

- Nasza pani prezes ma rację. Myślę, że możemy spróbować tak postąpić.

Lakier w ciągu zaledwie kilku dni stał się handlowym przebojem.

- W tej pięknej główce kryje się wiele rozumu - powiedział Rhys z uznaniem, przeglądając raport o zyskach ze sprzedaży lakieru.

“Pięknej główce. Zauważył w końcu, że jestem ładna” - pomyślała Elżbieta, oblewając się rumieńcem.

LONDYN, PIĄTEK, 2 LISTOPADA, 5 PO POŁUDNIU

Alec Nichols siedział samotnie w saunie na zapleczu klubu, gdy nagle otworzyły się drzwi i do środka wszedł mężczyzna, owinięty ręcznikiem kąpielowym. Usiadł na drewnianej ławce obok Nicholasa.

- Gorąco tu jak w piekle, prawda, panie Nichols?

Alec odwrócił się nerwowo i spojrzał na mężczyznę.

- Jon Swinton? Jak się pan tu dostał?

- Powiedziałem, że mnie pan oczekuje. - Swinton przymrużył zawadiacko oko. - Miałem rację, czekał pan na mnie, nieprawdaż?

- Myli się pan. Przecież uprzedzałem was, że potrzebuję trochę więcej czasu.

- Mówił pan też, że jego mała, śliczna kuzyneczka nosi się z zamiarem sprzedania firmy i że wkrótce dostaniemy brzęczące pieniążki.

- Ona... rozmyśliła się.

- Wiesz dobrze, że byłoby lepiej dla ciebie, gdyby zmieniła zdanie.

- Robię, co mogę. To tylko kwestia czasu.

- Mamy po dziurki w nosie twoich kręctw, Nichols. - Swinton przysunął się bliżej Aleca, powoli spychając go z ławki. - Nie chcemy zrobić ci krzywdy, bo miło mieć przyjaciela w parlamencie. Są jednak pewne granice. - Przysunął się jeszcze bliżej. - Kiedyś pożyczyliśmy ci pieniądze. Teraz już czas, abyś je nam oddał. Wystarczy mały transporcik narkotyków.

- Nie, to wykluczone. - Alec trząsł się z oburzenia. - Nie ma sposobu, aby...

Swinton posunął się jeszcze kilka centymetrów, przyciskając Nicholasa do dużego metalowego pojemnika z gorącymi kamieniami. Błyskawicznie chwycił jego ramię i przycisnął do jednego z wystających kamieni. Nichols syknął z bólu i upadł na posadzkę. Swinton wstał spokojnie z ławki i powiedział:

- Niech pan zapamięta: jeden mały transporcik i będziemy kwita. Do zobaczenia, sir Nichols. Będziemy w kontakcie.

BERLIN, SOBOTA, 3 LISTOPADA, 6 PO POŁUDNIU

Anna czuła, że dłużej nie wytrzyma tego napięcia. Była więźniem we własnym domu. Odwiedzała ich jedynie starsza kobieta, która raz w tygodniu przychodziła sprzątać. Anna wraz z dziećmi była skazana na łaskę męża. Ich los stał się tym okrutniejszy, że Walther nie krył się już ze swoją nienawiścią.

Tamtego popołudnia przebywała z dziećmi w ich pokoju. Słuchali ulubionej płyty:

Welch ein Singen, Musizieren, Pfeifen, Zwitschken, Tiriliern...

Nagle Walther, jak burza, wpadł do pokoju, krzycząc:

- Nie chcę dłużej tego słuchać! - I połamał płytę na oczach przerażonych dzieci.

Anna próbowała go udobruchać:

- Wybacz, Waltherze. Nie wiedziałam, że jesteś w domu... - przerwała zalekniona.

- Musimy pozbyć się dzieci, Anno - powiedział spokojnie, cedząc wolno słowa. Oczy błyszczały mu jak w gorączce. Dzieci, cicho popłakując, tuliły się do matki.

- To, co dzieje się w tym domu - krzyknął nagle - musi pozostać tajemnicą, rozumiesz!

- Tak, Waltherze.

Gassner zamachnął się i z całej siły uderzył ją w twarz. Pod Anną ugięły się kolana i zemdlona upadła na podłogę.

Kiedy się ocknęła, leżała w łóżku, w swojej sypialni. W domu panowała cisza. Było zbyt cicho. W pierwszej chwili pomyślała z przerażeniem o dzieciach. Zwlokła się z łóżka i podeszła do drzwi. Były zamknięte od zewnątrz. Przycisnęła ucho do drzwi. Z dziecinnego pokoju powinny dobiegać głosy. A może już nie żyją? Poczowała, jak znów robi jej się ciemno przed oczami. Potykając się o meble, dotarła do telefonu i podniosła słuchawkę. Nagle uświadomiła sobie, jakie groziłoby jej niebezpieczeństwo, gdyby Walther odkrył, że dzwoni na policję. Chciała natychmiast odłożyć słuchawkę, ale w końcu przezwyciężyła strach i wykręciła numer najbliższego posterunku policji.

- Hier ist der Notruf der Polizei - usłyszała w słuchawce. Nie mogła jednak wydobyć z siebie głosu.

- Ja, bitte. - Miała nienaturalnie wysoki głos. - Ich bin in grosser Gefahr. Bitte schicken sie jemanden.

Nagle Walther wyrósł przed nią jak spod ziemi. Odepchnął ją gwałtownie od telefonu, aż zatoczyła się na łóżko. Potem wyrwał wtyczkę z gniazdka i uderzał słuchawką o aparat, póki nie rozleciała się w kawałki.

- Dzieci - usłyszał szept Anny. - Co zrobiłeś z dziećmi?

Nie doczekała się jednak odpowiedzi. Walther wyszedł z pokoju bez słowa.

Główny posterunek policji w Berlinie mieści się przy Keithstrasse 2832. Budynek nie wyróżnia się niczym szczególnym spośród innych w tej dzielnicy.

Każdy, kto próbuje zaalarmować policję wykręcając numer 110, uruchamia specjalny system elektroniczny, który uniemożliwia rozłączenie. Poza tym wystarczy zaledwie kilka sekund, aby dowiedzieć się, skąd dzwoni rozmówca. Maszyna jest cennym nabytkiem i dumą Deltk ans Mensch.

W pięć minut po telefonie Anny detektyw Paul Lange przyszedł do biura swojego szefa, majora Wagemana, i położył na jego biurku magnetofon.

- Chciałbym, aby pan czegoś posłuchał. - Nacisnął klawisz z napisem "play". Najpierw usłyszeli męski głos:

- Tu numer alarmowy policji. A następnie kobiecy. Zdawała się być przerażona.

- Tak, proszę! Jestem w niebezpieczeństwie. Proszę, przyślijcie kogoś...

Potem nastąpił głuchy trzask i telefon zamilkł.

Major Wageman spojrział na detektywa i zapytał:

- Czy wie pan, skąd telefonowano?

- Tak, panie majorze.

- To co mi pan zawraca głowę? Dlaczego jeszcze nie posłał pan tam kogoś, aby sprawdził na miejscu, co się dzieje?

- Musi pan najpierw wyrazić na to zgodę. Lange położył przed majorem zapisaną kartkę papieru.

- Niech to cholera! Jest pan tego pewien?

- Tak, majorze.

Na kartce widniał adres Walthera Gassnera, szefa niemieckiej filii "Roffe & Sons", jednego z najpotężniejszych gigantów farmaceutycznych w Niemczech Zachodnich.

"Wystarczy niewielki błąd, a obaj znajdziemy się na zielonej trawce" - pomyślał major Wageman i powiedział

- Chcę, aby zajął się pan osobiście tą sprawą. I proszę zachować daleko posuniętą ostrożność. Zrozumiano?

- Tak, panie majorze.

Posiadłość Gassnerów znajdowała się w Wannsee, ekskluzywnej dzielnicy w południowo-wschodnim Berlinie.

Detektyw wybrał jednak dłuższą drogę przez Hohenzollerndamm. Ruch o tej porze dnia był tam dużo mniejszy. Przejechał przez Clayalle, minął budynek CIA ukryty za wysokim płotem z drutu kolczastego i skręcił w drogę nazywaną kiedyś "Drogą numer 1". Była ona najdłuższa w całych Niemczech; biegła od Prus Wschodnich do granicy z Belgią. Po prawej stronie znajdował się "Brucke der Einheit" - Most Jedności, gdzie szpieg Abel został wymieniony na amerykańskiego pilota U-2, Gary Powersa.

Lange zjechał z drogi szybkiego ruchu i wkrótce znalazł się na zalesionych wzgórzach Wannsee.

Domy były piękne i robiły duże wrażenie. W niedzielę Lange często przyjeżdżał tu z żoną, aby mogła obejrzeć wielobarwne klomby kwiatowe i przystrzyżone trawniki wokół willi.

Szybko odszukał adres posiadłości Gassnera i skręcił w alejkę prowadzącą do bramy wjazdowej.

Dom wybudowano z rozmachem godnym dyrektora potężnej korporacji. Major Wageman miał rację. Musi być bardzo ostrożny.

Brama była szeroko otwarta. Wjechał więc bez przeszkód na dziedziniec i zaparkował samochód tuż przed wejściem do budynku.

Zdjął kapelusz i nacisnął dzwonek. Odczekał dobrą chwilę i ponownie zadzwonił do drzwi. W domu panowała głucha cisza. Kiedy nerwowo obracając kapelusz w dłoniach zastanawiał się, czy nie poszukać tylnego wyjścia, drzwi frontowe powoli uchyliły się.

Stała w nich kobieta w średnim wieku, ubrana w szlafrok. Była blada i miała zaczerwienione, mocno opuchnięte oczy.

- Szukam pani Gassner - powiedział Lange, wyjmując z kieszeni legitymację. - Proszę jej powiedzieć, że przyszedł...

- To ja - przerwała mu.

Lange był zaskoczony. Kobieta, z którą rozmawiał, bardziej przypominała pokojówkę niż panią domu.

- Czy to pani dzwoniła na policję kilka godzin temu? - Czuł, że jego pytanie zabrzmiało zbyt oschle.

- Tak, to ja dzwoniłam. Popełniłam jednak błąd. - Mówiła podejrzenie spokojnie. Jeszcze brzmiał mu w uszach jej przerażony głos z taśmy magnetofonowej, którą przesłuchiwali z majorem.

- Czy może mi pani powiedzieć, jakiego rodzaju błąd?

- Zdawało mi się... - Wyraźnie wahała się. Po chwili jednak wykrztusiła jednym tchem: - Myślałam, że ktoś ukradł mi biżuterię. Pośpieszyłam się zanadto z alarmowaniem was, bo klejnoty zaraz się odnalazły.

“Numer, z którego korzystała, jest zarezerwowany dla morderstw i gwałtów - myślał gorączkowo detektyw. - Nie daj się zwieść. Bądź przy tym, na miłość boską, ostrożny!”

- Rozumiem - pokiwał głową Lange.

Dałby wiele, aby móc wejść do środka i przeszukać każdy kąt. Był pewien, że ta kobieta coś przed nim ukrywa.

- Dziękuję, pani Gassner. Proszę mi wybaczyć, że panią niepokoiłem... - Nie skończył, bo kobieta zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Detektyw wszedł do samochodu i natychmiast odjechał.

Grzeczna dziewczynka - powiedział Walther, kiedy usłyszał odgłos odjeżdżającego samochodu, i pogłaskał ją po głowie jak dziecko.

- A teraz wrócimy na górę. - Odwrócił się plecami do Anny i wszedł na schody.

Annie wystarczył ułamek sekundy na podjęcie decyzji. Chwyliła leżące na szafce na buty nożyczki i wbiła je Waltherowi w plecy.



RZYM, NIEDZIELA, 4 LISTOPADA, POŁUDNIE

“Wspaniały dzień na wizytę w Villi d'Este” - pomyślał Ivo, krocząc u boku Simonetty przez ogrody Tivoli. Obok, podskakując radośnie, biegły jego córki. Przez całą drogę przyglądały się z zaciekawieniem fontanom.

Ivo zastanawiał się, czy gdy Pirro i Ligorio budowali fontanny, przyszło im na myśl, ile radości sprawią milionom ludzi odwiedzającym ogrody.

W przeszłości Ivo przychodził tu z Donatella i swoimi trzema synami. Uwielbiali wprost bawić się wśród tych przepięknych fontann.

Posmutniał nagle na wspomnienie swoich dorodnych chłopaków. Nie odwiedzał Donatelli od tamtego wieczoru, gdy rozorała mu plecy swoimi długimi paznokciami. Był przekonany, że jego prześliczna kochanka bardzo teraz cierpi i tęskni do niego. “No cóż? - myślał Ivo. - Rozłąka wyjdzie nam na dobre. Niepotrzebnie tylko swoim postępowaniem sprawia ból chłopcom. Ciekawe, co teraz robią?”

- Tędy, chłopcy! - usłyszał nagle głos Donatelli.

Ivo poczuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach.

Obejrzał się i zobaczył Donatellę i synów przeciskających się przez tłum ludzi w ich kierunku.

W pierwszej chwili pomyślał, że pojawienie się Donatelli w ogrodach jest dziełem przypadku. Kiedy jednak dojrzał jej twarz czerwoną od gniewu, szybko zmienił zdanie.

Putana zapragnęła zapewne, aby obie rodziny spotkały się. W ten sposób, on, Ivo, będzie skończony. Czuł, że musi jakoś temu zapobiec.

- Szybko, coś wam pokażę! - krzyknął do Simonetty i dziewczynek, popychając je przed sobą.

Biegli na złamanie karku w dół po wąskich kamiennych schodach. Wokół słyhać było złorzeczenia ludzi, którym deptali po nogach. W pewnym momencie Ivo obejrzał się i dojrzał chłopców zbliżających się do schodów.

“Wystarczy, że któryś z nich krzyknie papa, a skoczę do największej fontanny” - pomyślał.

- Po co ten pośpiech? - dopytywała się Simonetta, chwytając łączywie powietrze.

- To niespodzianka! - krzyknął Ivo i szczerząc zęby w uśmiechu dodał: - Nie pożałujecie.

Donatella z dziećmi zniknęła mu na moment z pola widzenia. Schody przed nimi zaczęły nagle biec stromo w górę. Ivo klasnął w dłonie i krzyknął:

- Ta, która pierwsza dobiegnie na górę, dostanie nagrodę!

- Ivo, nie mam już siły! Błagam, usiądźmy gdzieś na chwilę!

- Nie ma mowy, kochanie. Zepsułoby to całą zabawę.

Ivo chwycił ją za rękę i pociągnął w górę schodów. Coraz bardziej brakowało mu tchu.

“Boże słodki, gdybym tak dostał teraz ataku serca - pomyślał. - Przeklęta kobieta. Zapłaci mi za to!”

Wyobrażał sobie, że chwyta Donatellę za gardło. Ona jest naga i krzycząc wniebogłosy, błaga go o litość. Zaczęło go to podniecać.

- Już nie mogę, Ivo - jęknęła Simonetta.

- Zaraz będziemy na miejscu.

Ivo rozejrzał się dookoła i odetchnął z ulgą. Nigdzie nie widział Donatelli ani chłopców. Pewnie utknęli gdzieś w tłumie.

- Gdzie ci tak spieszo, Ivo?

- Cierpliwości, mój skarbie. Chodźcie ze mną! - rozkazał i ruszył w kierunku bramy wyjściowej.

- Już wychodzimy? - zapytała zdziwiona Izabella, najstarsza córka. - Przecież dopiero co przyszliśmy!

- Tu mi się nie podoba. Pokażę wam lepsze miejsce.

Nagle tuż przy końcu schodów ujrzał chłopców, a za nimi zdyszana Donatellę.

- Szybciej, dziewczynki! - krzyknął i popędził w kierunku samochodu. Kilka sekund później mknęli autostradą w kierunku miasta.

- Jestem zaskoczona twoim zachowaniem - powiedziała z wyrzutem Simonetta.

- Jak ci to wytłumaczyć, najdroższa? - zawahał się Ivo. - Jakiś diabeł we mnie wstąpił. - Poklepał Simonettę po ręce. - Żeby wam to wynagrodzić, zabieram was na obiad do Hasslera.

Tak bardzo trzęsły mu się ręce, że z trudem utrzymywał kierownicę.

“Już dłużej tego nie zniosę - powtarzał w myślach. - H giuoco e stato fatto. Ta kobieta gotowa jest mnie zniszczyć, jeżeli nie dam jej pieniędzy, których żąda. Muszę je wydobyć choćby diabłu z gardła”.

PARYŻ, PONIEDZIAŁEK, 5 LISTOPADA, 6 PO POŁUDNIU

Po powrocie do domu Charles Martel natychmiast zorientował się, że będzie miał nie lada kłopoty. W salonie czekała na niego Helena z Pierre'em Richaudem, jubilerem, który podrabiał dla niego biżuterię Heleny.

- Wejdz, Charlesie - poprosiła Helena. Łagodny ton jej głosu niemal go sparaliżował. - Znasz chyba obecnego tu pana Richauda?

Charles kiwnął głową bez słowa. Jubiler siedział ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

- Usiądź! - rozkazała Helena. - Mon cher marż, jesteś przestępcą. Kradłeś z mojego sejfku klejnoty, które następnie podrabiał ten tu oszust - wskazała ręką na Richauda.

Charles z przerażeniem stwierdził, że wilgotnieją mu spodnie w kroku. Coś podobnego nie zdarzyło mu się od czasu, gdy był małym chłopcem.

Miał ochotę zapaść się pod ziemię.

- Sądziłeś, że ujdzie ci to na sucho?

Charles nie odezwał się ani słowem. Nie miał też odwagi spojrzeć w dół na spodnie, choć wiedział, że mokra plama powiększa się.

- Poprosiłam pana Richauda - mówiła nieco łagodniej - aby opowiedział mi od początku do końca, jak się to wszystko odbyło.

“Poprosiła”. Już on wie, jak Helena potrafi prosić.

- Mam fotokopie wszystkich rachunków, na których dokładnie jest zapisane, ile pieniędzy dostałeś za moją własność. Jeżeli zechcę, dokonasz w więzieniu swojego nędznego żywota.

Czyżby zamierzała mu wybaczyć? Wielkoduszność Heleny była po stokroć niebezpieczniejsza. Ciekawe, czego zażyczy sobie w zamian?

- Proszę nikomu nie wspominać o naszej rozmowie. W przeciwnym razie... - Helena zwróciła się do Richauda.

- Tak, rozumiem, pani Rof f e - wybełkotał mężczyzna, patrząc z nadzieją w stronę drzwi. - Czy pozwoli pani, że...

- Tak, może pan już iść.

Richaud poderwał się z miejsca i nie ukloniwszy się nawet, zniknął za drzwiami.

Helena przyjrzała się uważnie Charlesowi. Jego przerażenie bawiło ją. Nawet więcej, dawało jej satysfakcję, którą można by porównać do rozkoszy seksualnej. Charles trząsał się jak galareta i... siusiał w spodnie. Uśmiechnęła się na widok mokrej plamy na spodniach.

“Dałam mu niezłą nauczkę. Gdyby ktoś zobaczył go w tym stanie, nie uwierzyłby, że jest jednym z lepszych dyrektorów »Roffe & Sons«.

A może powinna go teraz pokazać pozostałym członkom zarządu i powiedzieć, że rozkwit filii paryskiej jest całkowicie jej zasługą. Nie interesowałyby jej pieniądze, ale władza.

Pragnęła odkupić udziały rodziny i przejąć kontrolę nad “Roffe & Sons”. Rozmawiała już z nimi o tym i wszyscy wyrazili zgodę. Dotąd w realizacji jej planów przeszkadzał jej Sam, teraz - Elżbieta.

Helena niełatwo rezygnowała, a już na pewno nie podda się z powodu jakiejś nędznej kuzyneczki. Postawi na swoim, a jeżeli zdarzy się coś nieprzewidzianego, Charles będzie kozłem ofiarnym.

Na razie jednak będzie musiała ukarać go za tę jego petite revolte. Wstała z miejsca, podeszła do siedzącego Charlesa i zaczęła ocierać się biodrem o jego twarz.

- Chcesz, abym ci wybaczyła, mój mały? - zapytała słodko.

- Tak, Heleno - odparł i patrzył z przerażeniem, jak zdejmuje spódnicę.

“O mój Boże! Nie teraz, ty dziwko!” - pomyślał.

- Posłuchaj mnie więc: “Roffe & Sons” jest moją firmą. Chcę mieć w niej większość udziałów.

- Wiesz dobrze, że Elżbieta nie zgodzi się na to - powiedział Charles, głośno przetykając ślinę.

Helena powoli zdjęła bluzkę, bieliznę i stanęła przed nim naga.

- Postarasz się, aby zmieniła zdanie, jeżeli nie chcesz zginąć w więzieniu. A teraz podejdź tu do mnie, a powiem ci, co masz zrobić.

Następnego dnia rano w biurze Elżbiety zadzwonił telefon. Emil Joepli prosił ją o natychmiastowe przybycie do laboratorium. Był wyraźnie czymś podniecony.

- Będę za kwadrans - oznajmiła. Kate Erling była zaskoczona widząc, jak Elżbieta wybiega z biura.

- Czy coś się stało? Ma pani przecież spotkanie o...

- Panno Kate, proszę odwołać wszystkie spotkania, które miały się odbyć w ciągu najbliższej godziny! - zdążyła krzyknąć, gdy zamykały się drzwi "ekspresu".

Przed wejściem do tajnego laboratorium uzbrojony strażnik długo przyglądał się jej przepustce. W końcu jednak kiwnął głową i powiedział:

- Ostatnie drzwi na lewo, panno Roffe. Joepli przywitał ją z nie ukrywanym entuzjazmem.

- Zeszłego wieczoru zakończyłem ostatnie testy. Niech pani popatrzy na te zwierzęta. - Zaprowadził ją do klatki, w której baraszkowały cztery młode króliki. Obok stała druga klatka, również z królikami. Były jednak spokojniejsze i znacznie powolniejsze. - Enzymy całkowicie opóźniły proces starzenia. Te zdawałoby się młode króliki to dziadkowie tych tu obok. - Wskazał palcem na te po prawej stronie. - Przeżyły niemal dwa pokolenia.

- Dwa pokolenia? - powtórzyła Elżbieta.

Była zdumiona. "Czy to możliwe, że człowiek wkrótce będzie w stanie... Nie, to nieprawda" - pokręciła głową.

- Kiedy wypróbuje pan działanie enzymu na ludziach?

- Muszę jeszcze przestudiować wszystkie dane. Myślę, że za jakieś trzy cztery tygodnie, proszę pani.

- Tylko nikomu ani słowa.

- To zrozumiałe. Pracuję sam i staram się zachować niezbędne środki ostrożności.

Całe popołudnie minęło Elżbiecie na dyskusji w sali posiedzeń, gdzie zebrali się wszyscy członkowie rodziny oprócz Walthera. Charles ponownie podjął temat sprzedaży akcji, co i tym razem spotkało się ze zdecydowaną odmową ze strony Elżbiety. Ivo, jak zwykle, był szarmancki i przy każdej okazji kokietował ją. Alec był także dla niej miły. Tylko Charles siedział ponury i nieobecny myślami.

"Ciekawe, co go gryzie?" - zastanawiała się.

Po zebraniu poczęstowała wszystkich kolacją, podczas której poruszyła kilka problemów zawartych w tajnym raporcie ojca. Badała przy tym uważnie reakcje zebranych. Nikt jednak nie wykazywał nerwowości wywołanej poczuciem winy.

Rhys był nieobecny zarówno na posiedzeniu zarządu, jak i później, podczas kolacji. Mówił, że ma pilne sprawy, którymi musi się zająć. Elżbieta zastanawiała się, czy za tymi sprawami nie kryła się jakaś kobieta. Zresztą za każdym razem, gdy spędzał z Elżbietą pracowity wieczór, odwoływał - była tego pewna - randkę z którąś z kochanek. Utwierdziło ją w tym przekonaniu zajście, którego była świadkiem.

Pewnego wieczoru pojawiła się w biurze rudowłosa piękność i zaczęła głośno wyrzucać Rhysowi, że ją zaniedbuje.

- Przepraszam za to zajście - powiedział, gdy zamknęły się drzwi windy za niezwykle gościnnym.

- Ładna - powiedziała Elżbieta. Myślała, że pęknie jej serce. - Czym się zajmuje?

- Przeprowadza operacje mózgu - odpowiedział szczerze, czym ubawił Elżbietę do łez.

Kusiło ją, aby zapytać, czy pozostałe kobiety, które z nim widywała, wykonują równie niezwykle zawody.

Zastanawiała się często, jaki jest Rhys prywatnie. Czy bardzo różni się od tego człowieka, którego znała z publicznych wystąpień?

“Ciekawe, jak zareagowałyby, gdybym zaproponowała mu zarządzanie firmą?”

Po kolacji członkowie zarządu popędzili na lotnisko, aby jak najszybciej znaleźć się w domach i, sącąc brandy, rozmyślać o kolejnej porażce w starciu z nowym prezesem korporacji.

Gdy wyszedł ostatni z dyrektorów, w gabinecie Elżbiety, gdzie właśnie pracowała z Kate Erling, pojawił się niespodziewanie Rhys.

- Myślałem, że będziesz potrzebowała mojej pomocy - powiedział.

Ani słowem nie wspomniał, gdzie był i co robił. Zresztą nie musiał. W końcu co ją mogło obchodzić jego prywatne życie?

Szybko zabrał się do pracy. Mimo zmęczenia, był jak zwykle czujny. Przeglądając podpisane ostatnio kontrakty, wykrył drobne błędy, które uszły uwadze pracowników. Gdy minęła północ, wyprostował się i patrząc na zegarek, powiedział:

- Ups! Już północ! Muszę pędzić, Elżbieto. Czeka mnie jeszcze jedno spotkanie w miłym gronie. Dokończę przeglądać te papiery jutro rano.

“Ciekawe, czy tym razem czeka na niego w łóżku rudowłosa specjalistka od operacji mózgu, czy może... - przerwała, karcąc siebie w myślach. - Ma przecież prawo spotykać się, z którą tylko zechce”.

- Dobranoc, Elżbieto. Dobrej nocy, Kate.

- Do widzenia, panie Williams. - Robił wrażenie nawet na Kate. Sekretarka oblała się rumieńcem jak nastolatka.

- Możesz już iść do domu, Kate. Przejrzę te dokumenty za ciebie.

- Nie będzie pani musiała. Już prawie skończyłam - odparła Kate.

O pierwszej nad ranem obie były gotowe do wyjścia. Elżbieta włożyła płaszcz, wzięła torebkę i razem z Kate weszła do windy. W ostatniej chwili, gdy Elżbieta wyciągnęła już rękę w kierunku przycisku z napisem "parter", usłyszały, jak zadzwonił w biurze telefon.

- Pójde odebrać - powiedziała Kate i wyszła z windy.

Na parterze strażnik spoglądał na tablicę zawieszoną nad wejściem do "ekspresu". Przed chwilą zapaliło się na niej czerwone światelko i teraz winda sunęła wolno w dół.

- Szefowa jedzie - powiedział do kierowcy, drzemiącego nad rozłożoną gazetą.

Kierowca wstał z krzesła i, przeciągając się leniwie, powiedział:

- Zaczekam na nią przy wyjściu.

Nagle ciszę przerwał dzwonek alarmowy. Strażnik spojrzął na tablicę "ekspresu" i zamarł z przerażenia. Czerwone światelko zaznaczające pozycję windy przesunęło się w dół, nabierając szybkości.

- Jezu Chryste! - krzyknął strażnik i podbiegł do małej wnęki obok drzwi windy, gdzie mieściła się dźwignia hamulca bezpieczeństwa. W chwili, gdy uruchamiał hamulec, za jego plecami pojawił się zdenerwowany kierowca.

- Co się dzieje, Frank? - zapytał.

Strażnik, widząc, że światelko nadal pędzi jak szalone, ponownie pociągnął za dźwignię. Na próżno.

- Uciekajmy stąd! - krzyknął. - Pod ścianę!

W miarę jak winda spadała, w holu dawało się wyczuć coraz większe drgania. Słysząc było też przerażający krzyk kobiety. Po chwili winda z łoskotem uderzyła o kamienną posadzkę piętro poniżej piwnicy.

Nadinspektor Otto Schmied z Zurich Kriminalpolizei siedział przy biurku z zamkniętymi oczami. Nabierał głęboko do płuc powietrza, tak jak mu zalecał pewien mistrz jogi. Starał się opanować wzbierającą w nim złość.

Podczas pracy policję obowiązywało wiele przepisów tak oczywistych, jak choćby ten nakazujący policjantowi dokonać oględzin miejsca wypadku. A jednak znalazł się osioł, niejaki detektyw Max Hornung, któremu to święte przykazanie było całkowicie obce. Zresztą mógł się tego po nim spodziewać.

“Ze też ja się w ogóle czemukolwiek dziwię” - pomyślał biorąc do ręki raport swojego podwładnego.

“Raport Brandtour Offizier, środa, 7 listopada, czas: 1 rano

Temat: Wypadek w budynku administracyjnym »Roffe & Sons«

Rodzaj wypadku: nieznany

Przyczyna: nieznana

Liczba rannych lub zabitych: nieznana

Czas: 1:27

Temat: Drugie zawiadomienie z budynku administracyjnego »Roffe & Sons«

Rodzaj wypadku: zerwanie windy

Przyczyna: nieznana

Liczba rannych lub zabitych: Jedna kobieta. Śmierć na miejscu.

Rozpocząłem natychmiastowe dochodzenie. O godzinie 1:35 skontaktowałem się z zarządcą budynku, od którego uzyskałem nazwisko i adres głównego architekta.

:30. Udało mi się nawiązać kontakt z architektem. Obchodził urodziny w La Puce. Podał mi nazwę firmy, która instalowała windy w budynku. Oto ona: Rudolf Schatz, A.G.

:35. Zadzwoiłem do Rudolfa Schatza i poprosiłem go, aby przygotował plany wind, ich kosztorysy oraz spis wszystkich materiałów użytych do ich skonstruowania”.

Głębokie oddechy przestały skutkować. “Musiałbym chyba łyknąć całe opakowanie środków uspokajających, żeby utrzymać nerwy na wodzy” - pomyślał nadinspektor.

“6:15. Żona Schatza przyniosła na posterunek dokumenty, o które prosiłem. Już po pobieżnym ich przejrzaniu doszedłem do takich oto zadowolających wniosków:

a) Do budowy wind użyto materiałów budowlanych najwyższej jakości.

b) Konstruktor, podobnie jak i podlegli mu robotnicy, cieszy się dobrą reputacją i nie sędzę, aby można było posądzić go o brak uczciwości.



c) Windy wyposażono w prawidłowo działające urządzenia zabezpieczające.

d) Uważam więc, że zerwanie windy spowodowały czyjeś celowe działania.

Podpisano: Max Hornung, CIA

Nb. Ponieważ wszystkie moje rozmowy telefoniczne odbywały się w nocy, istnieje prawdopodobieństwo, że osoby, które obudziłem, zgłoszą się do pana z pretensjami”.

Schmied rzucił raport z łoskotem na biurko.

Istnieje prawdopodobieństwo! Osoby, które obudziłem!

Od rana nie milkną telefony od wyższych urzędników państwowych. Ublizano mu od gestapowców i grozono dymisją. Hornung zerwał z łóżka prezesa jednej z największych firm budowlanych w Szwajcarii i nakazał mu dostarczenie dokumentów na posterunek policji w środku nocy. Najbardziej zdumiewające było jednak to, że pojawił się na miejscu wypadku dopiero po czternastu godzinach. W tym czasie ofiarę wyciągnięto z windy, zidentyfikowano i przeprowadzono autopsję. Co więcej, pół tuzina innych detektywów zdążyło przepytac świadków i złożyć swoje raporty.

Kiedy nadinspektor Schmied po raz kolejny zakończył czytanie raportu, wezwał Maxa Hornunga na rozmowę.

Stanął przed nim mały, łysy jak kolano człowieczek. Jego twarz przypominała dzieło jakiegoś szaleńca. Wyglądała jak wielki pudding z ustami w kształcie rodzyńka pośrodku.

Hornung był o dobre kilkanaście centymetrów za niski jak na policjanta Zurich Kriminal-polizei i miał kłopoty ze wzrokiem. Na domiar złego wszystkich kolegów, z nadinspektorem włącznie, traktował z wyższością, czym wzbudzał powszechną niechęć.

- Dlaczego po prostu go nie wyrzucisz? - zapytała któregoś dnia żona Schmieda, narażając się tym na gniew męża.

Schmied tolerował obecność Hornunga i miał ku temu powody. Po pierwsze detektyw był matematycznym geniuszem. Ponadto posiadał wprost encyklopedyczną wiedzę na temat spraw związanych z finansami. Potrafił też po mistrzowsku wykryć każdą, nawet najmniejszą defraudację.

Swoim postępowaniem bardziej przyczynił się do wzbogacenia skarbu państwa niż fabryki czekolady i zegarków razem wzięte. Bo przecież nie kto inny jak detektyw Max Hornung wykrył kilka poważnych prób wywiezienia brudnych pieniędzy ze Szwajcarii i prania ich w kilku poważnych bankach za jej granicami. Wiele liczących się w świecie biznesu osobistości trafiło dzięki niemu do więzienia. W krótkim czasie ten niewielki człowieczek stał się postrachem szwajcarskiej finansjery. Bogaci ludzie przede wszystkim cenili sobie spokój, który Max, jeśli przysła mu na to ochota, potrafił skutecznie zakłócić.

Jego pensja jako psa pościgowego ministerstwa finansów była stosunkowo skromna. Kuszono go więc wysokimi łapówkami. Za zaniechanie czynności śledczych proponowano mu dom wypoczynkowy w Cortina d'Ampezzo, luksusowy jacht i kilka wyjątkowo pięknych kobiet do towarzystwa. O każdym z tych przypadków poinformowane zostały odpowiednie władze.

Hornung pogardzał pieniędzmi, choć mógł zarobić wiele milionów dolarów, proponując i swoje usługi chociażby agencjom maklerskim. Taki pomysł jednak nigdy nie przyszedł mu do głowy. Wolał ścigać ich agentów, uchylających się od płacenia podatków.

Miał tylko jedno marzenie. Zapragnął mianowicie pracować w policji. Widział siebie w roli Sherlocka Holmesa lub komisarza Maigreta, tropiącego zwyrodniałych kryminalistów.

Ktoś wpływowy z ministerstwa finansów dowiedział się o jego marzeniach i zaproponowano Hornungowi posadę detektywa w Komendzie Głównej Policji w Zurychu, którą oczywiście przyjął z nie ukrywaną radością.

I w ten oto sposób któregoś ranka przedstawiono nadinspektorowi Schmiedowi jego nowego podopiecznego. Poradzono mu też, aby jak najszybciej przydzielił Hornunga do jakiegoś skomplikowanego śledztwa, gdyż ten, nie daj Boże, mógł się rozmyślić i na powrót zająć się kontami bogatych obywateli.

W ten sposób rozpoczęło się nie mające końca pasmo udręk nadinspektora. Pocieszał się jedynie myślą, że decyzja władz o przysłaniu mu niedoświadczonego policjanta musiała mieć głębokie podłoże polityczne. Postanowił, że na początek Hornung powinien zaznajomić się z obowiązkami policjanta, pracując w pocie czoła w Kriminal-Tech Abteilung przy identyfikowaniu odcisków palców. Potem znalazł mu zajęcie w Fahndungsabteilung, gdzie zajął się odszukiwaniem zaginionych osób. Miał po cichu nadzieję, że Hornung utknie w którejś sekcji na dobre. Mylił się jednak. Hornung powracał do wydziału zabójstw jak bumerang i bezbłędnie rozwiązywał każdą najtrudniejszą sprawę, wprawiając tym w zdumienie Schmieda i najbliższych współpracowników.

Nadinspektor doszedł do wniosku, że Hornung jest urodzonym szczęściarzem. Do sukcesów byłego urzędnika finansowego nie przyczyniło się jednak szczęście, lecz jego niezwykła skrupulatność - cecha o wiele bardziej pożyteczna od wiedzy na temat procedury policyjnej, kryminalistyki, medycyny sądowej czy balistyki. Wystarczył niewielki ślad, aby detektyw Hornung, drogą czystej dedukcji, dotarł do przestępcy. Pomagała mu w tym również jego niezwykła pamięć, w której przechowywał najdrobniejszy nawet szczegół ubrania czy fragment rozmowy. Przy tym wszystkim był niezwykle oszczędny. Kiedy po raz pierwszy przedstawił nadinspektorowi listę wydatków za prowadzoną sprawę, Schmied nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- W swoich obliczeniach popełniłeś kilka błędów, Max - oznajmił zaskoczonemu Hornungowi.

- To niemożliwe, panie nadinspektorze.

- O tu... - Schmied wskazał palcem na pierwszą z rubryk, nad którą widniał napis: "transport". - Pojechał pan na miejsce wypadku i wrócił na posterunek za jedyne dziewięćdziesiąt centymów, kiedy wszystkim wiadomo, że taryfa na drugi koniec miasta kosztuje trzydzieści pięć franków w każdą stronę - powiedział z naciskiem.

- Wiem o tym i dlatego pojechałem autobusem.

- Autobusem?! - Schmied pokiwał głową z niedowierzaniem. - Wie pan doskonale, że nie wolno korzystać na służbie z publicznych środków transportu! Nie widzę też wydatków na posiłki. Dochodzenie trwało trzy dni. Czyżby pan nic nie jadł w tym czasie?

- Kupowałem tylko obiady. Śniadania i kolacje przyrządzałem sobie sam, Herr Oberleutnant. Wydatki na obiady znajdzie pan w ostatniej rubryce: szesnaście franków.

"Pewnie jadł te swoje obiady w Armii Zbawienia" - pomyślał Schmied i powiedział:

- Detektywie Hornung, wydział, w którym pan pracuje, istnieje od stu lat i prawdopodobnie będzie istniał jeszcze przez następne sto. Mamy pewne tradycje, których z dumą przestrzegamy.

Niech pan pomyśli o swoich kolegach. - Schmied położył przed Hornungiem listę wydatków. - Proszę to poprawić.

- Rozumiem, Herr Oberleutnant. Przepraszam za kłopot.

- Nie szkodzi. W końcu nie ma pan jeszcze doświadczenia.

Pół godziny później Hornung zwrócił nadinspektorowi listę, podnosząc wydatki zaledwie o trzy procent.

Tego listopadowego ranka, po tragicznym wypadku w budynku zarządu "Roffe & Sons", nadinspektor trzymał w ręku kolejny raport Maxa i trząsał się z oburzenia.

- Kiedy nadeszło zgłoszenie o wypadku, miał pan obowiązek natychmiast stawić się w budynku biurowca!

- Tak, proszę pana - odparł Hornung.

- Zrobił pan to dopiero po czternastu godzinach! W tym czasie cała policja australijska zdążyłaby przylecieć do Zurychu, przeprowadzić czynności śledcze i wrócić do domu!

- Myli się pan. Na sam przyłot z Australii potrzebowaliby. ..

- Niech pan się zamknie! - warknął Schmied i nerwowo przecesał palcami gęste, ostatnio bardzo szybko siwiejące włosy. Zastanawiał się, jak przemówić temu idiocie do rozsądku. - Nie będę tolerował samowoli w moim wydziale! - powiedział z naciskiem. - Kiedy inni detektywi

pojechali na miejsce wypadku, wezwali karetkę, zabrali ciało do kostnicy i uczestniczyli w autopsji, pan najspokojniej w świecie popijał w biurze kawę i budził w środku nocy niewinnych ludzi.

- Myślałem...

- Gówno mnie obchodzi, co pan myślał! - Schmied zapomniał o głębokich oddechach, które doradzał mu w chwilach zdenerwowania mistrz jogi. - Cały ranek musiałem wysłuchiwać skarg na pana!

- Musiałem dowiedzieć się...

- Dostyc tego! Niech mi się pan więcej nie pokazuje na oczy, Hornung!

- Tak jest. Czy mogę pójść na pogrzeb ofiary wypadku? Ma się odbyć dzisiejszego ranka.

- Dobrze.

- Dziękuję. Chciałem przeprosić, jeżeli... - przerwał, widząc jak Schmied zerwał się z miejsca i nagłym ruchem ręki pokazał mu drzwi.

Kaplica na cmentarzu Sihlfed była zabytkowym budynkiem, wykonanym z kamienia i marmuru. Obok sali, gdzie ubierano zwłoki, znajdowało się małe krematorium.

Wewnątrz kaplicy przednie rzędy przed katafalkiem z trumną zajmowali przedstawiciele dyrekcji i pracownicy "Roffe & Sons". W tyle obok katafalku kręciło się niespokojnie kilkunastu dziennikarzy.

Wśród nich stał Hornung, zatopiony w rozmyślaniach o śmierci. "Jak to możliwe - pytał sam siebie - że kiedy człowiek zaczyna osiągać sukcesy i może spokojnie cieszyć się życiem, nagle ginie w wypadku? Ludzka egzystencja zdaje się nie mieć najmniejszego sensu". Detektyw patrzył na trumnę i słuchał słów mistrza ceremonii pogrzebowej:

- Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.

Kwadrans później wszyscy wstali i ruszyli do wyjścia. Pogrzeb dobiegał końca.

Max stanął w pobliżu drzwi i kiedy zbliżyli się do niego mężczyzna i kobieta, zagadnął:

- Panna Elizabeth Roffe? Chciałbym z panią zamienić kilka słów.

Usiedli na małej ławeczce na wprost kaplicy.

- Czego pan sobie życzy? Panna Roffe składała już stosowne oświadczenie na policji - powiedział Rhys Williams, nie kryjąc złości.

- Bardzo przepraszam, jeżeli zakłócam państwa spokój, ale zależy mi tylko na kilku drobiazgach.

- Czy nie moglibyśmy pomówić o tym kiedy indziej? Panna Roffe nie czuje się najlepiej.

- Daj spokój, Rhys - odezwała się Elżbieta. - W czym mogę panu pomóc, detektywie Hornung?

Max spojrzał na Elżbietę i po raz pierwszy w życiu zaniemówił. Kobiety były mu równie obce jak przybysze z innych planet. Ich postępowanie było pozbawione logiki. W życiu kierowały się emocjami i były przez to nieobliczalne.

Kobietom pociąg seksualny kojarzył się z głębokim związkiem uczuciowym dwojga ludzi. Maxa podniecała jedynie dynamika poruszających się rytmicznie ciał. W dynamice bowiem, a nie w uczuciach, upatrywał sensu ludzkiej egzystencji. Uważał, że mylili się poeci sądząc, że gorące uczucia potrafią ruszyć świat z posad. Według niego, nie potrafią przesunąć nawet ziarnka piasku.

Dziwne więc wydawało mu się to, że w obecności tej kobiety czuł się nieswojo. Starał się nie patrzeć jej w oczy, aby móc zebrać myśli.

- Czy ma pani w zwyczaju pracować do późna, panno Roffe? - zapytał.

- Tak, często przesiaduję w biurze do późna w nocy.

- O której godzinie kończy pani zwykle pracę?
- To zależy. Czasami o dziesiątej, ale bywa też, że pracuję do północy, a nawet dłużej.
- Pani współpracownicy, rzecz jasna, wiedzą o tym?

Elżbieta spojrzała na niego zaskoczona.

- Przypuszczam, że tak.
- Tego wieczoru, gdy miał miejsce wypadek, pracowała pani razem z panem Williamsem i panią Kate Erling?

- Tak.
- Ale nie wyszliście razem?
- Ja wyszedłem pierwszy - odezwał się Rhys. - Byłem umówiony.

Max przyjrzał się uważnie Rhysowi i zwrócił się ponownie do Elżbiety.

- Ile czasu upłynęło od wyjścia pana Williamsa, zanim zdecydowała się pani opuścić biuro?

- Około godziny.
- Czy wyszła pani razem z Kate Erling?
- Tak. Wyszliśmy razem do holu. - Jej głos wyraźnie drżał. - Winda... ta winda, która czekała już na nas...

- I co się wtedy wydarzyło?

- Weszłyśmy obie do windy. Wówczas zadzwonił telefon. Kate zaproponowała, że odbierze, lecz ja czekałam na pilny telefon i postanowiłam sama... - przerwała i do oczu napłynęły jej łzy. - Wsiadłam z windy. Kate zapytała, czy ma poczekać, ale ja kazałam jej zjechać w dół. Widziałam, jak naciska przycisk z napisem "parter". Ruszyłam w kierunku mojego biura. Później, kiedy otwierałam drzwi, usłyszałam przeraźliwy krzyk... - Elżbieta nagle umilkła.

- Dostyc tego! - powiedział oburzony Rhys. - Do czego pan zmierza?

"Chcę udowodnić, że to nie był zwykły wypadek, lecz morderstwo zaplanowane z zimną krwią - pomyślał Max Hornung. - Ktoś próbował zamordować Elżbietę Roffe".

Starł się przypomnieć sobie wszystko, czego dowiedział się o "Roffe & Sons".

Korporacja poniosła ostatnio ogromne straty. Winna była bankom astronomiczne kwoty, o które banki zaczynały się gwałtownie upominać. Aby uzyskać potrzebne pieniądze, należało wypuścić akcje. Na tę operację nie zgadza się jednak były prezes i dlatego pewnie ginie w górach. Później na czele korporacji staje jego córka i kiedy stanowczo odmawia rozpisania akcji, ją również ktoś próbuje posłać na tamten świat. Ma widocznie ku temu powody i nie cofnie się przed niczym. Hornung zdawał się być na właściwym tropie i wiedział, że nie spocznie, póki nie rozwikła tej intrygującej zagadki.

- Czy dowiem się w końcu, dlaczego pan wypytuje o to wszystko pannę Roffe?

- No cóż... to tylko rutynowe przesłuchanie. Bardzo państwa przepraszam.

Wstał i ruszył w stronę bramy wyjściowej cmentarza.

Nadinspektor Schmied od samego rana miał pełne ręce roboty. Musiał zająć się tłumieniem demonstracji pod ambasadą libijską, ktoś podłożył ogień w fabryce papieru w Brunan, w parku Platzspitz zgwałcono dziewczynę, włamano się do sklepów jubilerskich w Guebelin i Grina. I na domiar złego zgłosił się detektyw Hornung z nedorzeczną teorią, jakoby ktoś celowo uszkodził bęben nawijający linę, która podnosi windę.

- Widziałem raport specjalistów, Hornung. - Schmied nie krył oburzenia. - Twierdzą, że nastąpiło zmęczenie materiału.

- Pan się myli, nadinspektorze. Dokładnie czytałem raport z ostatniego przeglądu technicznego. Wynika z niego, że bęben powinien pracować prawidłowo przez kolejne pięć, sześć lat.

Schmied poczuł nieprzyjemne drganie policzka.

- Chce mi pan wmówić, że ktoś celowo uszkodził bęben?

- Tak, panie nadinspektorze.

- Kto taki?

- Tego właśnie muszę się dowiedzieć.

- I prosi mnie pan, abym zezwolił panu na przeprowadzenie śledztwa w "Roffe & Sons"?

Detektyw Max Hornung spojrzał na Schmieda zaskoczony.

- Nie, panie nadinspektorze. Chcę jechać do Chamonix.

Miasteczko Chamonix leży czterdzieści mil na południe od Genewy, ponad dwa tysiące metrów nad poziomem morza, w departamencie Haute-Savoie, pomiędzy masywem Mont Blanc a łańcuchem górskim Aiguille Rouge. Stąd rozciąga się najbardziej zapierający dech w piersiach widok.

Hornung z uczuciem ulgi wysiadł z pociągu na małej górskiej stacyjce. Odprawił czekającą na niego taksówkę i ruszył pieszo w kierunku posterunku policyjnego w centrum miasta.

- Estce qu'on peut vous aider? - przywitał go siedzący przy drzwiach policjant, kiedy Hornung wszedł do zabytkowego budynekczku.

- Oui - odparł Max, promieniując radością, i zaczął objaśniać cel swojego przybycia do Cha-monix, beztrąsko kalecząc język ojczysty swojego słuchacza.

- Nic nie rozumiem z tego, co pan mówi - powiedział sierżant, przerywając bełkot Hornunga. - Ktoś pana okradł? A może pobił?

"Ten idiota nie rozumie francuskiego" - pomyślał Hornung z wyrzutem i pokazał sierżantowi swoją legitymację służbową.



Policjant długo przyglądał się fotografii, porównując ją z właścicielem. Zapewne nie mógł uwierzyć, że stojący przed nim człowiek jest detektywem.

- Czym mogę panu służyć? - zapytał w końcu.

- Chciałbym zasięgnąć informacji na temat wypadku w górach, jakieś dwa miesiące temu.

Mężczyzna, który zginął, nazywał się Sam Roffe.

- Tak, pamiętam - powiedział sierżant.

- Gdzie mógłbym dowiedzieć się czegoś więcej?

- W stacji ratownictwa górskiego, u podnóża Mont Blanc lub w klinice przy Rue du Valais.

- Dziękuję.

Sierżant znowu pokręcił głową z niedowierzaniem, widząc, jak mały człowieczek podnosi z ziemi ciężką walizkę i rusza w kierunku wyjścia.

Szefem pogotowia górskiego "Societe Chamoniarde de Secours" był młody człowiek o atletycznej budowie ciała. Siedział za sosnowym biurkiem i zerkając na Hornunga pocieszał się myślą, że przybysz nie ma zamiaru wyruszyć na podbój któregoś z górskich szczytów.

- Pan w jakiej sprawie?

- Nazywam się Hornung. Jestem detektywem. Oto moja legitymacja służbowa. Badam okoliczności śmierci niejakiego Sama Roffe'a. Zginął w wypadku, który wydarzył się dwa miesiące temu.

Mężczyzna westchnął i powiedział:

- Bardzo lubiłem pana Roffe'a. Miał wyjątkowego pecha.

- Czy był pan przy tym, jak to się stało?

- Nie. - Mężczyzna potrząsnął głową. - Jak tylko dostałem wezwanie, wyruszyłem z ekipą ratowniczą w góry. Na miejscu okazało się jednak, że nie jesteśmy w stanie nic zrobić. Ciało pana Roffe'a spadło na dno przepaści i nikt nigdy nie zdoła go odnaleźć.

- Jak doszło do wypadku?

- We wspinaczce brało udział czterech mężczyzn. Pan Roffe i przewodnik wspinali się ostatni. Kiedy dotarli do lodowej moreny, pan Roffe nagle poślizgnął się i spadł w przepaść.

- Czy nie był zabezpieczony liną?

- Był, ale lina pękła.

- Czy często się to zdarza?

- Ma pan na myśli pęknięcie liny?

- Tak.

- To jedyny przypadek, o jakim mi wiadomo. Doświadczeni alpiniści zawsze dokładnie sprawdzają sprzęt, zanim wyruszą w góry. Wypadki, owszem, zdarzają się, ale rzeczy tak podstawowe jak liny czy haki rzadko zawodzą.

Hornung pokiwał głową i powiedział:

- Chciałbym porozmawiać z przewodnikiem.

- Ten, który zwykle towarzyszył panu Roffe'owi, nie brał udziału we wspinaczce tamtego dnia.

Max otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

- Tak? A dlaczego?

- Z tego, co pamiętam, był chory. Ktoś inny poszedł w jego zastępstwie.

- Czy może mi pan podać jego nazwisko?

- Proszę poczekać. - Mężczyzna wszedł do biura i po kilku minutach wrócił z zapisanym skrawkiem papieru. - Przewodnik nazywał się Hans Bergman.

- Gdzie mogę go znaleźć?

- Niestety, nie pochodzi z tej okolicy. Mieszka w oddalonej o sześćdziesiąt kilometrów wiosce o nazwie... - przerwał na chwilę, próbując odczytać pisane drobnym maczkiem litery - ... Lesgets.

Zanim Hornung opuścił Chamonix, zajrzał do recepcji hotelu "Kleine Scheidegg" i odbył krótką rozmowę z recepcjonistką.

- Czy pamięta pani niejakiego Sama Roffe'a? Przebywał w tym hotelu na krótko przed...

- ...wypadkiem - dokończyła recepcjonistka. - Tak, pamiętam. To okropne.

- Czy Roffe mieszkał tu sam?

- Nie, proszę pana. Zarezerwował dwa pokoje: dla siebie i przyjaciela.

- Przyjaciela? - powtórzył Max zaskoczony. - Czy mogłaby pani podać mi jego nazwisko?

- Oczywiście. - Recepcjonistka zdjęła z półki grubą książkę meldunkową i zaczęła wertować kartki. - O tu, mam. Czy zapisać panu nazwisko tego pana...?

Dotarcie do Lesgets volkswagenem, najtańszym samochodem, jaki udało mu się wynająć, zajęło Hornungowi równe trzy godziny. Omal nie przejechał wioski, składającej się z kilku sklepów, schroniska górskiego i małej stacji benzynowej.

Zaparkował samochód przed schroniskiem i wszedł do środka. Przed kominkiem siedziało kilku mężczyzn zajętych rozmową. Kiedy zauważyli Maxa, umilkli.

- Przepraszam, szukam człowieka o nazwisku Hans Bergman.

- Kogo takiego?

- Szukam Hansa Bergmana. Jest przewodnikiem.

Stary mężczyzna o twarzy poranej zmarszczkami splunął do ogniska i powiedział:

- Ktoś pana oszukał. Mieszkam w Lesgets od dziecka i nigdy nie słyszałem o żadnym Hansie Bergmanie.

Elżbieta weszła do budynku zarządu. Była zdenerwowana i czuła się niepewnie. Ostatnim razem przebywała w biurze w dniu śmierci Kate Erling. Od tamtej pory upłynął tydzień.

Odpowiedziała automatycznie na pozdrowienia strażników i konserwatorów zajętych naprawą windy. Przed oczami stanęła jej nagle twarz Kate Erling. Ileż ta kobieta musiała wycierpieć, zanim spadła z dwunastego piętra. Elżbieta już nigdy w życiu nie wejdzie do tej windy.

Na biurku znalazła korespondencję. Pewnie położyła ją tam Henrietta. Kiedyś często zastępowała Kate. Teraz zajęła jej miejsce.

Elżbieta szybko przejrzała listy. W większości z nich proszono ją o zaakceptowanie różnych projektów, przedstawiano wykazy zysków lub sondaże w sprawie sprzedaży nowych artykułów. Na końcu znalazła dużą szarą kopertę, na której widniał napis: "Elżbieta Roffe, do rąk własnych".

Kiedy rozcięła kopertę, ze środka wypadły fotografie. Przedstawiały chłopca chorego na mongolizm. Pod spodem ktoś napisał kredką świecową: "To mój syn, John. Kiedyś był zdrowym i radosnym chłopcem, póki jedno z pani lekarstw nie uczyniło go kaleką. Zapłacisz mi za to!"

- Przyniosłam dokumenty gotowe do podpisu, panno Roffe - powiedziała Henrietta, wchodząc do gabinetu. - Źle pani wygląda. Czy coś się stało?

- Nie, nic. Poproś pana Williamsa, aby natychmiast do mnie przyszedł - powiedziała Elżbieta, nie odrywając oczu od fotografii.

"Co za potworność! - pomyślała. - To niemożliwe, aby »Roffe & Sons« było temu winne".

- Mylisz się, Elżbieto - powiedział Rhys. - To nasza wina. Na lekach pojawiły się niewłaściwe nalepki. Udało nam się wycofać znaczną partię, jednak... Sama wiesz. - Rozłożył ręce z rezygnacją.

- Kiedy to się stało?

- Cztery lata temu.

- Ile osób ucierpiało?

- Około stu. Nie wszystkie przypadki były tak drastyczne jak ten. - Wskazał na fotografię. - Wiesz dobrze, że jesteśmy bardzo ostrożni, ale nasi pracownicy są tylko ludźmi. Pomyłki zdarzają się wszędzie.

- Ale nie tam, gdzie w grę wchodzi zdrowie lub życie ludzkie - powiedziała Elżbieta z wyrzutem.

Rhys nerwowo przeczesał ręką włosy.

- Nie gniewaj się, Elżbieto, ale mamy mnóstwo ważniejszych spraw na głowie, z którymi musimy się jak najszybciej uporać.

“Co może być ważniejszego od tej tragedii” - pomyślała Elżbieta, kładąc zdjęcie ostrożnie na biurku.

- Co masz na myśli, Rhys?

- FDA wydała decyzję zakazującą sprzedaży naszych leków w aerozolu. Poniesiemy w związku z tym poważne straty. Będziemy musieli zamknąć kilka bardzo dochodowych fabryk.

“Wkrótce na nowo je otworzymy, aby zajęły się produkcją leku Joeeppli” - pomyślała na pocieszenie Elżbieta.

- Coś jeszcze?

- Czytałaś poranną prasę?

- Nie.

- Żona jednego z belgijskich ministrów, pani Van den Logh, zażywała “Benexan”.

- To jeden z naszych leków?

- Tak. Antyhistaminowy. Nie wolno go podawać ludziom cierpiącym na nadciśnienie. Umieściliśmy tę informację na nalepce. Ona jednak zignorowała ją.

Elżbieta czuła, że podnosi się jej własne ciśnienie.

- Teraz znajduje się w stanie śpiączki. Może nawet już nie żyje. Gazety aż huczą od domysłów. Z całego świata napływają zawiadomienia o wycofaniu leku z aptek. Nawet FDA wszczęła dochodzenie. Mimo to jeszcze przez rok będziemy mogli go produkować.

- Każ natychmiast wycofać lek z aptek!

- Nie widzę takiej potrzeby, Elżbieto. Ten lek jest bardzo skuteczny.

- Czy dużo osób ucierpiało po jego spożyciu?

- Ależ Elżbieto, “Benexan” pomógł tysiącom ludzi...

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- No, było kilka odosobnionych przypadków, ale...

- Apteki mają natychmiast zaprzestać jego sprzedaży!

Rhys zamilkł, próbując opanować wzburzenie.

- Czy wiesz, ile twoja pochopna decyzja będzie kosztowała korporację?

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć! - odparła stanowczo.

- Teraz przygotuj się na najgorsze. - Rhys nie dawał za wygraną. - Bankierzy chcą się z tobą spotkać jak najszybciej. Domagają się stanowczo zwrotu zaciągniętych przez nas pożyczek.

Elżbieta siedziała samotnie w biurze. Czuła się zagubiona i przygnębiona kłopotami, które zdawały się piętrzyć z dnia na dzień. Myślami znowu powróciła do dnia, gdy zdecydowała się zarządzać firmą. Może popełniła wtedy błąd?

Obróciła się na krześle i spojrzała zamyślona na portret Samuela. Z jego postawy była niezwykle pewność siebie. Wiedziała jednak, ile trosk i problemów przyniosło mu życie, mimo to wszystkie przezwycięzył.

Ona też musi odnieść sukces. Jest przecież jego wnuczką. Zauważyła, że portret przesunął się nieco na bok. Zapewne w wyniku wstrząsu, jaki wywołała spadająca winda.

Wstała, aby poprawić obraz. Kiedy go dotknęła, oderwał się od ściany i spadł z hukiem na podłogę. W samym środku ciemnego prostokąta tkwił umocowany do ściany mały mikrofon.

Była czwarta rano, a mimo to Emil Joeeppli nadal przebywał w laboratorium. Zamierzał ukończyć badania tak szybko, jak tylko było to możliwe. Choć Elżbieta Roffe nie ponaglała go, wiedział, jak bardzo zależy jej na “eliksirze młodości”. Pragnął też pomóc korporacji, której zarząd potrafił docenić jego zasługi. Mógł sam podejmować decyzje, a za swoją dobrą pracę otrzymywał królewskie honoraria.

Siedział wsparty o biurko i badał pod mikroskopem wyniki jednego z ostatnich eksperymentów. Okazały się lepsze, niż się spodziewał.

Był tak zajęty pracą, że nie czuł ani smrodu rozchodzącego się od klatek ze zwierzętami, ani tego, że w pomieszczeniu panowała duchota.

Drzwi laboratorium otworzyły się i stanął w nich strażnik pełniący służbę, Sepp Nolan.

Nolan nienawidził nocnej zmiany. Puste laboratorium napawało go grozą. Zwierzęcy odór dopełniał reszty. Zastanawiał się, czy dusze tych cierpiących zwierząt nie powracają tu, aby straszyć swoich prześladowców.

“Wszyscy poszli już do domu prócz tego cholernego maniaka, Joeeppli” - pomyślał.

- Jeszcze pan zostaje? - zapytał.

. Krwawa linia

- Słucham? - powiedział naukowiec, odzyskując poczucie rzeczywistości.

- Idę do stołówki coś przekąsić. Przynieść panu kanapkę?

- Dziękuję, ale chętnie napiję się kawy - odparł Joeeppli i ponownie skupił uwagę na rozmazie, który właśnie badał.

- Zamknę za sobą drzwi na klucz, proszę pana, ale proszę się nie niepokoić, zaraz wrócę.

Dziesięć minut później drzwi do laboratorium znowu się otworzyły i do środka wszedł mężczyzna, którego Joeeppli dobrze znał.

- Pracujesz do późna, Emilu?

- Tak, proszę pana - odpowiedział Joeeppli, wstając z miejsca. Był zaskoczony tymi odwiedzinami.

- Jak tam postępują prace nad “eliksirem młodości”? Nieźle, co?

Emil zawahał się. Elżbieta Roffe nakazała mu przecież zachować tajemnicę. Jednak sądził, że dla tego mężczyzny może zrobić wyjątek. Dzięki niemu przecież otrzymał pracę w korporacji.

- Tak, proszę pana. Lada dzień będą gotowe wszystkie wyniki. Są zdumiewające.

- Wiem, wiem - odparł mężczyzna i zbliżył się do jednej z klatek. Kiedy się odwrócił, stracił niechcący talerzyk.

- Ja to podniosę, proszę pana - Joepli obszedł biurko i pochylił się, sięgając po talerzyk.

W tym momencie poczuł silne uderzenie w głowę i stracił przytomność.

Elżbietę obudził telefon. Usiadła i przecierając oczy spojrzała na zegar. Była piąta rano. W słuchawce usłyszała histeryczny krzyk strażnika.

- Panno Roffe, przepraszam, że budzę panią o tak wczesnej porze, ale w jednym z naszych laboratoriów miała miejsce eksplozja!

Ta wiadomość podziałała na Elżbietę paraliżująco.

- Czy ktoś jest ranny?

- Tak, proszę pani. Jeden z naukowców spłonął żywcem.

Detektyw Max Hornung siedział pogrążony w myślach. Jego umysł doskonale odizolowany od hałasu pracujących maszyn do pisania, dzwoniących telefonów i głośnych rozmów, pracował niczym któryś z ostatniej generacji komputerów IBM. Jego szare komórki rozgryzały właśnie problem kilku przykazań, które stary Samuel, założyciel "Roffe & Sons", pozostawił swoim potomkom. Pierwsze z nich dotyczyło członka rodziny sprawującego absolutną władzę w firmie. Drugie nie dopuszczało do rządów obcych. Ostatnie wydarzenia dowiodły, że ściśle ich przestrzeganie mogło być zabójcze.

Przypominało mu to do złudzenia inne wydarzenie sprzed lat. Otóż w 1695 roku włoski bankier Lorenzo Tonti wymyślił rentę dożywotnią; wszyscy członkowie jego rodziny otrzymywali dożywotnie pensje. W przypadku śmierci pensja miała być dzielona pomiędzy żyjącą rodzinę. Taka sytuacja była doskonałą zachętą do morderstwa.

Podobnie rzecz się miała w przypadku "Roffe & Sons". Członkowie rodziny dziedziczą akcje warte miliony dolarów, lecz nie mogą nimi dysponować bez zgody prezesa. Sam Roffe nie wyraził takiej zgody i stracił życie. Jego córka postąpiła podobnie i już dwa razy o włos uniknęła najgorszego. Detektyw Hornung nie wierzył w nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Postanowił swoimi wnioskami podzielić się z nadinspektorem Schmiedem.

Schmied przez kilka minut słuchał cierpliwie wyjaśnień Hornunga w sprawie śmierci Sama Roffe'a. W końcu jednak nie wytrzymał i powiedział:

- To, że jakiś przewodnik górski zniknął bez śladu, nie oznacza zaraz, że zostało popełnione morderstwo, detektywie Hornung. Nawet dobra wróżka nie uwierzy w pana bajkę.

- Korporacja ma poważne kłopoty. Zabicie Sama Roffe'a mogło położyć im kres. - Detektyw upierał się przy swoim.

Schmied przyjrzał się uważnie Hornungowi.

"Ta kreatura nie zajdzie daleko tym tropem - pomyślał. - Ale gdybym tak zlecił mu przeprowadzenie śledztwa, miałbym go przez jakiś czas z głowy. Może też przy okazji swoim nierozważnym postępowaniem narazi się tej potężnej rodzinie i w ten oto sposób nieuchronnie wyląduje na zielonej trawce".

Nadinspektor Schmied postanowił zaryzykować.

- Hornung, nakazuję ci przeprowadzenie śledztwa w tej sprawie - oznajmił zaskoczonemu detektywowi. - I niech się pan śpieszy.

- Dziękuję, panie nadinspektorze - odparł, preżąc się jak harcerz na porannym apelu.



Kilka minut później, gdy Hornung, promieniejąc ze szczęścia, szedł długim korytarzem, prowadzącym do wyjścia z komisariatu, zaczepił go koroner, mówiąc:

- Hornung, jesteś mi potrzebny.

- Do czego, proszę pana?

- Patrol rzeczny wyłowił przed chwilą z rzeki ciało dziewczyny. Mógłbyś rzucić na nią okiem?

Max przełknął głośno ślinę. Nie lubił oglądać nieboszczyków. Nie miał jednak wyboru.

W kostnicy panował przenikliwy chłód. Ciało leżało w potężnej metalowej szufladzie. Dziewczyna miała nie więcej niż dwadzieścia lat. Pozlepiane włosy zakrywały opuchniętą twarz. Zresztą cała była opuchnięta od długiego leżenia w wodzie. Na szyi miała czerwoną kokardkę i była naga.

- Przed śmiercią odbyła stosunek płciowy, po którym uduszono ją i wrzucono do rzeki - powiedział koroner i dodał jeszcze: - W płucach nie ma wody. Nie możemy też zdjąć odcisków palców. Czy widziałeś ją przedtem?

Hornung popatrzył obojętnie na twarz dziewczyny i powiedział:

- Przykro mi, ale widzę ją po raz pierwszy.

Po wylądowaniu w Costa Smeralda na Sardynii Hornung wynajął najtańszy wóz, fiata 500, i pojechał do Olbi.

Po godzinie żółtwej jazdy dotarł do budynku z napisem: "Questura di Sassari Commissariato di Polizia Olbia". Kwadrans później siedział w biurze szefa policji Luigiego Ferraro.

- Czy mogę prosić o pana legitymację służbową? - poprosił Ferraro.

- Oczywiście - Hornung wyjął dokument i podał go szefowi policji.

Ferraro obejrzał dokładnie legitymację i zwrócił ją właścicielowi. "W Szwajcarii z pewnością bardzo źle płacą policji - pomyślał - skoro mają takich nędznych oficerów śledczych".

- Czym mogę panu służyć? - zapytał.

Max rozpoczął wyjaśnianie w języku włoskim. Był przekonany, że mówi płynnie, i dlatego zdziwił się, gdy szef policji uniósł do góry rękę i krzyknął:

- Basta!

Następnie zapytał, czy Max zna angielski.

- Oczywiście, panie Ferraro - odparł Max.

Szef policji odetchnął z ulgą i poprosił Hornunga, aby mu wyjaśnił cel swojej wizyty.

Gdy Max wyraził pogląd, że ktoś próbował przy pomocy jeepa sfingować wypadek, Ferraro obruszył się i powiedział:

- Traci pan tylko czas, signore. Moi mechanicy dokładnie przejeżdżali samochód i nie znaleźli nic podejrzanego. Wszyscy, którzy widzieli jeepa, zgodnie twierdzą, że był to zwykły wypadek, a nie próba morderstwa.

- Chętnie obejrzałbym tego jeepa.

- Nie widzę przeszkód - odparł Ferraro. - Stoi wystawiony na sprzedaż na dziedzińcu jednego z warsztatów. Przydzielę panu któregoś z moich ludzi, aby wskazał panu drogę. Czy chciałby pan też obejrzeć miejsce wypadku?

- Nie... nie muszę.

- Rozumiem.

- To był zwykły wypadek - oświadczył na wstępie detektyw Bruno Campagna. - Wszystko dokładnie sprawdziliśmy.

Jeep, tak jak mówił Ferraro, stał na dziedzińcu małego warsztatu. Miał wgnieciony przód, a na zderzaku znajdowały się resztki zielonej kory.

- Jeszcze nie miałem czasu zabrać się do tego grata - powiedział mechanik, który czekał na nich przy wejściu.

Max obszedł jeepa, pokiwał głową i zapytał:

- W jaki sposób niedoszły zabójca uszkodził hamulce?

- Gesu! Pan też!?! - zawołał poirytowany mechanik. - Dokładnie przejrzałem hamulce w tym samochodzie, signore. Jestem mechanikiem od dwudziestu pięciu lat i może mi pan wierzyć, że ostatni raz dotykano hamulców tego jeepa w fabryce, przy montażu.

- Ktoś jednak je popsuł.

- W jaki sposób?

- Tego jeszcze nie wiem, ale postaram się dowiedzieć - poklepał mechanik po plecach i wyszedł z warsztatu.

Później podziękował Campagnie za towarzystwo i wyruszył samotnie na długi spacer.

- To wszystko zdarzyło się tak nagle, panno Roffe - powiedział szef ochrony. - Zanim zdołaliśmy uruchomić sprzęt gaśniczy, laboratorium doszczętnie spłonęło.

Po kilkunastu godzinach wydobyto zwęglone ciało naukowca. Nie było najmniejszych szans na znalezienie choćby receptury preparatu, nad którym pracował Joepli.

- Laboratorium miało być pilnie strzeżone przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, prawda?!

- Tak, panno Roffe, ale...

- Jak długo jest pan szefem straży?

- Pięć lat.

- Jest pan zwolniony! Ilu strażników pracuje w ochronie kompleksu naukowego?

- Sześćdziesięciu pięciu, proszę pani.

- Sześćdziesięciu pięciu strażników nie potrafiło upilnować Emila Joepli?!

- Ależ oni... - Mężczyzna próbował protestować.

- Nie chcę ani pana, ani ich więcej tu widzieć!

Przez cały następny dzień Elżbieta próbowała wymazać z pamięci obraz zwęglonych szczątków naukowca i popalonych zwierząt w klatkach. Woląca też nie myśleć, jak wielką stratę poniosła korporacja, nie mogąc produkować cudownego leku. Kto wie, może się okazać, że ktoś skradł recepturę i przekazał ją konkurencji. Najgorsze w tym wszystkim było to, że zrobił to ktoś z najbliższej rodziny, ta sama osoba, która zabiła jej ojca i także ją próbowała pozbawić życia. Postanowiła, że nad jej bezpieczeństwem będą czuwać pracownicy ochrony spoza korporacji.

Elżbieta co kilka godzin dzwoniła do szpitala w Brukseli, pytając o stan zdrowia pani Van den Logh, żony belgijskiego ministra.

Odpowiadano jej niezmiennie, że nadal znajduje się w stanie śpiączki i jej stan jest krytyczny.

Rhys podszedł do Elżbiety i przyjrzał jej się badawczo. Miała zaczerwienione i opuchnięte oczy. Była blada i roztrzęsiona.

Czuł, że nie jest w stanie znieść obecnego stresu.

- Chcesz, abym ci w czymś pomógł? "Żebyś wiedział - pomyślała - jak bardzo cię potrzebuję w tej chwili".

- Czy dowiedziałaś się czegoś nowego o stanie zdrowia madame Van den Logh?

- Nie. - Elżbieta pokręciła przecząco głową.

- Czy ktoś dzwonił w sprawie artykułu zamieszczonego w "Wall Street Journal"?

- Jakiego artykułu?

Rhys odsunął szufladę biurka i wyjął z niej gazetę.

- Proszę, przeczytaj.

Autor zamieścił tu całą listę problemów, z jakimi boryka się od kilku lat korporacja.

Najgorszy był jednak nagłówek, którym opatrzony był artykuł: “»Roffe & Sons« potrzebuje szybko doświadczonego prezesa!”

Elżbieta odłożyła gazetę.

- Sądzisz, Rhys, że ta bazgranina może nam zaszkodzić?

- Lepiej nie pytaj. Od momentu ukazania się artykułu straciliśmy kilku poważnych kontrahentów.

- Panno Roffe - w drzwiach ukazała się głowa Henrietty - dzwoni pan Julius Badrutt.

Mówi, że to pilne.

Elżbieta zawahała się i spojrzała na Rhysa.

Williams pokiwał głową i spuścił wzrok.

- Przełącz go, Henrietto, na drugą linię.

- Tak, proszę pani.

Po chwili Elżbieta uniosła słuchawkę i usłyszała głos Badrutta.

- Chciałbym jak najszybciej porozmawiać z panią. Czy dzisiaj o szesnastej byłoby to możliwe?

- Tak, panie Badrutt - odpowiedziała, wstrzymując oddech.

- Przykro mi z powodu śmierci pana Joepli. Pokładaliśmy w jego badaniach duże nadzieje.

- Dziękuję. Do widzenia - powiedziała Elżbieta i odwiesiła słuchawkę.

Ciekawe, skąd Badrutt wiedział o śmierci Emila Joepli? Przecież żadna z gazet o tym nie pisała.

Rhys nie spuszczał z niej oczu.

- Coś mi się wydaje, że rekiny poczuły krew - powiedział, zaciskając pięści.

Pierwszy z rodziny zadzwonił Alec.

- Czytałaś ten artykuł w porannej prasie, Elżbieto?

- Czytałam i uważam, że “Wall Street Journal” przesadza.

Nastąpiła krótka pauza i Elżbieta znów usłyszała podniecony głos Aleca.

- Miałem na myśli “Financial Times”. Zamieścili artykuł szkalujący naszą korporację. Od rana urywają się telefony. Co zamierzasz zrobić w tej sytuacji?

- Jeszcze nie wiem, ale zadzwonię do ciebie na pewno, jak coś postanowię.

- Carissima! - Głos Ivo poznałaby na końcu świata. Nawet w słuchawce telefonu brzmiał melodyjnie. - Przygotuj się na szok.

- Słucham, Ivo.

- Kilka dni temu aresztowano włoskiego ministra za branie łapówek.

Elżbieta poczuła znajomy ucisk w żołądku.

- Mów dalej.

- Nie zrozum mnie źle, carissima. To nie był nasz błąd. Po prostu pan minister stał się zachłanny i nieostrożny. Złapali go na lotnisku, kiedy próbował wywieźć pieniądze z Włoch.

- Po co dawaliśmy mu łapówki? - zapytała zdziwiona.

- Żeby móc robić interesy we Włoszech. Takie są tu zwyczaje, carissima. Nikt nie wini tego ministra za to, że brał łapówki, lecz za to, że dał się złapać.

Elżbieta milczała. Ból głowy nie dawał jej spokoju.

- Jesteś tam, carissima?

- Tak, słucham.

- Uważam, że powinnaś zlecić tę sprawę któremuś z lepszych adwokatów. Nie obawiaj się. Tylko biedni idą do więzienia we Włoszech.

Charles zadzwonił z Paryża. Mówił z troską w głosie.

- O "Roffe & Sons" piszą na pierwszych stronach gazet. Sprzedajmy nasze udziały, póki są jeszcze coś warte. Nasi klienci zaczynają tracić do nas zaufanie, a bez nich nie możemy przecież istnieć.

Elżbieta myślała o nie milknących telefonach ze złymi wiadomościami i prasie pełnej szkalujących firmę artykułów.

To wszystko działo się zbyt szybko. Ktoś maczał w tym palce. Będzie musiała jak najszybciej dowiedzieć się, kto.

Nazwisko Maria Martinelli nadal widniało w notesie Elżbiety. Pamięta, że była atrakcyjną brunetką. Były najlepszymi koleżankami w szkole w Szwajcarii.

Pisywały do siebie od czasu do czasu. Właśnie z jej listu dowiedziała się, że Maria zaręczyła się z włoskim wydawcą w Mediolanie.

- Nadal, kochanie, jesteś zaręczona z tym wydawcą?

- Oczywiście. Gdy tylko mój były mąż da mi rozwód, wyjdę za Tony'ego.

- Czy mogłabyś mi pomóc, Mario?

- Dobrze wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko.

Nie upłynęła nawet godzina, gdy Maria oddzwoniła i oznajmiła Elżbiecie podnieconym głosem:

- Mam informację, o którą prosiłaś. Minister, którego przyłapano na szmuglowaniu pieniędzy przez granicę, wpadł w zasadzkę. Tony mówił, że ktoś dał cynk celnikom.

- Czy zna nazwisko tego, kto to zrobił?

- Tak, Elżbieto. Był to niejaki Ivo Palazzi.

Detektyw Max Hornung dokonał niezwykłego odkrycia. Otóż eksplozja w kompleksie badawczym "Roffe & Sons" została zaplanowana. Zastosowano materiał wybuchowy o wdzięcznej nazwie "Rylar X", którego używa wyłącznie wojsko. Żadna z osób cywilnych nie ma do niego dostępu. Najbardziej jednak intrygowało Maxa to, że "Rylar X" produkuje jedna z fabryk "Roffe & Sons", mieszcząca się na przedmieściach Paryża.

Dokładnie o czwartej po południu Julius Badrutt zjawił się w gabinecie Elżbiety i bez ogródek oświadczył jej, że zrywa dotychczasową umowę o zwłocę w spłatach kredytów.

- Pani rozumie - rozłożył ręce. - Nasi akcjonariusze stają się niecierpliwi. Dlatego nasz zarząd prosi o natychmiastowy zwrot zaciągniętych pożyczek.

- Daliście mi przecież trzy miesiące.

- To prawda, ale sytuacja pani firmy dramatycznie się pogorszyła. Skądinąd wiem, że inne banki również zamierzają na panią naciskać.

- Jeżeli banki mi nie pomogą, "Roffe & Sons" przestanie być firmą prywatną.

- Przykro mi, ale takie są realia.

- Przecież korporacja nadal jest silna i ma rozległe wpływy.

- To prawda - Badrutt pokiwał głową z aprobatą.

- Dlaczego więc pan i inni bankierzy nie chcecie dać mi więcej czasu?

Badrutt popatrzył przez chwilę na Elżbietę, a następnie wolno cedząc słowa, odpowiedział:

- Uważamy, że z kłopotami, z jakimi boryka się pani korporacja, można się uporać. Tylko że... - zawahał się.

- Tylko że ja nie potrafię?

- Obawiam się, że tak, droga pani. - Badrutt wstał z miejsca i ruszył w stronę wyjścia.

- A gdyby tak ktoś zajął moje miejsce?

- Rozważaliśmy taką możliwość. Niestety, żaden z członków pani rodziny nie jest dostatecznie kompetentny, aby prawidłowo zarządzać tak wielką korporacją.

- A co pan powie na kandydaturę Rhysa Williamsa?

Sierżant policji rzecznej Thomas Hiller nie darzył tego dnia bliźnich biblijną miłością. Był zaspany, głodny, wściekły i przemoknięty do suchej nitki.

Był śpiący, bo jego narzeczona Flo nie dawała mu spokoju przez całą noc. Kiszki grały mu marsza, bo kiedy zabierał się do śniadania, Flo zapragnęła po raz kolejny przeżyć chwile rozkoszy. Był wściekły, bo musiał skończyć w połowie... i pędzić do samochodu.

Płynął wraz z innymi policyjną barką, a woda lała mu się za kołnierz. W takie dni jak ten traciło się wszelką ochotę do życia.

Policja rzeczna, w której służył Hiller, patrolowała Tamizę na przestrzeni około pięćdziesięciu mil od Dartford Creek do Staines Bridge.

Sierżant spojrział na zegarek. Do końca służby pozostała niecała godzina.

Po chwili barka zawróciła przy Staines Bridge i zaczęła płynąć w kierunku Waterloo Pier.

Zastanawiał się, co uczyni po powrocie do domu: najpierw naje się do syta, czy pójdzie spać, a może przedtem pobaraszkuje z Flo? Nie mógł się zdecydować, wszystkie możliwości wydawały się być równie kuszące.

Nagle jego rozmyślania przerwało wołanie policjanta stojącego na dziobie.

- Panie sierzancie, coś płynie, jakieś dwadzieścia stopni od sterówki! Wygląda na dużą rybę!

Łódź nagle zwolniła i zaczęła zbaczać z obranego kursu.

- Gdzie jest ta twoja ryba? - zapytał Hiller, wychylając się za burtę.

- Teraz nie widać. Woda ją przykryła. Hiller zawahał się. Miał szczerą ochotę zignorować alarm policjanta.

- Czy to było duże?

- Ogromne, panie sierzancie! - Policjant rozłożył szeroko ramiona.

- Każ skierować barkę w tamtą stronę.

Po chwili tuż przy burcie wynurzyło się ciało jasnowłosej dziewczyny. Była naga. Na jej szyi widniała brudna od szlamu czerwona kokardka.



W czasie, gdy sierżant Hiller i jego ludzie zajęci byli wyławianiem ciała dziewczyny z Tamizy, dziesięć mil dalej, po drugiej stronie Londynu, detektyw Max Hornung wchodził do imponujących rozmiarów budynku Scotland Yardu. Po chwili zbliżył się do siedzącego na dyżurze policjanta.

- Czym mogę panu służyć?
- Jestem umówiony z inspektorem Davidsonem.

Ze wszystkich języków, którymi Max w swoim przekonaniu biegle władał, najbardziej dumny był z angielskiego. Potrafił przy pomocy tego praktycznego języka nawiązać kontakt z każdym mieszkańcem kuli ziemskiej.

- Nazwisko, sir?
- Inspektor Davidson - oznajmił Hornung zaskoczonemu policjantowi.
- Pan nazywa się inspektor Davidson?
- Nie, ja nazywam się Max Hornung. Inspektor Davidson to pana przełożony, z którym jestem umówiony.

- Następnym razem proszę się postarać o dobrego tłumacza. - Policjant pokręcił głową z politowaniem.

Pięć minut później Max siedział w gabinecie inspektora Davidsona. Inspektor, jak z radością zauważył Hornung, był typowym Anglikiem. Miał rumiane policzki i nierówne żółte zęby.

- Przez telefon mówił pan, że zbiera informacje na temat niejakiego sir Nicholasa, podejrzanego o zabójstwo.

- Nie tylko on jest podejrzany, panie inspektorze.
- Nie rozumiem - Davidson przyjrzał się bacznie Hornungowi.
- Nic wielkiego, sir, tylko głośno pomyślałem.
- Rozumiem. - Inspektor pokiwał głową. - Powiem panu, co zamierzam zrobić. Najpierw skontaktuję pana z C-4, gdzie przechowywane są kartoteki wszystkich zbrodniarzy. Jeżeli tam nie znajdzie pan swojego gagatka, skierujemy pana do C-11 i C-13. Już oni postarają się, aby go pan przyszpilił.

Max Hornung doskonale wiedział, że w żadnej kartotece w tym budynku nie widniało nazwisko Nicholasa. Istniało jednak takie miejsce, gdzie z pewnością uzyska informacje, na których mu zależy.

Komputery... to była domena Maxa. Potrafił godzinami przesiadywać przed klawiaturą komputera i wygrywać na niej najśłodszą dla uszu muzykę, zapisaną w kolumnach danych.

Rozmawiał z nimi wszystkimi wynalezionymi przez geniuszy językami: fortran, fortran IV, IBM 370s, PDP 10s oraz ALGOL 68 i wiele innych. Komputery pochłaniały miliony bitów informacji i odpowiednio zaprogramowane wypluwały je z szybkością światła. Nic nie było dla nich święte. Prywatność, intymność we współczesnym, wysoko rozwiniętym społeczeństwie była tylko iluzją. Niezliczone ilości dyskietek zawierały dane o każdym z osobna. Wystarczyło nacisnąć odpowiedni klawisz, aby dowiedzieć się, jaki numer legitymacji służbowej ma pan Brown, w którym roku dostał prawo jazdy, w którym banku ma konto, czy płaci regularnie podatki, czy był w szpitalu, służył w wojsku, ma broń, składał podanie o paszport, gdzie się urodził i w jakich okolicznościach zmarł. Współpraca Maxa z komputerem przypominała przyjacielską pogawędkę.

- Poplotkujemy sobie na temat sir Aleca Nicholasa - zaproponował Max potężnemu IBM, głaszcząc go pieszczotliwie po klawiszach.

W ciągu dwóch godzin pracowita maszyna podała Hornungowi cały życiorys Nicholasa niemal godzina po godzinie, kopie czeków bankowych i kart kredytowych. Uwagę Hornunga przyciągnęły rachunki opiewające na ogromne sumy wystawione na okaziciela. Gdzie podziały się te pieniądze?

Max znowu przebiegł palcami po klawiaturze. "Czek do klubu »White«, rachunek za mięso... - nie zapłacony, rachunek za strój wieczorowy... - nie zapłacony, rachunek za dentystę... nie zapłacony, cztery sukienki z salonu Yves Saint Laurenta i Rive Gouche'a... - umieszczone w karcie kredytowej".

Komputer w ministerstwie łączności powiedział Hornungowi w sekrecie, że Nichols jest właścicielem dwóch samochodów: bentleya i morrisa.

"Czegoś mi tu brakuje - myślał Max. - Czyżby wozy nigdy się nie psuły?" Brakowało bowiem rachunków od mechanika. Jedno przyciśnięcie klawisza i na monitorze błyskawicznie pojawiła się odpowiedź: Nichols nie potrzebował mechanika. Sam naprawiał swoje limuzyny.

Znał się na silnikach jak mało kto. Mógł więc z łatwością uszkodzić jeepa albo mechanizm windy. Co do jednego Max był pewny: rachunki sir Aleca opiewały na kwoty o wiele większe niż pensje, które otrzymywał z korporacji.

Dwa dni później Max dowiedział się od przyjaciela, wysokiej rangi urzędnika, że Nichols pożyczał pieniądze od niejakiego Toda Michaela, właściciela klubu w Soho. Poprosił więc o pomoc komputery policyjne.

"Tak, mamy tego gagatka u siebie" - odpowiedziały mu. Postawiono mu wiele zarzutów, jednak nigdy nie został skazany. Podejrzewano, że trudni się handlem narkotykami, stręczycielstwem, udzielaniem pożyczek na wysoki procent oraz szantażowaniem.

W Soho kolejny znajomy poinformował Hornunga, że żona Nicholasa uwielbia hazard. Nichols bez wątplenia był szantażowany. Miał wiele nie zapłaconych rachunków i na gwałt potrzebował pieniędzy. Co gorsza, w zasięgu ręki miał miliony dolarów, którymi nie mógł dysponować. Już samo to wystarczyło za stuprocentowy motyw zbrodni.

Następną ofiarą Maxa był Rhys Williams. Informacje o nim okazały się jednak zbyt powierzchowne.

“Urodzony w Walii przed trzydziestoma pięcioma laty, kawaler. Pracuje w zarządzie »Roffe & Sons«. Zarabia osiemdziesiąt tysięcy dolarów rocznie plus wysokie premie. Jedno z kont w banku angielskim opiewa na kwotę dwudziestu pięciu tysięcy funtów i kilka rachunków kredytowych na drobne sumy. Większość rachunków pochodzi ze sklepów jubilerskich, gdzie kupował upominki dla kobiet. Nie karany. Pracuje w korporacji farmaceutycznej od dziewięciu lat”.

Czysty jak łąza... za czysty.

Max przypomniał sobie dziwne zachowanie Williamsa, kiedy po pogrzebie Kate Erling przesłuchiwał w jego obecności Elżbietę. Zdawało mu się wtedy, że kogoś próbował osłonić. Ciekawe, czy Elżbietę Roffe, czy siebie?

Jeszcze tego samego dnia Max znalazł się na pokładzie samolotu lecącego do Rzymu.

O Ivo Palazzim pogawędził sobie Max z komputerem w budynku Anagrafe. W ciągu dwudziestu minut dowiedział się o podwójnym życiu Ivo i jego dwóch, obcych sobie rodzinach. Był to największy sekret, który Palazzi skrywał nawet przed najlepszymi przyjaciółmi.

“...rachunek za zakupy u Amiciego... rachunek za usługi w salonie piękności Sergia, mieszczącym się w Via Godotti... dwie wieczorowe suknie od Irene Galitzine... buty od Gucciego... torebka od Cerrutiego...”

Max skrupulatnie analizował każdą pojawiającą się na zielonym ekranie kolumnienkę cyfr.

- Coś mi tu nie pasuje - szepnął pod nosem. - Rachunki za ubrania dla sześciorga dzieci?!

- “Sądziysz, Hornung, że popełniliśmy błąd?” - zapytały komputery.

- Zaraz, zaraz. - Max podrapał się w głowę. Przed chwilą dowiedziałem się, że Palazzi jest ojcem trojga dzieci. Teraz okazało się, że rachunki za ubrania wystawiono na sześcioro dzieci.

- “Zgadza się” - odpowiedziały komputery.

- Poinformowaliście mnie, że mieszka w Oligati. Płaci jednak rachunki za apartament w Via Montemignaio.

- “Tak”.

- Istnieje więc dwóch Palazzich?

- “Jest tylko jeden Ivo Palazzi. Ma jednak dwie rodziny; trzy córki z własną żoną i trzech synów z niejaką Donatella Spolini”.

Kiedy Max zakończył swoje dochodzenie, wiedział dokładnie, jak wyglądają obie kobiety, a nawet co jadają i jak się ubierają.

Ciekawie przedstawiały się też rachunki pana Palazziego. Opiewały co prawda na małe kwoty, ale kupowano za nie ciekawe materiały: obrabiarkę, heble i piły. Ivo uwielbiał majsterkować. Wiedział więc jak mało kto, w jaki sposób można zepsuć windę. Poza tym w ostatnim czasie poprosił jeden z banków o wysoką pożyczkę.

- Dostał ją?

- “Nie. Gdy poproszono go o zgodę żony, wycofał podanie.

- Dziękuję.

Komputer policyjny w EUR poinformował też Maxa, że Palazzi mając dwadzieścia trzy lata potrafił motorem kobietę. Zabrano ją do szpitala, a Ivo do więzienia na długie dwa miesiące.

- Coś jeszcze?

- “Utrzymuje kochankę w Via Montemignaio”

- Dziękuję, wiem.

- "Sąsiedzi kilkakrotnie wnosili na nią skargę"

- Z jakiego powodu?

- "Zakłócała spokój, krzyczała. Pewnego wieczoru stłukła cały serwis obiadowy Czy to ważne?"

- Bardzo ważne, przyjacielu. Dziękuję.

Zarówno Ivo Palazzi, jak i jego kochanka, Donatella Spolini, mieli temperament i byli wybuchowi.

"Ciekawe, co zaszło tamtej nocy? - pytał siebie Max w myślach. - Może próbowała go szantażować? Chciała pewnie pieniędzy za milczenie, bo Palazzi następnego dnia pobiegł do banku prosić o pożyczkę. Ciekawe, do czego był zdolny taki człowiek jak Ivo, aby ochronić własne małżeństwo, rodzinę czy status materialny?"

Mały szczegół przyciągnął uwagę detektywa. Była to duża suma pieniędzy, którą Ivo dostał od policji jako nagrodę za pomoc w ujawnieniu przemytu brudnych pieniędzy.

"Jeżeli Palazzi - konkludował - był zdolny do popełnienia równie niegodnego czynu (minister był przecież jego przyjacielem), to jaki mógłby być jego następny krok?"

Po interesującej rozmowie z komputerami w Angrafe Hornung wsiadł na pokład Air France i w porze obiadowej lądował już na lotnisku Charlesa de Gaulle'a.

Taksówka z paryskiego lotniska do katedry Notre Dame kosztuje równe siedemdziesiąt franków. Max wiedział jednak, że do pieniędzy, które wręczy taksówkarzowi za rachunek, będzie musiał dołożyć napiwek z własnej kieszeni. Wybrał więc przejażdżkę autobusem.

Na miejscu, niedaleko katedry, znajdował się mały, niedrogi hotelik. Max zamówił pokój i zasiadł przy telefonie. Wydzwaniał do znanych osobistości, prosząc je o współpracę, której, o dziwo, nie odmawiały. Nie grozili nawet dymisją za naruszenie ich prywatności. Czynie tak z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że Hornung, mimo iż wzbudzał kontrowersje, był niegdyś geniuszem w sprawach finansowych i przyjemnie było mu pomagać. Po drugie - bali się go. Ten śmieszny człowieczek doskonale znał ich słabostki i odmowa współpracy mogłaby ich wiele kosztować.

- Zapraszamy do naszego centrum komputerowego - odpowiadali. - Jak pan sobie życzy, wszystko zachowamy w największej tajemnicy.

Max odwiedził Inspecteurs des Finances, Credit Lyonnais, Assurance Nationale. Chwilę pogawędził z komputerem od podatków i paroma innymi w Rosnysous-Bois oraz Prefecture of Police na Ile de la Cite.

- Opowiedzcie mi o Helenie Roffe-Martel i Charlesie Martelu - poprosił Max.

- "Z miłą chęcią" - odpowiedziały.

"Charles i Helena Roffe-Martel mieszkają w rezydencji przy Rue Francois Premier 5, Vesinet. Pobrali się 24 maja 1970 w Kościele Maryjnym w Neuilly. Bezdzielni. Pokażne konto w Credit Lyonnais zapisane na Helenę Roffe-Martel".

- Proszę o listę wydatków.

- "Już się robi, Max".

"...rachunek z Librairie Marceau na książki... rachunek od dentysty za usunięcie korzenia... rachunki za szpitale na nazwisko Charles Martel... rachunek za badanie Martela..."

- Jaką lekarz postawił diagnozę?

- "Poczekaj, Max, muszę porozmawiać z innym komputerem... Już mam... rany i stłuczenia na udach i pośladkach".

- Czy składał wyjaśnienia? - dociekał Max.

- "Niestety, nie" - odparł komputer.

- Kontynuuj więc.

- "...rachunek za parę butów od Pineta... kapelusz u Rosę Yalais... foie gras z Fauchon... Carita beauty salon... przyjęcie na osiem osób w Maximie... męski garnitur od Sulka..."

- Zatrzymaj się - zakomenderował Max. - Coś mi się tu nie zgadza. Wszystkie rachunki są sygnowane przez Helenę Roffe. Interesujące. Towarzystwo o nazwie Belle Paix zakupiło znaczną ilość ziemi. Jednym z współwłaścicieli Belle Paix był Charles Dessain, który posiadał ten sam numer ubezpieczenia co Charles Martel. Ciekawe. Opowiedz mi o Belle Paix - poprosił.

- "...właścicielami są Renę Duchamps i Charles Dessain alias Charles Martel. Na zakupionej ziemi założyli winnicę wartą cztery miliony franków”.

- Skąd Charles wziął pieniądze na swój udział?

- “Z Credit Municipal”.

- Czy winnica przynosi znaczne dochody?

- “Nie... Zbankrutowała”.

Max nie potrzebował więcej informacji. To właśnie komputer zajmujący się ubezpieczeniami zdradził mu tajemnicę o konszachtach Charlesa z Pierre'em Richaudem. Pół godziny później Max wiedział o podrabianiu biżuterii i o tym, że prawdziwe klejnoty zamiast w sejfie Heleny znajdowały się w depozycie Credit Municipal, skąd Charles dostał potrzebne na udział w winiarni dwa miliony franków.

Aż tak bardzo zależało mu na pieniądzach? Ten facet jest zdolny do wszystkiego - ta myśl napawała Hornunga odrazą...

“Zaraz... zaraz, rachunek za buty do wspinaczki górskiej. Założę się, że ten facet tyle wie o alpinizmie, co ja. Mężczyzna tak bardzo zniewolony przez kobietę, że nie pozwalała mu nawet na otwarcie własnego konta, mógłby być zdolny do wszystkiego”.

- Podaj mi więcej szczegółów! - rozkazał.

- “Proszę, Max”.

“...buty do wspinaczki górskiej, rozmiar 36A”

“...a więc były przeznaczone dla kobiety. Helena Roffe... - pomyślał Hornung. - Czy to możliwe, aby...?”

Rue Armengaud była cichą paryską ulicą z rzędem piętrowych prywatnych rezydencji. Jedynie ta pod numerem dwudziestym szóstym wyróżniała się zdecydowanie wyglądem. Miała nowoczesną konstrukcję ze szkła i stali z kamienną podmurówką. Było to jedno z centrów Interpolu.

Detektyw Hornung rozmawiał właśnie z komputerem, znajdującym się w pokoju na parterze, gdy do środka wszedł jeden z urzędników i powiedział:

- Na górze wyświetlają ciekawy filmik. Ma pan ochotę obejrzeć?
- Sam nie wiem. A co to za film?
- Niech pan sam zobaczy.

W sali projekcyjnej siedziało kilkanaście osób: oficerowie Interpolu, detektywi i paru inspektorów z Surete. Naprzeciw nich, przy ekranie, stał René Almedin, sekretarz paryskiego Interpolu i mówił:

- ...od kilkunastu lat dochodzą nas wieści o kręceniu krótkich filmików pornograficznych, w których pod koniec ma miejsce brutalne morderstwo. Do tej pory były to jedynie pogłoski. Nie mieliśmy dowodów na istnienie takich filmów z tej prostej przyczyny, że nie pokazywano ich szerokiej publiczności. Były przeznaczone jedynie dla wąskiego grona bogatych obywateli, lubujących się w sadystycznych obrazach. - Almedin otarł pot z czoła i ostrożnie zdjął okulary. - Dwa dni temu - kontynuował - miał miejsce wypadek w Passy. Pod przejeżdżający samochód ciężarowy wpadł pieszy. Zmarł w drodze do szpitala. Dotąd nie udało nam się zidentyfikować tego mężczyzny. Znalaziono przy nim kasetę z filmem, który chciałbym teraz państwu pokazać. - Skinął głową i w sali zgasło światło.

Na ekranie ukazała się w zbliżeniu twarz osiemnastoletniej dziewczyny. Miała jasne włosy, a w ustach trzymała członka klęczącego obok niej łysego mężczyzny. Po chwili mężczyzna rozłożył dziewczynie kolana i wszedł w nią. Potem uniósł wysoko pośladki, aby kamera mogła zrobić kolejne zbliżenie. Hornung nigdy przedtem nie widział twarzy tej dziewczyny, ale zwrócił uwagę na czerwoną kokardkę, widniejącą na jej szyi. Gdzieś już ją widział...

Dziewczyna na ekranie zaczęła krzyczeć:

- Już! Już jest! Szybciej! Szybciej!

Nagle umilkła. Mężczyzna chwycił ją za szyję. Ścisnął coraz mocniej, póki wijące się w agonii ciało nie zastygło w bezruchu. Nastąpił kolejny najazd kamery na twarz dziewczyny i film się skończył.



“Ta kokardka... - powtórzył w myślach Hornung. - Podobną miała ta dziewczyna, którą wyłowiono z rzeki w Zurychu”.

Takie same znaleziono również na szyjach dziewcząt wyłowionych z rzek w Londynie, Rzymie, Hamburgu i Paryżu.

- Opisy wyłowionych z wody dziewcząt idealnie do siebie pasują - zauważył Almedin podczas rozmowy z Hornungiem. - Wszystkie mają blond włosy i są młode. Zamordowane zostały w trakcie stosunku płciowego. Były nagie i na szyjach miały czerwone kokardki. Mamy do czynienia z maniackalnym mordercą, który z zimną krwią przygotowuje każdą kolejną zbrodnię.

- Mamy szczęście - przerwał Almedinowi detektyw, który właśnie wszedł do biura. - Tę kasety, na której znajdował się film, wykonała mała firma z Brukseli. Cała partia była wadliwa, dlatego łatwo można było ją zidentyfikować. Mamy już listę klientów, którzy nabyli kasety.

- Czy mógłbym ją zobaczyć? - poprosił Hornung.

## Rozdział 43

Alec Nichols nie miał ochoty brać udziału w bankiecie. Zjawił się tam jedynie po to, aby dotrzymać towarzystwa Elżbiecie.

Bankiet odbywał się w Glasgow, którego Alec nienawdził.

Przez cały czas od momentu, gdy zjawili się w hotelu, był niespokojny i bolał go żołądek. Jakiś idiota przyrządził haggis, które właśnie on musiał spożyć.

- Nic ci nie jest, Alec?

- Nie, nic - poklepał Elżbietę po rękę i skrzywił się z bólu.

Na bankiecie wszyscy mieli wygłosić referaty. Kiedy przyszła kolej na Nicholasa, podszedł do niego kelner i szepnął:

- Telefon do pana, sir.

Alec wyszedł do recepcji. Podniósł słuchawkę zawieszoną na ścianie telefonu.

- Słucham?

- To nasza ostatnia rozmowa, Nichols. Przygotuj się na najgorsze - powiedział Swinton i rozłączył się.

Następnym przystankiem Maxa Hornunga był Berlin. Jego elektroniczni przyjaciele już czekali na niego. Max postanowił rozpocząć od dostojnego Nixdorfa.

- "Co mogę dla ciebie zrobić, przyjacielu?"
- Opowiedz mi o Waltherze Gassnerze.

Po kilku sekundach na zielonym ekranie ukazała się charakterystyka Gassnera zapisana matematycznymi symbolami. Hornung dowiedział się z nich, co Walther jada, jak chodzi ubrany, jakie pije gatunki win i o tym, że kiedyś był instruktorem narciarskim i bawidamkiem oraz że ożenił się z zamożną kobietą, znacznie od siebie starszą.

Hornunga zaciekał czek wystawiony dla doktora Heissena na dwieście marek. Na czeku widniał napis: "Za konsultację". "Jakiego rodzaju konsultację?" - zastanawiał się Max.

Zadzwoił do Dresdener Bank w Diisseldorfie, gdzie zrealizowano czek.

- Oczywiście znamy doktora Heissena - odpowiedziano mu. - Jest jednym z naszych najlepszych klientów.

- Jaka jest jego specjalność?
- Jest doktorem psychiatrii.

Max potrzebował pięć minut na podjęcie decyzji. Uniósł raz jeszcze słuchawkę i wykręcił numer gabinetu Heissena.

- Proszę zadzwonić później - powiedziała sekretarka. - Doktor jest teraz bardzo zajęty.
- To bardzo pilne - nalegał detektyw.

Po chwili usłyszał w słuchawce głos doktora. Heissen, nie kryjąc złości, poinformował go, że bez sądowego nakazu nie ma obowiązku udzielać informacji o swoich pacjentach, a już na pewno nie zrobi tego przez telefon, i rozłączył się.

Max wrócił do Nixdorfa.

- Co wiesz, przyjacielu, o doktorze Heissenie?

Po rozmowie z komputerem Hornung ponownie wykręcił numer gabinetu doktora.

- Przecież mówiłem już panu, że nie udzielam informacji o moich pacjentach! - krzyczał do słuchawki. - Proszę przyjechać z nakazem, wtedy porozmawiamy.

- Teraz niestety nie mogę przyjechać do Diisseldorfu. Jestem bardzo zajęty.
- Ja również, proszę pana. Czy to już wszystko?
- Niestety, nie. Mam przed sobą wykaz pana zarobków przez ostatnie pięć lat.
- I cóż z tego?

- Wynika z niego jasno, że ukrywa pan ponad dwadzieścia pięć procent dochodów. Jeżeli mi pan nie pomoże, przekażę moje wnioski do urzędu podatkowego w pana rodzinnym mieście. Poradzę im też, aby przejrżeli skrzynkę depozytową w Monachium lub konto bankowe w Basel.

Nastąpiła długa cisza. W pewnym momencie doktor odchrząknął i zapytał:

- Z kim mam przyjemność?

- Detektyw Max Hornung ze szwajcarskiej policji kryminalnej.

- I interesuje pana niejaki Walther Gassner?

- Tak.

- Otóż tak się złożyło, że pamiętam tego człowieka. Wtargnął któregoś dnia do mojego gabinetu nie zapowiedziany. Nie chciał podać mi swojego nazwiska. W końcu zgodziłem się z nim porozmawiać. Próbował mi wmówić, że prosi o pomoc dla swojego przyjaciela, który według niego jest schizofrenikiem i zamierza popełnić morderstwo. Pytał, czy mogę go wyleczyć, nie posyłając do szpitala dla umysłowo chorych. Od razu wiedziałem, że mówi o sobie. To klasyczne zachowanie ludzi, którzy boją się mówić o własnych problemach. Jak to się mówi: nie potrafią spojrzeć prawdzie w oczy.

- Co mu pan poradził?

- Powiedziałem, że przypadek jego przyjaciela nie należy do skomplikowanych i można go łatwo wyleczyć, podając odpowiednie leki. Pocieszyłem go, że nowoczesna medycyna doskonale radzi sobie z najbardziej nawet skomplikowanymi schorzeniami.

- I co się stało potem?

- Nic, zupełnie nic. Od tamtej pory nigdy już nie widziałem tego człowieka, choć bardzo chciałem mu pomóc. Był wyjątkowo zdesperowany. Przypominał mordercę, który na murze domu swojej ofiary napisał: "Powstrzymajcie mnie, zanim znowu kogoś zabiję!"

- Mówił pan, że nie podał swojego nazwiska, a mimo to wypisał panu czek i złożył na nim swój czytelny podpis.

- Przez roztargnienie zapewne. Nie miał przy sobie pieniędzy, więc wręczył mi czek. I stąd właśnie znam jego nazwisko.

Kiedy następnego dnia Max powrócił do Zurychu, znalazł na swoim biurku dalekopis z Interpolu, zawierający listę firm, które zakupiły kasety, było ich osiem. Na jednej z tych kaset nakrecono później wstrząsający film. Wśród kupców znajdowała się korporacja "Roffe & Sons".

Nadinspektor Schmied tym razem w skupieniu przysłuchiwał się relacji Hornunga z prowadzonego śledztwa. Nie było najmniejszych wątpliwości: ten śmieszny człowieczek natrafił na ślad czegoś naprawdę wielkiego.

- Zrobił to ktoś z tej piątki - Hornung wskazał na listę z nazwiskami i krótką charakterystyką członków rodziny Roffe. - Na razie nie wiem tylko kto. Wszyscy mieli motyw i więcej niż jedną okazję, aby popełnić zbrodnię. Brali udział w zebraniu zarządu w Zurychu w dniu, kiedy w windzie zginęła Kate Erling. Któryś z nich pojawił się też na Sardynii na krótko przed wypadkiem Elżbiety Roffe.

- Mówił pan o pięciu podejrzanych - dociekał Schmied. - Skoro wyklucza pan Elżbietę Roffe, w takim razie pozostaje czwórka...

- Nic z tego - pokręcił głową Hornung. - Jest jeszcze mężczyzna, który przebywał z Samem Roffe'em w Chamonix w dniu jego śmierci... Rhys Williams.

“Pani Elżbieta Williams...” W końcu to się stało. Spełniło się jej najskrytsze marzenie. Jeszcze nie tak dawno zapisywała całe strony zeszytów tymi trzema słowami: “Pani Elżbieta Williams... Pani Elżbieta Williams...”

Z dumą patrzyła na obrączkę na palcu.

- Jesteś zadowolona? - zapytał Rhys, widząc uśmiech na jej twarzy.

Lecieli ich luksusowym boeingiem 707-320 ponad dwadzieścia tysięcy metrów nad poziomem morza, gdzieś nad Atlantykiem. Jedli rosyjski kawior i popijali chłodzony dom perignon. Elżbieta poczuła tak wielki przyływ radości, że zaśmiała się głośno.

- Czy powiedziałem coś nie tak?

- Nie, Rhys - spojrzała na niego - po prostu jestem szczęśliwa.

Dałaby wiele, aby wytłumaczyć mu, ile to małżeństwo znaczyło dla niej. Zapewne patrzyłby na nią zdziwiony. Dla niego ich związek oznaczał jedynie zwykłą transakcję. Ona kochała go jednak i pragnęła spędzić z nim całe życie, urodzić mu dzieci i dbać o niego.

“Przedtem jednak - pomyślała, patrząc ukradkiem na Rhysa - muszę sprawić, aby i on mnie pokochał”.

Elżbieta zaproponowała Rhysowi tę transakcję małżeńską na drugi dzień po rozmowie z Juliusem Badruttem.

Ubrała się odświętnie i z bukietem białych róż wkroczyła do jego gabinetu.

- Rhys, czy ożenisz się ze mną? - zapytała od progu, a widząc zaskoczenie na jego twarzy szybko dodała: - Banki zgadzają się odłożyć spłatę naszych pożyczek pod warunkiem, że zostaniesz prezesem korporacji. - Zrobiła krótką pauzę. - To zwykła transakcja. Nadal będziesz wolny... to znaczy... - zaczerwieniła się - nie będziesz musiał ze mną sypiać. - Umilkła.

Czekała, aż on pomoże jej wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji. Rhys stał jednak milczący i ani na moment nie spuszczał z niej oczu.

- Rhys!

- No cóż - przełknął ślinę - zaskoczyłaś mnie. - Uśmiechnął się. - Nie co dzień oświadczają mi się piękna dziewczyna... Zgoda.

Elżbieta poczuła ogromną ulgę, jakby ktoś zdjął ciężar z jej pleców. Zyskała potrzebny czas na odkrycie, kim był człowiek próbujący zniszczyć korporację. Razem z Rhysem szybko uporają się z kłopotami nękającymi “Roffe & Sons”. Przedtem jednak Elżbieta oświadczyła Rhysowi:

- Ty będziesz prezesem korporacji, ale w moich rękach będzie znajdował się kontrolny pakiet akcji.

- Jeżeli mam zarządzać firmą...
- Daję ci zupełną swobodę.
- Ale bez pakietu kontrolnego...
- Muszę mieć pewność, że akcje nie zostaną sprzedane.
- Rozumiem.

Chciała mu powiedzieć, że już dawno podjęła decyzję o sprzedaży akcji. Była pewna, że Rhys z łatwością poradzi sobie z obcym kapitałem i obcymi ludźmi w radzie nadzorczej. Nie mogła jednak zdecydować się na ten krok, póki nie znajdzie zabójcy ojca.

- Kiedy ma się odbyć nasz ślub?
- Jak najszybciej.

Wszyscy, prócz Anny i Walthera, przybyli na ich ślub do Zurychu: Alec i Vivian, Helena i Charles oraz Ivo z Simonettą.

- Życzę ci wszystkiego najlepszego - powiedział Alec.
- Dziękuję.

Ivo złożył dłonie jak do modlitwy i powiedział:

- Carissima, tanti auguri e figli maschi. Marzeniem żebraka jest spotkać na swojej drodze bogacza. Największym pragnieniem królów jest miłość.

Elżbieta uśmiechnęła się i zapytała:

- Czyje to słowa?
- Moje. Mam nadzieję, że Rhys docenia, jakim jest szczęśliwcem.
- Lubisz nam sprawiać niespodzianki, ma cherie - szepnęła Helena, biorąc Elżbietę na stronę.
- Nie przypuszczałam, że macie się ku sobie.
- To stało się tak nagle.

Helena przyjrzała się jej badawczo.

- Nie wątpię.

Elżbieta patrzyła na ich roześmiane twarze i czuła ciarki przebiegające po ciele. Ktoś z tej sali jest jej śmiertelnym wrogiem. Spojrzała na Charlesa wznoszącego toast za jej zdrowie. Właśnie dzisiaj rano dostała wiadomość, że materiały wybuchowe, których użyto do wysadzenia laboratorium Joepli, zostały wyprodukowane w fabryce pod Paryżem. A może dobrotliwy Ivo? Nie zawahał się przecież wydać własnego przyjaciela w ręce policji za nędną nagrodę. Który z nich? Charles? Walther? A może Helena?

Następnego dnia zwołano posiedzenie rady nadzorczej i Rhys Williams został oficjalnie mianowany prezesem.

- Czy teraz będzie nam wolno sprzedać nasze udziały? - zapytał Charles zaraz po głosowaniu.

W sali konferencyjnej zapadła cisza. Wszyscy patrzyli w skupieniu na Rhysa.

- Przykro mi, panowie - Rhys rozłożył ręce - ale o losach korporacji nadal decyduje Elżbieta... O ile mi wiadomo, nie zgadza się na sprzedaż akcji.

Kiedy zostali sami, Rhys zaproponował:

- Może spędzilibyśmy miesiąc miodowy w Rio? Muszę zaraz tam lecieć. Jeden z naszych ludzi zamierza nas opuścić, a to oznaczałoby poważną stratę. Sama przyznasz, że gdybym jutro poleciał do Rio bez ciebie, wyglądałoby to dziwnie i moglibyśmy narazić się na złośliwe plotki.

- Masz rację, mój mężu - powiedziała Elżbieta i oboje wybuchnęli śmiechem.

Kiedy wysiedli na lotnisku w Galeao, Elżbietę zaskoczył upał i piękna słoneczna pogoda. Z trudem uświadomiła sobie, że w Rio jest lato.

Przed wyjściem czekał na nich mercedes 600. Za kierownicą siedział szczupły mężczyzna o ciemnej karnacji skóry i żywych, czarnych jak węgle oczach.

- Gdzie jest Luis? - zapytał Rhys, gdy siedzieli już w samochodzie.

- Zachorował, panie Williams. Poprosił mnie o zastępstwo.

- Przekaż Luisowi, żeby szybko wracał do zdrowia.

- Dobrze, proszę pana.

Kierowca uruchomił silnik i limuzyna wolno wtoczyła się na szeroką aleję, biegnącą wzdłuż plaży Copacabana. Po drodze mijali kolorowe domki letniskowe i wysokie palmy.

Elżbieta z przyjemnością wdychała orzeźwiające morskie powietrze. Zatrzymali się przed hotelem o pięknej nazwie: "Princessa Sugarloaf".

Kilka minut później znaleźli się w wielkim apartamencie z czterema sypialniami, salonem, kuchnią i tarasem, z którego rozciągał się widok na zatokę.

- Jestem przez całą dobę do państwa dyspozycji - oznajmił dyrektor hotelu i kłaniając się zamknął za sobą drzwi.

- Sam dyrektor pofatygował się, aby odprowadzić nas do apartamentu - zauważyła Elżbieta.

Rhys zaśmiał się głośno.

- Nie miał wyboru. Jesteś właścicielką tego hotelu.

- O... nie wiedziałam.

- Masz ochotę na małą przekąskę?

- Nie, dziękuję.

- A kieliszek szampana?



- Chętnie.

Elżbieta nie była pewna, jak ma się zachować, w jaki sposób rozmawiać z Rhyssem. Byli sami w apartamencie dla nowożeńców. Robiło się późno i niedługo powinni pójść do łóżka. Obserwowała, jak Rhys otwiera szampana.

“Nie było rzeczy, której ten mężczyzna nie potrafiłby wykonać - myślała. - Potrafił znaleźć się w każdej sytuacji. Jest uparty i stanowczy, jeżeli wie, że ma słuszość. A rzadko się myli”.

Podał kieliszek Elżbiecie i wznosił toast:

- Za dobre początki.

Elżbieta uśmiechnęła się, dodając w myślach:

“...i szczęśliwe zakończenie”.

Popijali w milczeniu szampana, gdy nagle zadzwonił telefon. Rhys podniósł słuchawkę i rozmawiał z kimś cicho. Po chwili odwrócił się do Elżbiety i powiedział:

- Robi się późno, Liz. Pora spać.

- Masz rację - odpowiedziała i poszła do sypialni, gdzie chłopcy hotelowi postawili walizki.

Znajdowało się tam ogromne łóżko. Pokojówka zdążyła rozpakować walizki i zmienić pościel. Po jednej stronie łóżka leżała koszula nocna Elżbiety, a po drugiej - obszerna męska piżama. Elżbieta zawahała się przez moment. Po chwili jednak szybko rozebrała się i weszła pod prysznic. Strugi ciepłej wody spływały w dół po jej ramionach, brzuchu i udach. Wydawało jej się, że dotykają jej czyjeś ciepłe palce. Starła się nie myśleć o Rhysie. Jednak obraz jego muskularnego ciała powracał uparcie. Zdawało się jej, że ją obejmuje i całuje namiętnie. Zastanawiała się, czy aby transakcja małżeńska, którą mu zaproponowała, nie była wymówką, aby być z nim blisko. Po chwili wyszła z kabiny. Pośpiesznie wytarła się i odsuwając na bok koszulę nocną, wślizgnęła się nago pod kołdrę.

Leżała i zastanawiała się, jaki Rhys jest w łóżku. Czy będzie kochał ją równie namiętnie jak inne kobiety. Czowała, że coraz mocniej bije jej serce.

- Wychodzę, Liz - usłyszała jego głos. Stał ubrany w drzwiach sypialni.

- Wychodzisz?

- Mam interes do załatwienia...

Świtało już, gdy usłyszała, jak wrócił. Zbliżył się do łóżka i popatrzył na nią przez chwilę. Widziała jego twarz spod przymkniętych powiek. Uśmiechnął się pod nosem i powędrował do sypialni obok. Kilka minut później zasnął kamiennym snem.

Następnego dnia rano pojechali na peryferie Rio do fabryki, którą zarządzał średniego wzrostu mężczyzna o nazwisku Tumas.

- Niech mnie pan zrozumie - mówił do Rhysa. - "Roffe & Sons" jest mi droższa niż najbliższa rodzina. Dałbym wiele, aby móc tu pozostać, ale - otarł pot z czoła - dostałem lepszą propozycję od innej korporacji. Pan rozumie. Mam na utrzymaniu żonę, dzieci i teściową...

- Rozumiem cię, Roberto. Wiem, ile znaczymy dla ciebie. Wiem też doskonale, że w tym kraju nie jest łatwo utrzymać rodzinę.

- Dziękuję. Wiedziałem, że mogę liczyć na pana wyrozumiałość.

- A co z naszym kontraktem, Roberto?

- A co ma być, panie Williams? - Tumas wzruszył ramionami. - Co wart jest zwykły kawałek papieru, jeżeli unieszczęśliwia człowieka?

- Dlatego złożyliśmy ci wizytę, aby cię na nowo uszczęśliwić.

- Dziękuję - westchnął Roberto. - Niestety, zgodziłem się już na przejście do innej fabryki.

- A czy wiesz, że czeka cię więzienie?

- Więzienie? - Tumas patrzył na Rhysa przerażony.

- Rząd Stanów Zjednoczonych nakazał wszystkim przedsiębiorstwom, mającym swoje filie za granicą, przekazanie listy osób, które dawały bądź przyjmowały łapówki w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Sam rozumiesz, Roberto, że w obecnej sytuacji nie zamierzamy cię dłużej chronić. A dobrze wiemy, ile grzechów masz na sumieniu.

- Ależ, panie Williams! - Tumas był błydy i drżały mu usta. - Robiłem to dla dobra korporacji!

- Powiesz to sędziemu podczas rozprawy. Rhys wstał i zwrócił się do Elżbiety.

- Czas na nas.

- Nie może mnie pan teraz opuścić - błagał Tumas. Ponownie otarł czoło i zapytał: - A jeśli zostanę w fabryce, czy będziecie mnie ochraniać?

- Masz moje słowo.

•

- Szantażowałaś go - powiedziała Elżbieta z wyrzutem, kiedy znaleźli się w samochodzie.

- Nie miałem wyboru. Tego człowieka chciała odebrać nam konkurencja. Za dużo wie. Na pewno by nas zdradził i ponieśliśmy dotkliwie straty. Sama rozumiesz, że w obecnej sytuacji...

"Jeszcze dużo czasu upłynie, zanim odkryję wszystkie tajemnice drzemiące w tym człowieku" - pomyślała Elżbieta.

Wieczorem Rhys zabrał Elżbietę do jednego z nocnych klubów. Usiedli przy stoliku, przy którym siedzieli jego przyjaciele.

Rhys przez dobrą godzinę zajęty był rozmową z jakąś uroczą Hiszpanką, zupełnie ignorując Elżbietę.

W pewnym momencie Elżbieta miała już tego dosyć. Przerwała im rozmowę, mówiąc do dziewczyny:

- Nie gniewaj się, kochanie, ale chciałabym zatańczyć z moim mężem.

Rhys spojrział na nią zaskoczony i zaraz dodał:

- Elżbieta ma racje. Zaniedbywałem ją przez cały wieczór. - Wziął ją delikatnie pod rękę i zaprowadził na parkiet.

- Gniewasz się na mnie? - zapytał, przytulając ją w tańcu.

- Tak, trochę. - Uśmiechnęła się.

W głębi serca była zła na siebie. Przecież sama ustaliła pewne reguły, a teraz miała mu za złe, że nie chciał ich złamać.

- Przepraszam, Liz, za tych ludzi, ale prowadzimy z nimi interesy. Dobre stosunki z nimi mogą okazać się pomocne.

Elżbieta wyczuwała jakimś szóstym zmysłem, że nie jest mu obojętna. Obejmował ją wpół i przytulał do siebie w tańcu. Czuła jego ciepły oddech na twarzy. Pragnęła go z całych sił i jednocześnie duma nie pozwalała jej powiedzieć mu o tym. Zamknęła oczy, wsłuchując się w rytm muzyki.

- Wracajmy do hotelu - usłyszała nagle jego głos.

Objął ją mocniej i pocałował w usta.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi apartamentu, Rhys wziął Elżbietę w ramiona i zaniósł na łóżko. Zrzucali z siebie części garderoby, jakby brakowało im czasu.

Kilka sekund później leżeli obok siebie nadzy, obsypując się żarliwymi pocałunkami. Cały świat wirował Elżbiecie przed oczami. Czuła jego gorące, rozpalone żądzą usta na piersiach, brzuchu i udach. W którymś momencie nie wytrzymała napięcia i wpijając się palcami w jego ramię, szepnęła:

- Wejdz we mnie!

Ciężko sapała, czując napływającą falę rozkoszy.

“Pani Williams... Pani Elżbieta Williams...” - powtarzała bez końca w myślach.

- Przepraszam, pani Williams - powiedziała przez intercom Henrietta. - Przyszedł detektyw Hornung i chciałby z panią porozmawiać. Mówi, że to pilne.

Elżbieta zaskoczona spojrzała na Rhysa. Dopiero wczoraj przylecieli z Rio i byli w biurze zaledwie od kilkunastu minut. Rhys wzruszył ramionami i powiedział:

- Wpuść go, Henrietto. Ciekawe, co go do nas sprowadza?

Siedzieli w małym saloniku obok gabinetu. Hornung najpierw przyglądał się w milczeniu Elżbiecie, a następnie oznajmił coś, co sprawiło ją w osłupienie.

- Ktoś próbuje panią zabić!

- O czym pan, do diabła, mówi? - Rhys poderwał się z krzesła.

Max widząc bladą twarz Elżbiety, wyrzucał sobie, że postąpił z nią zbyt grubiańsko.

- Do tej pory dokonano dwóch zamachów na pani życie i będzie ich prawdopodobnie więcej - powiedział z naciskiem.

- Pan... pan się myli. - Elżbieta była zupełnie wytrącona z równowagi.

- Nie, droga pani. Ta winda, w której zginęła pani sekretarka, miała zabić panią. Podobnie jak tamten jeep na Sardynii.

- To był wypadek. Byłam obecna, kiedy mechanik dokonywał przeglądu wozu.

- To nie był pani samochód.

- Nie rozumiem.

- To proste - kontynuował Max. - Jeep, w którym pani o mało nie zginęła, nigdy nie stał w garażu policyjnym. Znalazłem go na złomowisku w Olbi. Śruba w pojemniku na płyn hamulcowy była poluzowana i cała ciecz wyciekła. Dlatego właśnie hamulce nie działały. Przedni zderzak był wgnieciony. Pobrałem z niego próbki kory i kazałem ' zbadać w laboratorium. Pasowała jak ulał do tej, którą zdjąłem z drzewa na miejscu wypadku.

- Ja nadal nic nie rozumiem - odezwał się Rhys. - Przecież Elżbieta...

- Wszystkie jeepy są do siebie podobne. Na to właśnie liczył ten, kto to wszystko zaplanował. Niestety i tym razem nie powiodło mu się. Panią zabrano do szpitala, a jeepa morderca podmienił po drodze. Aby nie wzbudzać pani podejrzeń, cały incydent musiał wyglądać na wypadek.

- Wciąż pan mówi: "on", "ten morderca". Kogo ma pan na myśli? - zapytał Rhys.

- Komu mogłoby zależeć na mojej śmierci? Elżbieta powoli odzyskiwała równowagę.

- Tej samej osobie, która zabiła pani ojca. "To jakiś koszmar - pomyślała Elżbieta. - Kiedy to się w końcu skończy?"

- Pani ojciec został zamordowany - Max mówił dalej - przez człowieka, który podawał się za przewodnika. Poza tym Sam Roffe nie był sam w Chamonix.

- Nie był sam? - powtórzyła drżącym głosem. - Kto więc z nim był?

Hornung spojrzał na Rhysa.

- Pani mąż.

Elżbiecie wydawało się, że traci grunt pod nogami. "Czyżby Rhys...?"

- Liz - Rhys był blady - nie byłem przy Samie, gdy zginął.

- Ale był pan z nim w Chamonix - powiedział Max z naciskiem.

- Wyjechałem jednak, zanim Sam poszedł w góry - odparł Rhys, nie patrząc na Elżbietę.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - zapytała.

- Bo nie chciałem, aby ktokolwiek o tym wiedział. Od roku ktoś próbuje zniszczyć naszą korporację. Sam i ja zdecydowaliśmy poprosić o pomoc jedną z agencji detektywistycznych spoza korporacji.

Elżbieta, w miarę jak mówił, odczuwała coraz większą ulgę. Rhys od samego początku wiedział o istnieniu tajnego raportu. Powinna była mu zaufać, a zaoszczędziłaby sobie wielu cierpień.

Rhys zwrócił się do Hornunga:

- Sam Roffe dostał raport, który potwierdzał nasze przypuszczenia. Zaprosił mnie do Chamonix, aby przedyskutować plan działania. Postanowiliśmy też zachować wszystko w tajemnicy, póki nie dowiemy się, kto za tym wszystkim stoi. Ten ktoś dowiedział się jednak, że mamy przeciwko niemu dowody, i zabił Sama. Zniknął też raport.

- Czytałam ten raport - odezwała się Elżbieta.

Rhys spojrzał na nią wyraźnie zaskoczony.

- Dostałam go razem z rzeczami osobistymi ojca. Donosił o istnieniu sabotażysty wśród członków zarządu. Dlaczego ktoś, kto ma udziały w korporacji, chciałby ją zniszczyć?

- Ten ktoś, za cichą aprobatą pozostałych członków rodziny, chce zepsuć dobrą opinię firmy po to, aby banki zażądały od "Roffe & Sons" spłaty kredytów. Najpierw chciano zmusić pani ojca, aby zgodził się na sprzedaż akcji. Zginął, ponieważ stanowczo się temu sprzeciwiał. Teraz przyszła kolej na panią. Sama pani rozumie... - Max przerwał wpół zdania.

- Musi pan przydzielić mojej żonie policjantów do ochrony.

- Spokojna głowa, panie Williams. Nie spuszczaemy z niej oka, odkąd pana poślubiła.

BERLIN, PONIEDZIAŁEK, 1 GRUDNIA, 10 RANO

Ból stawał się nie do zniesienia. Lekarz przepisał Waltherowi jakieś pigułki. On jednak bał się ich zażyć w obawie, że uśnie i Anna znów go zaatakuje, a potem będzie próbowała uciec.

- Musi pan jak najszybciej udać się do szpitala. Stracił pan dużo krwi - nalegał lekarz.

- Wykluczone! - O ranach zadanych nożem natychmiast poinformowano by policję. Celowo wezwał do siebie lekarza zatrudnionego w firmie, aby zachować wszystko w tajemnicy.

Wolał nie myśleć, co mogłoby się stać, gdyby policja zaczęła teraz węszyć w jego domu.

Doktor założył na ranę szwy i zaproponował, aby przez kilka następnych dni odwiedzała go pielęgniarka. Gassner jednak nie zgodził się, twierdząc, że żona zajmie się nim należycie.

Od tamtej pory minął dokładnie miesiąc. Gassner nie pojawił się w firmie, informując swoją sekretarkę, że miał wypadek i jeszcze przez jakiś czas musi pozostać w domu.

Często wracał myślami do tamtej dramatycznej chwili, gdy Anna próbowała pozbawić go życia przy pomocy nożyczek. Zdążył jednak obrócić się w porę i ostre narzędzie przebiło jego ramię zamiast serca. Czuł się wtedy tak, jakby za chwilę miał stracić przytomność. Jednak mimo dokuczliwego bólu miał jeszcze tyle siły, aby obezwładnić Annę i mimo jej protestów zamknąć ją w sypialni. Z oddali słyszał jej krzyki: "Co zrobiłeś z moimi dziećmi?", "Co zrobiłeś z moimi maleństwami?"

Nie wypuszczał jej z sypialni ani na moment. Przyrządzał jej posiłki, przynosił do pokoju i stawiał tacę na toaletce.

Anna siedziała zwykle skulona w kącie i powtarzała bez końca: "Co zrobiłeś z moimi dziećmi? Co zrobiłeś z moimi maleństwami?"

Czasami, gdy wchodził do sypialni, widział, jak stała z uchem przy ścianie w nadziei, że usłyszy głosy dzieci. W domu panowała jednak grobowa cisza. Oprócz nich nie było w nim żywej duszy.

Któregoś dnia, gdy Walther sprzątał naczynia po posiłku, rozległ się hałas w holu.

"Kto to mógł być, do diabła? - myślał gorączkowo. - Przecież dokładnie pozamykałem wszystkie drzwi".

Pani Mendler jak w każdy poniedziałek przysłała do willi Gassnerów, aby posprzątać.

Nie lubiła tego domu. Ale jak mówią: "Pieniądze nie śmierdzą". Tydzień temu Gassner nie odstępował jej na krok. Może coś zginęło i pewnie ją o to podejrzewał. "Źle temu człowiekowi patrzy z oczu" - pomyślała, kiedy ujrzała go po raz pierwszy. Kiedy zaczęła odkurzać łazienkę na górze, przerwał jej poirytowany, zapłacił za sprzątanie i kazał wynieść się do wszystkich diabłów.

Dzisiaj nigdzie nie było go widać. "Pewnie nie ma go w domu. Gott sei Daiik" - odetchnęła z ulgą. Postanowiła zacząć sprzątanie od góry. Pomyślała, że zdąży zejść na parter, kiedy Gassner wróci. W domu panował spokój. Skierowała kroki do sypialni, której od dawna nie odkurzała. Drzwi były jednak zamknięte na klucz. "Pewnie trzymają tam swoją drogocenną biżuterię" - pomyślała i już chciała odejść od drzwi, gdy usłyszała cichy szept:

- Kto tam jest?

- Frau Mendler, pomoc domowa. Chciałam posprzątać pani sypialnię.

- Niech mnie pani ratuje! - Kobieta zaczęła krzyczeć i pukać do drzwi. - Proszę wezwać policję i powiedzieć im, że mój mąż zabił moje dzieci, moje kochane maleństwa. Grozi mi śmiertelne niebezpieczeństwo! Niech się pani pośpieszy, zanim...

Gassner chwycił panią Mendler za ramię i odsunął od drzwi. Był blady.

- Czego pani tu szuka? - powiedział podniesionym głosem. - A może chce pani nas okraść?

- Nikogo nie mam zamiaru okradać, proszę pana. Przychodzę tu co tydzień, aby posprzątać.

- Ostatnim razem powiedziałem, że nie chcę tu pani więcej widzieć.

- Nic podobnego mi pan nie mówił! - pani Mendler nie dawała za wygraną.

"Pewnie zamierzałem jej o rym powiedzieć... tylko przez ten piekielny ból zapomniałem" - pomyślał z wyrzutem.

- Niech się pani stąd natychmiast wynosi! - rozkazał.

Pani Mendler zwlekała z wyjściem z domu. Miała nadzieję, że raz jeszcze usłyszy nawoływanie tamtej kobiety. W domu jednak znowu zapanowała cisza. Gassner tym razem nie zapłacił jej za przyjście. Dobrze, że nie oddała mu złotych spinek do mankietów, które znalazła na podłodze w holu. To jej przynajmniej w części zrekompensuje upokorzenie, jakiego doznała. Przykro jej było z powodu tamtej kobiety, ale nie mogła pójść na policję. Była tam już notowana.

W tym czasie detektyw Hornung przebywał w Zurychu. Z głównej kwatery Interpolu dostał kilka interesujących dalekopisów.

Poza tym poprosił o całodobową ochronę dla Elżbiety Roffe.

W Paryżu policja wyłowiła zwłoki jeszcze jednej jasnowłosej dziewczyny. Podobnie jak poprzednie, była naga i miała na szyi czerwoną kokardę.

W biurze Rhysa zadzwonił telefon. Rhys podniósł słuchawkę i usłyszał monotony głos Heleny Roffe-Martel.

- Dzień dobry, kochanie.

- Miałaś więcej do mnie nie dzwonić. - Rhys był wyraźnie rozdrażniony.

- Nigdy nie przejmowałeś się moimi telefonami. - Zaśmiała się. - Nie sądziłam, że lew salonowy da się tak szybko ujarzmić.

- Czego chcesz?

- Spotkać się z tobą, dziś po południu.

- To wykluczone.

- Proponujesz więc, abym przyjechała do Zurychu?

Rhys zawahał się.

- Dobrze - odparł. - Gdzie się spotkamy?

- Tam, gdzie zwykle, cheri - odpowiedziała Helena i odłożyła słuchawkę.

Kiedys miał z Heleną krótki romans. Zdawało mu się jednak, że między nimi już wszystko skończone. Mylił się. Helena nie należała do kobiet, które łatwo rezygnują. Była znudzona Charlesem i szukała odmiany.

- Rhys, pasujemy do siebie jak mało kto - zwykła mówić. - Nie rozumiem, dlaczego nie możemy być razem.

Wiedział, że jeżeli zależy jej na czymś, potrafi być uparta i niebezpieczna. Postanowił spotkać się z nią w Paryżu i odbyć poważną rozmowę.

Wszedł do gabinetu Elżbiety i objął ją wpół.

- Kochasz mnie jeszcze? - zapytał.

- Nie mogę przestać o tobie myśleć - odparła z uśmiechem. - Chodźmy do pokoju obok - szepnęła. - Mam ochotę cię zjeść.

- Z grzecznej dziewczynki przeistaczasz się w lwicę.

- To twoja wina, kochanie. Tak bardzo rozpalasz moje zmysły.

Rhys nagle spowaźniał i powiedział:

- Muszę lecieć do Paryża, Liz.

- Czy mogę lecieć z tobą?

- To zbyt bezpieczne, Liz. Wrócę wieczorem. I pójdziemy gdzieś na kolację. Tylko we dwoje.

Elżbieta była wyraźnie rozczarowana.

Helena czekała na niego w małym hoteliku, położonym w centrum miasta.



Rhys nie pamiętał, aby kiedykolwiek się spóźniła. Była niezwykłą kobietą, równie piękną co inteligentną. Była namiętą kochanką i jednocześnie nieustępliwym partnerem w interesach.

- Witaj, kochanie - powiedziała, gdy usiadł przy stoliku. - Wyglądasz wspaniale. Małżeństwo dobrze ci służy. Czy Elżbieta w łóżku jest równie dobra jak ja?

- To nie twoja sprawa, Heleno. - Był wyraźnie poirytowany jej złośliwością.

- Ależ, cheri - wzięła jego rękę w swoje dłonie - to nasza wspólna sprawa. - Jak się czujesz w roli prezesa korporacji?

Przypomniał sobie, jak bardzo Helena była żądna władzy.

“Gdyby Sam usunął nam się z drogi, moglibyśmy razem doprowadzić korporację do rozkwitu” - często powtarzała. Nawet w łóżku, w chwilach miłostnego uniesienia, mówiła: “To moja korporacja, Rhys. W moich żyłach płynie krew Samuela Roffe'a. Zdobędę ją... Mocniej... Wejdz we mnie... Mocniej, kochanie”.

Władza była dla Heleny najlepszym afrodyzjakiem.

- W jakiej sprawie chciałaś się ze mną spotkać, Heleno?

- Czas, abyśmy przedsięwzięli jakieś kroki.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Doskonale wiesz, co mam na myśli - powiedziała z naciskiem. - Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Nie pracowałbyś u boku Sama przez tyle lat, gdybyś nie był pewny, że któregoś dnia zajmiesz jego miejsce.

- Pracowałem z Samem, bo go lubiłem.

- I dlatego, cheri - wyszczerzyła zęby w uśmiechu - ożeniłeś się z jego małą córeczką?

Wyjęła z torebki papierosa, zapaliła go i zaciągnęła się głęboko dymem.

- Charles mówił mi, że Elżbieta nadal sprawuje kontrolę nad akcjami i odmawia zgody na ich sprzedaż.

- To prawda, Heleno.

- A czy przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że gdyby twoja mała dziewczynka zginęła, zostałbyś jedynym władcą “Roffe & Sons”?

## Rozdział 49

Ivo spoglądał leniwie przez okno, gdy nagle przerażony zauważył Donatellę z synami, zajeżdżających pod dom luksusowym kabrioletem.

Simonetta, dzięki Bogu, spała na górze w sypialni. Szybko zbiegł na ganek, aby powstrzymać Donatellę przed wejściem do środka.

Był wściekły. Kochał przecież tę kobietę, obdarował ją miłością, a teraz ta niewdzięcznica chce zrujnować mu życie. Nie mógł do tego dopuścić.

Patrzył na jej długie nogi, gdy wysiadała z lancii flavia, którą jej podarował, i zastanawiał się, jak taka piękna kobieta może być aż tak okrutna.

- Przyjechałam zobaczyć się z twoją żoną - oznajmiła chłodno, a następnie odwróciła się do chłopców i kazała im iść za sobą.

- Stój, Donatello. - Ivo zastąpił jej drogę.

- Sądzisz, że uda ci się mnie powstrzymać? Jeżeli nie spotkam się z Simonetta dzisiaj, przyjdę do niej jutro.

- Zaczekaj! - Ivo wiedział, że Donatella spełni swoją groźbę. - Dostaniesz pieniądze. Daj mi tylko pięć dni.

Donatella zacisnęła pięści i syknęła:

- Zgoda, ale później zjedź mi lepiej z drogi!

Sir Alec Nichols brał udział w poważnej debacie, która odbywała się w Izbie Gmin. Miał wygłosić referat na temat strajków robotniczych, które paraliżowały brytyjską gospodarkę. Nichols był jednak niespokojny i nie mógł się skoncentrować. Jego myśli zaprzętał ostatni telefon od Swintona. Ten niebezpieczny typ mógł w każdej chwili spełnić swoją groźbę. On i jego szef wiedzieli o nim wszystko: kiedy przebywa w klubie, chodzi do fryzjera, jada w restauracji, odbywa spotkania w interesach. Kontrolowali każdy jego krok.

“Pewnie wkrótce Tod Michaels - myślał z przerażeniem - przejmie moje udziały w »Roffe & Sons«”.

Nichols stanął na mównicy. Próbował odpędzić od siebie złe myśli.

- Doskonale wiecie - zaczął - że jestem przyjacielem robotników i podobnie jak wy uważam, że bez pracy ich rąk nasz kraj nie byłby tak potężny. To oni są prawdziwą elitą. - Zrobił pauzę. - Nadchodzą jednak czasy, kiedy wszyscy muszą zdobyć się na poświęcenia...

W miarę jak mówił, odzyskiwał pewność siebie. Był przecież członkiem parlamentu, którego cały kraj znał i szanował. Czy mógł mu zaszkodzić taki szubrawiec jak Michaels? Może jedynie próbować go zastraszyć, ale nie ośmieli się targnąć na jego życie.

Odetchnął z ulgą i wśród aplauzu słuchaczy zszedł z mównicy.

Kiedy usiadł za stołem prezydialnym, zbliżył się do niego sekretarz i szepnął:

- Mam dla pana złą wiadomość. Ktoś prosił, aby pan jak najszybciej przyjechał do domu.
- Proszę powiedzieć, że już jadę.

Kiedy Nichols zajechał przed dom, czterech mężczyzn w białych fartuchach wносиło Vivian do ambulansu.

Alec wyskoczył z samochodu i podbiegł do lekarza, który stał obok pielęgniarzy.

- Co się stało? - zapytał zdenerwowany.
- Gdybym to ja wiedział, sir Alec. - Lekarz rozłożył ręce. - Dostałem anonimowy telefon, że w pana domu wydarzył się wypadek. Wezwałem więc ambulans i przyjechałem na miejsce. Pana żona leżała na podłodze sypialni. Jej kolana były przybite do podłogi.

Nichols zamknął oczy, próbując opanować mdłości.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, ale wątpię, czy będzie mogła kiedykolwiek chodzić.

Alec nie słuchał lekarza. Wszedł do ambulansu i nachylił się nad Vivian.

- ...o moja droga, moja droga - powtarzał ze łzami w oczach. - Dlaczego oni ci to zrobili? Rozcierał w rękach jej chłodne dłonie. Vivian powoli otworzyła oczy.

- Było ich dwóch - mówiła, przerywając co chwilę - ... mieli na twarzach maski... położyli mnie na podłodze... i... połamali mi nogi... Alec, kochanie, już nigdy nie będę mogła tańczyć...

Alec położył głowę na jej piersi. Wiedział, że teraz przyjdzie kolej na niego. Michaels nie cofnie się przed niczym, aby odzyskać swoje pieniądze.

ZURYCH, CZWARTEK, 4 GRUDNIA

Dokładnie w południe w biurze nadinspektora Schmieda zadzwonił telefon. Nadinspektor rozmawiał z kimś przez chwilę, a następnie połączył się z detektywem Hornungiem.

- Już po wszystkim, Hornung. Złapali zabójcę Sama Roffe'a. Pozbieraj się szybko i pędź na lotnisko. Za godzinę masz samolot...

- Dokąd, panie nadinspektorze?

- Do Berlina.

Następnie nadinspektor zadzwonił do Elżbiety Williams, aby podzielić się z nią dobrą nowiną.

- Złapaliśmy mordercę, proszę pani.

Elżbieta zacisnęła dłoń na słuchawce. A więc jednak... W końcu dowie się, kim jest ten anonimowy łotr, sprawca wszystkich jej nieszczęść.

- Kim jest ten człowiek? - zapytała.

- Nazywa się Walther Gassner, proszę pani.

Pędzili autostradą w kierunku Wannsee. Max siedział na tylnym siedzeniu obok majora Wagemana. Po drodze Wageman streścił Hornungowi przebieg wydarzeń.

- Dom jest otoczony - oznajmił. - Musimy jednak zachować ostrożność. Groził, że zabije swoją żonę.

- Jak udało się wam go dopaść? - zapytał Hornung.

- Dzięki panu. Dlatego pomyśleliśmy, że chciałby pan być obecny przy jego aresztowaniu.

- Ja wam pomogłem? - zapytał zaskoczony.

- Tak. Opowiedział mi pan o tym psychiatrze, którego odwiedził Gassner. Nie tylko jemu złożył wizytę. Sprawdziliśmy to. W ostatnim czasie odwiedzał kilku lekarzy. Za każdym razem podawał inne nazwisko i znikał bez słowa. Wiedział o swojej chorobie. Bał się jej. Jego żona dzwoniła do nas kilka miesięcy temu i błagała o ratunek.

Skręcili z autostrady na drogę prowadzącą do willi Gassnerów.

- Dzisiejszego ranka - mówił dalej Wageman - zadzwoniła do nas ich sprzątaczką. Mówiła, że w zeszły poniedziałek, gdy sprzątała w domu Gassnerów, rozmawiała z żoną Gassnera przez zamknięte drzwi sypialni. Biedna kobieta powiedziała jej, że jej mąż zabił ich dzieci i ją również zamierza pozbawić życia.

- To się stało w zeszły poniedziałek - przerwał majorowi - a ta kobieta zdecydowała się opowiedzieć o tym dopiero teraz?

- Była już notowana. Bała się zgłosić na policję. Dopiero jej konkubin namówił ją, aby do nas przyszła.

Dotarli do Wannsee. Major kazał zatrzymać samochód przecnicę dalej. Kiedy wysiadali, podbiegło do nich kilku mężczyzn.

- Jest w domu, majorze - poinformował Wagemana jeden z nich. - Otoczyliśmy cały dom.

- Czy jego żona jeszcze żyje?

- Niestety, nie wiem.

- W porządku. Powiadom ludzi, że za pięć minut spróbujemy wejść do środka. - Wageman wyjął z samochodu przenośny nadajnik i zaczął wydawać komendy.

Ze wszystkich stron zjawili się mężczyźni. Ubrani byli na czarno i mieli zasłonięte twarze. Zaczęli powoli zbliżać się do budynku. Jedni trzymali w ręku karabiny z lornetkami, inni uzbrojeni byli w miotacze gazu.

Cała akcja została przeprowadzona matematyczną precyzją. Na komendę Wagemana wrzucono przez okna pojemniki z gazem łzawiącym, a następnie policjanci w maskach przeciwigazowych wyważyli drzwi frontowe i weszli do środka.

Wageman i towarzyszący mu detektywi trzymali w ręku broń gotową do strzału. Kiedy wbiegli za policjantami do budynku, wewnątrz unosiły się kłęby siwego, gryzącego dymu, który szybko ulatniał się przez wybite okna.

Dwóch ludzi przyprowadziło zakutego w kajdanki Gassnera. Był w piżamie, na którą w pośpiechu narzucił szlafrok. Miał podkrążone oczy, bladą, zmęczoną twarz. Był nieogolony.

- Jest pan aresztowany - powiedział Wageman. - Gdzie jest pańska żona?

- Zamknąłem ją... - urwał w pół zdania, wznosząc oczy do góry.

- Jest tutaj, znalazłem ją! - zawołał jeden z detektywów. - Zamknął ją w sypialni!

Na schodach pojawiła się Anna Gassner. Drżała na całym ciele.

- Dzięki Bogu, że zdążyliście... - nie dokończyła i wybuchnęła płaczem.

Major Wageman wbiegł na schody i przytrzymał ją za ramię.

Kiedy Anna zobaczyła Walthera stojącego w holu, przerażona odwróciła się.

- Niech się pani uspokoi. - Major pogłaskał ją delikatnie po głowie. - Ten człowiek już nigdy pani nie skrzywdzi.

- Gdzie są moje dzieci? - krzyknęła nagle w stronę Gassnera. - Co zrobiłeś z naszymi dziećmi?

Gassner nie wytrzymał jej spojrzenia i odwrócił głowę.

- Ma pan prawo nic nie mówić. Może pan też poprosić o adwokata - powiedział spokojnie major.

- Dlaczego ich wezwałaś, Anno? - przerwał majorowi Walther. - Przecież byliśmy ze sobą tacy szczęśliwi.

- Co zrobiłeś z dziećmi? - Anna zacisnęła pięści. - Mów!

- Nie żyją - powiedział cicho Gassner.

- Jezus Maria! - krzyknęła Anna. - Ty morderco! - Zachwiała się i osunęła zemdłona na podłogę.

- Anno! - Gassner rzucił się do przodu, ale silna dłoń detektywa przytrzymała go na miejscu.

- Gdzie są ciała dzieci? - zapytał Wageman.

- Na cmentarzu Saint Paul - odpowiedział za Gassnera Hornung.

ZURYCH, CZWARTEK, 4 GRUDNIA, GODZINA 20

Za oknami zapadał zmierzch. Zaczął padać śnieg i wkrótce wszystkie domy w okolicy okryły się cienką warstwą białego puchu.

Elżbieta pracowała w swoim biurze. Czekala na Rhysa, który wyjechał rano na ważne spotkanie do Genewy. Tak bardzo pragnęła, aby już tu był. Nie czuła się najlepiej. Nie mogła przestać myśleć o Annie i Waltherze. Przypomniała sobie, że kiedy zobaczyła Gassnera po raz pierwszy, był młody, niezwykle przystojny i po uszy zakochany w Annie. A może tylko udawał? Z trudem mogła uwierzyć, że popełnił tak okrutną zbrodnię. "Biedna Anna - pomyślała. - Ileż ona musiała wycierpieć". Próbowała dodzwonić się do niej, ale nikt nie odpowiadał. Postanowiła, że jutro albo pojutrze poleci do Berlina, aby się z nią spotkać. Nagle jej rozmyślania przerwało brzęczenie telefonu. Uniosła słuchawkę i usłyszała głos Nicholasa.

- Wiesz już o Waltherze? - zapytał.

- Tak, to okropne. Z trudem mogę w to uwierzyć.

- Być może zabił swoje dzieci, ale nie ma nic wspólnego ze śmiercią twojego ojca.

- Chcesz powiedzieć, że policja jest w błędzie?

- Walther był pierwszą osobą, którą sprawdziliśmy z Samem. Doszliśmy do wniosku, że Walther nie jest sabotażystą.

- Nie wiem, o czym mówisz, Alec - Elżbieta udawała zaskoczoną.

- Widzisz - Nichols odchrząknął - przez ostatni rok próbowano narazić na szwank dobre imię "Roffe & Sons". Ktoś wysadził w powietrze jedną z naszych fabryk w Ameryce Południowej, podkradano nam patenty i zamieniano etykiety na niebezpiecznych lekach. Któregoś dnia udałem się w tej sprawie do Sama. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że należy prosić o pomoc którąś z agencji detektywistycznych spoza korporacji. Postanowiliśmy zachować wszystko w tajemnicy.

Elżbieta czuła, jak serce bije jej coraz mocniej. Przecież Alec powtarzał dokładnie słowa Rhysa.

- Kiedy po skończonym dochodzeniu Sam otrzymał tajny raport - mówił dalej Alec - pojechał z nim do Chamonix.

Elżbieta w tym momencie przypomniała sobie słowa Rhysa: "Sam poprosił mnie, abym pojechał z nim do Chamonix... Zdecydowaliśmy zachować wszystko w tajemnicy. Chcieliśmy dowiedzieć się, kto jest za to wszystko odpowiedzialny".

Starając się, aby jej głos zabrzmiał naturalnie, zapytała:

- Kto jeszcze oprócz ciebie i mojego ojca wiedział o istnieniu raportu?

- Nikt więcej, Elżbieto. Twojemu ojcu bardzo zależało na zachowaniu tajemnicy. Zgodnie z tym, co wykazywał raport, winowajcą był ktoś z zarządu korporacji.

“Rhys... - myślała gorączkowo Elżbieta. - Ani słowem nie wspominał jej o swoim pobycie w Chamonix. Dopiero ten detektyw Hornung powiedział jej o tym”.

- Czy Rhys mógł wiedzieć o raporcie? - zapytała ostrożnie.

- Nie, a dlaczego pytasz?

Elżbieta nie odpowiedziała. Trzęsącymi się rękami odłożyła słuchawkę.

“Rhys znał treść raportu, bo go po prostu ukradł. - Myśli kłębiły się w jej głowie. - Potem pojechał do Chamonix i zabił ojca, przecinając mu linę”.

Elżbieta chwyciła się za głowę i wybuchnęła spazmatycznym płaczem. W natłoku myśli przypomniawszy sobie, że przed wypadkiem zostawiła dla niego wiadomość, że wyjeżdża na Sycylię. Pewnie ten podstawiony jeep to też jego sprawa. Podobnie jak uszkodzona winda... Wyszedł przecież z biura na krótko przed...

Zerwała się z miejsca i pobiegła do biura Rhysa. W środku było ciemno. Włączyła światło i stała przez chwilę w progu. Zastanawiała się, czego tu właściwie szuka. Dowodów winy Rhysa? A może jest tu coś, co zaświadczy o jego niewinności? Nie mogła uwierzyć, że człowiek, którego pokochała, okazał się... mordercą!

Podeszła do jego biurka i pociągnęła za uchwyt szuflady, w której mieściły się jego rzeczy osobiste. Była zamknięta na zamek. Zawahała się przez moment. Wiedziała, że jeżeli otworzy tę szufladę, nie będzie już odwrotu. Rhys dowie się o tym, a ona będzie musiała powiedzieć mu, dlaczego to zrobiła.

- Nic mnie to nie obchodzi! - powiedziała głośno do siebie i uderzyła w klamkę ciężkim metalowym dziurkaczem. Zamek odpadł z trzaskiem. Wewnątrz leżały równo poukładane dokumenty. Była tam też koperta, na której jakaś kobieca ręka napisała nazwisko i adres Rhysa. Na znaczku widniał stempel pocztowy z datą sprzed kilku dni. Wewnątrz znajdował się list od Heleny.

“Cheri, próbowałam dodzwonić się do ciebie. Na próżno. Chcę spotkać się z tobą raz jeszcze, aby omówić plany...”

Elżbieta położyła list na biurku. Jej wzrok padł na dużą szarą kopertę z napisem: “Sam Roffe, do rąk własnych”... Leżał przed nią skradziony raport. Świat zawirował jej przed oczami. A więc to jednak on. Anonimowy dotąd morderca ukazał swoje oblicze...

Ciszę przerwał nagle telefon w jej biurze. Szybkim krokiem podeszła do swojego biurka i podniosła słuchawkę. Usłyszała głos strażnika, który pilnował wejścia do budynku.

- Pani mąż prosił, abym powiadomił panią, że już wsiada do windy i za chwilę będzie na górze.



“Aby mnie zabić - dodała w myślach. - Szybko, nie mam chwili do stracenia”.

Chwyciła torebkę i płaszcz i wybiegła z biura. Zatrzymała się nagle przy windzie. Zapomniała paszportu.

Na tablicy świetlnej nad windą, którą jechał Rhys, pojawiło się światelko z cyfrą 2... 3... 4... Elżbieta pośpiesznie wróciła do gabinetu. Była tak zdenerwowana, że szarpnęła za mocno szufladę biurka. Szuflada spadła z hukiem na podłogę.

Z paszportem w ręku znowu znalazła się przy windach... 1... 8... 9... Światelko zaczęło mrugać, co oznaczało, że za chwilę bezszelestnie rozsuna się drzwi windy. Elżbieta błyskawicznie skręciła na schody i zaczęła pędzić w dół. Wiedziała, że grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo.

Między Civitavecchia i Sardinia kursował regularnie prom przewożący zarówno ludzi, jak i samochody. Elżbieta wjechała na pokład wynajętym samochodem. Starła się wtopić w tłum pasażerów. Była pewna, że nikt jej nie śledził, a mimo to czuła się zagrożona.

Rhys nie miał wyjścia. Wiedziała zbyt wiele i mogła go zniszczyć. Musiał więc ją zabić.

Kiedy wybiegła z biurowca, od razu pomyślała o Sardynii. Musiała jak najszybciej wyjechać z Zurychu i ukryć się przed Rhysem, póki nie zostanie schwytany.

Podczas gdy czekała na prom, próbowała połączyć się z Nicholsem. Nie było go jednak w domu. Zostawiła mu więc poufną wiadomość, że jedzie na Sardinia. Taką też informację przekazała telefonicznie Hornungowi i poprosiła o ochronę policyjną.

Na miejscu, w Olbi, czekali już na nią detektyw Bruno Compagna oraz inspektor policji Ferraro. Kiedy prom przybił do brzegu, podszedł do niej Campagna i powiedział:

- Otrzymaliśmy telefon od szwajcarskiej policji. Prosimy, abyśmy zajęli się panią. Obstawiliśmy całą przystań. Mogę panią zapewnić, że jest pani bezpieczna.

- Dziękuję - Elżbieta odetchnęła z ulgą.

- Pozwoli pani, że ja poprowadzę - zaproponował Campagna i gdy Elżbieta wyraziła zgodę, usiadł za kierownicą. - Gdzie chce pani jechać? Na posterunek czy do swojej willi?

- Do willi, ale pod warunkiem, że nie będę tam sama.

- Zostanę z panią. Przed domem stoi radiowóz. Jeżeli ktokolwiek pojawi się na drodze, moi koledzy zaraz troskliwie się nim zajmą. - Uśmiechnął się.

- Czy są jakieś wieści o moim... mężu? - zapytała, gdy jechali górską drogą, niedaleko miejsca, w którym zdarzył się wypadek.

- Ponoć gdzieś się ukrył. Zapewniono nas jednak, że do rana zostanie schwytany.

Czuła bolesny ucisk w klatce piersiowej. Ten policjant mówił o mężczyźnie, którego kochała, jak o dzikiej bestii, którą należy upolować.

Jak mogła mu tak bezgranicznie ufać? Nabrała się na jego słówka i nieskazitelne maniery. On zaś przez cały ten czas rozmyślał, jak pozbawić ją życia. Gdy o tym pomyślała, poczuła, jak dreszcz przebiegł jej ciało.

- Zimno pani? - zapytał Campagna.

- Nie, skądże.

Wiał silny wiatr i stary samochód z trudem stawiał mu opór.

- Wieje przeklęty sirocco, proszę pani. Noc zapowiada się nieciekawie.

Elżbieta dobrze wiedziała, co detektyw miał na myśli. Sirocco potrafił doprowadzić do szaleństwa wszystkie żywe istoty, zarówno ludzi, jak i zwierzęta. Nadciągał z Sahary, niosąc ze sobą odrobiny gorącego piasku. Pojękując i zawodząc wytrącał ludzi z równowagi.

Jak wykazywały policyjne statystyki, najczęściej zbrodni popełniano właśnie wtedy, gdy wiał ten przeklęty wiatr.

Objechali małe wzgórze i skręcili w wąską alejkę, prowadzącą prosto do drzwi willi. Campagna zaparkował samochód na małym parkingu obok fontanny i pomógł Elżbiecie wysiąść.

- Pozwoli pani, że ja otworzę? Na wszelki wypadek, gdyby był w środku.

Elżbieta wręczyła mu klucz i patrzyła w napięciu, jak detektyw otwiera drzwi. Campagna wyjął rewolwer i przez lekko uchylone drzwi wsunął rękę do środka, zapalając światło w holu.

- Chciałbym, aby oprowadziła mnie pani po domu - poprosił cicho.

Sprawdzali jeden pokój po drugim. Detektyw wszędzie zapalał światła, zaglądał do szaf i pod łóżka. Kiedy upewnił się, że dom jest pusty, podszedł do telefonu i wykręcił numer swojego posterunku.

- Mówi Campagna, panie inspektorze. Wszystko w porządku. Zostanę w willi na noc. - Słuchał przez chwilę, po czym dodał - pani Williams czuje się dobrze. Zadzwoń później.

Elżbieta usiadła bezwładnie na krześle. Była wyczerpana. Wiedziała jednak, że najgorsze czeka ją dopiero jutro, kiedy schwytają Rhysa... żywego lub... martwego.

Campagna patrzył na nią uważnie. Było mu jej żal.

- Zrobić pani kawy?

- Sama się tym zajmę. - Wstała. Detektyw dotknął jej ramienia i łagodnie posadził z powrotem na krześle.

- Moja żona mówi, że przyrządzam najlepszą kawę na świecie - powiedział i wyszedł do kuchni.

Elżbieta położyła głowę na oparciu krzesła i zamknęła oczy. Ciekawe, od jak dawna Rhys planował przejęcie korporacji. Pewnie od dnia, kiedy się z nią spotkał w szkole, w Szwajcarii. Postanowił wówczas, że przechytrzy Sama i ożeni się z jego córką. I co tu dużo mówić, poszło mu całkiem gładko. Wystarczyła jedna kolacja u Maxima, aby ją oczarować. Później przyczaił się i uzbroił w cierpliwość do momentu, gdy sama mu się oświadczyła, wpadając w zastawione przez niego sidła. Pewnie później z Heleną śmiali się z jej naiwności. Zastanawiała się, gdzie może być teraz Rhys. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby policjanci wywlekli go z łóżka tej ladacznicy.

- Kawa gotowa - głos detektywa przerwał jej rozmyślenia.

Wzięła filiżankę z jego ręki i upiła łyk. Kawa miała dziwny smak. Widocznie Campagna dodał coś do niej.

- Kilka kropel whisky... - zdawał się czytać w jej myślach. - Dobrze to pani zrobi.

Elżbieta leżała w łóżku, nie mogąc zasnąć. Czuła się nieswojo z powodu obecności policjantów przed domem i detektywa czuwającego w stołowym pokoju. Myślała o Rhysie. Być może przedziera się teraz gdzieś przez krzaki wśród świszczących pocisków. Nagle kilka kul trafia go w pierś. Rhys pada na trawę i zastyga w bezruchu. Poczula, że zapada w błogi sen. Ciężki i wyczerpujący dzień zrobił swoje. Kilka godzin później obudził ją czyjś przeraźliwy krzyk.

Elżbieta usiadła na łóżku. Serce waliło jej jak młot. Po chwili znów usłyszała krzyk, gdzieś za oknem. Przypominał wycie konającego zwierzęcia. Elżbieta zerwała się z łóżka i podbiegła do okna. Białe promienie księżyca prześwietlały gęste korony drzew. Z dala dochodził głośnie szum wzburzonego morza. Krzyk powtórzył się znowu, a następnie po krótkiej pauzie rozległo się kolejne, przeraźliwe wycie... sirocco.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że to pustylny wiatr wyrwał ją ze snu. Chwiejąc się ruszyła w kierunku drzwi sypialni, otworzyła je i zaczęła schodzić w dół.

- Detektywie Campagna! - zawołała, z trudem utrzymując równowagę.

Nikt jej jednak nie odpowiedział. Przytrzymując się mebli, weszła najpierw do pokoju stołowego, a następnie do kuchni. Stwierdziła z przerażeniem, że jest sama. Pocieszała się myślą, że Campagna wyszedł pewnie na chwilę, aby porozmawiać z policjantami siedzącymi w radiowozie. Podbiegła do drzwi i lekko je uchyliła. Przy wejściu jednak nie było wozu policyjnego. Postanowiła zadzwonić na posterunek i wyjaśnić to nagłe zniknięcie policjantów. Podniosła słuchawkę. Nie usłyszała sygnału. Zanim zdała sobie w pełni sprawę z tragicznej sytuacji, w jakiej się znalazła, zgasty światła.

Vivian Nichols odzyskała przytomność w momencie, gdy wywożono ją z sali operacyjnej.

Operacja trwała osiem godzin. Przeprowadzało ją trzech doskonałych chirurgów. Ich trud zakończył się jednak niepowodzeniem. Lady Nichols już nigdy nie stanie na własnych nogach. Vivian płakała i wzywała męża. Tak bardzo pragnęła mieć go teraz przy sobie, czuć ciepło jego dłoni. Alec był jednak nieobecny.

Detektyw Hornung otrzymał depezę z Interpolu. Dowiedział się, że mężczyznę, który zakupił podejrzane kasety dla "Roffe & Sons", znaleziono w Sydney... nieżywego. Zmarł na atak serca trzy dni wcześniej.

Walther Gassner przebywał w prywatnej klinice, położonej malowniczo na przedmieściach Berlina. Od dziesięciu godzin nie odezwał się do nikogo ani słowem. Siedział wpatrzony w jeden punkt. Czasami któraś z pielęgniarek przystawała, aby zaproponować mu coś do jedzenia lub picia. On jednak nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. Przebywał, podobnie jak Anna, w zupełnie innym świecie.

Simonettę wyrwał ze snu telefon. Usiadła na łóżku i podniosła słuchawkę.

- Dzień dobry pani. Nazywani się Donatella Spolini. Przepraszam, że dzwonię o tak wczesnej porze.

- Nic nie szkodzi - odparła zaspana Simonetta.

- Nigdy dotąd nie spotkałyśmy się, choć mamy sobie wiele do powiedzenia. Chciałabym zaprosić panią na lunch do "Bolognese" na Piazza del Popolo. To bardzo pilne.

Simonettę zaintrygowała ta kobieta. Wprawdzie w porze lunchu miała ważne spotkanie, ale postanowiła je odwołać.

- Zgoda. Jak panią rozpoznam?

- Przyjdę z moimi synami.

Helena znalazła na biurku w swoim gabinecie krótką wiadomość od swojego męża:

"Postanowiłem odejść od ciebie. Nie próbuj mnie szukać".

Zgniotła kartkę w dłoni i wrzuciła ją do kominka.

- Już ja cię znajdę, ty niewdzięczniku. Słono zapłacisz mi za tę zniewagę!

Max Hornung przebywał na lotnisku Leonardo da Vinci w Rzymie. Od dwóch godzin bezskutecznie próbował nadać wiadomość na Sycylię. Z powodu złych warunków atmosferycznych została przerwana łączność.

- Muszę natychmiast lecieć na Sycylię - tłumaczył kierownikowi lotów. - Od tego zależy czyjeś życie.

- Rozumiem, signore, ale nie jestem cudotwórcą. Wszystkie lotniska na Sardynii są nieczynne do czasu, gdy przestanie wiać ten cholerny sirocco.

- Jak długo będę musiał czekać?

- Jakies dwanaście godzin.

- Dwanaście godzin?! - jęknął Max. - W tym czasie Elżbieta Williams będzie już martwa!

Błądząc w ciemnościach, Elżbieta doszła do wniosku, że detektyw Campagna był w zмовie z Rhysem. To on pewnie pomógł mu zamienić jeepy. I teraz, po przyjeździe do willi, udając, że dzwoni na posterunek, poinformował Rhysa, że już są na miejscu. Powinna stąd uciec za wszelką cenę. Ciężyły jej ręce i nogi. Miała mdłości i zawroty głowy. Campagna dosypał jej pewnie czegoś do kawy. Potykając się o meble, dotarła do kuchni i po omacku wyjęła z kredensu ocet. Wlała sporą porcję octu do kubka i wymieszała z wodą. Następnie wszystko wypiała. Niemal natychmiast zaczęła wymiotować. Już po kilku minutach poczuła się lepiej.

- Rhys! - wyszeptała, choć chciała krzyknąć. - Chodź i zabij mnie! - Potknęła się i upadła. - Na co czekasz?!

Była jeszcze zamroczone narkotykiem. Nagle usłyszała głos Samuela, a może tylko wydawało jej się, że przemówił.

- Musisz go powstrzymać, Elżbieto - mówił.

- Nie mogę, dziadku! Już jest za późno.

- Weź się w garść. On chce upozorować wypadek. Nie pozwól mu na to! Nie pozwolę mu zarządzać korporacją, jeżeli okaże się, że cię zamordował.

- Dobrze, dziadku.

Elżbieta poczuła nagły przypływ energii. Chwyciła lampę stojącą na kominku i stłukła nią lustro. Następnie uderzyła krzesłem kilkakrotnie o blat stołu, póki jeden i drugi mebel nie rozleciał się na kawałki. Potem podeszła do regałów i zaczęła zrzucać i niszczyć książki. Wyrwała też kabel telefoniczny ze ściany.

- Rhys, będziesz się musiał nieźle napocić, ?by wytłumaczyć policji, co tu się działo - powiedziała głośno i zamarła.

Wewnątrz domu rozległy się czyjeś głośne kroki. Potem ktoś otworzył okno i podmuch wiatru uniósł do góry luźne kartki książek.

Max Hornung podbiegł do helikoptera, który wylądował na wolnym pasie. Kiedy pilot wyłączył silnik i otworzył drzwi kabiny, zapytał:

- Zabierze mnie pan na Sardinie?

- W taką pogodę? Wykluczone. Przed chwilą ryzykowałem życie, zawożąc tam pasażera.

Nie mam zamiaru...

- Zapłacę potrójnie. - Gdyby to słyszał nadinspektor Schmied, pewnie dostałby ataku serca.

- Wsiadaj pan.

Kiedy wystartowali, Hornung zapytał pilota, jak nazywał się tamten pasażer.



- Williams! - odparł pilpt.

Coś nagle spadło Elżbiecie na plecy. Aż krzyknęła z przerażenia. Była ta jednak tylko niewielka gałąź, która wpadła przez otwarte okno.

- Ukryj się, Elżbieto! - znów usłyszała głos Samuela. - Na górze, w moim gabinecie.

Biegła w górę, pokonując po trzy schody naraz. Pewnie Rhys słyszał bicie jej serca. Jeszcze kilka kroków i znalazła się w gabinecie. Szybko zamknęła drzwi od wewnątrz. Zdawało jej się, że drzwi do gabinetu są bramą getta, ona zaś Samuelem, który ma na sumieniu śmierć Arama. Nie może dać się zabić. Musi przechytrzyć Rhysa.

Przez dziurkę od klucza zobaczyła światło. Stawało się coraz jaśniejsze. Więc już idzie po nią. Szykuje się do ostatecznego ataku. Usłyszała na dole głuchy trzask, a później kolejny i jeszcze jeden. Rhys pewnie włamuje się do sypialni, którą zamknęła, biegnąc na górę. Doskonale. Jeszcze jeden ślad dla policji. Czekala w milczeniu, aż Rhys zacznie wyłamywać drzwi, za którymi ukryła się. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

“Na co on czeka?” - pomyślała.

Wstrzymała oddech i znów wyjrzała przez dziurkę od klucza. Ujrzała strzelające w górę płomienie ognia.

W dole wyłoniło się wybrzeże Sardynii, ledwo widoczne poprzez unoszące się nad ziemią tumany czerwonego piasku.

- Wątpię, czy uda mi się wylądować! - pilot próbował przekrzyczeć warkot silnika.
- Niech pan leci w kierunku Porto Cervo.
- To na szczycie tamtej góry.
- Wiem.
- Da pan radę?
- Oszalałeś, człowieku?! Wykluczone!
- Niech się więc pan odsunie. Spróbuję wylądować za pana.

Pilot spojrział zaskoczony na Hornunga. Po chwili machnął ręką z rezygnacją i zataczając koło zaczął wznosić się w górę.

Elżbieta znalazła się w potrzasku. Mogła zginąć w płomieniach lub stracić życie, skacząc z balkonu na skały. Przez szczeliny w drzwiach do pokoju zaczął przedostawać się gęsty, duszący dym. Dostrzegła płomienie, które powoli trawiły dębową futrynę. W pokoju zaczęło się robić duszno. Pokaszując, ruszyła w kierunku balkonu. Złość dodawała jej sił. Pchnęła mocno drzwi i znalazła się na balkonie. Przed nią widniała granatowa kipiela wzburzonego morza i ostre krawędzie skał. Pozostało jej jedynie modlić się o cud. Chyba że...

Spojrzała do góry na sklepienie dachu. Gdyby udało jej się dosięgnąć wystającej w tym miejscu belki, mogłaby przedostać się po dachu do tej części domu, która nie była jeszcze zajęta przez ogień. Byłaby uratowana. Stała na palcach i wyciągnęła ramiona. Brakowało jednak kilkunastu centymetrów. Obejrzała się za siebie. Cały gabinet ojca stał w płomieniach. Niedaleko biurka zauważyła krzesło. Postanowiła zaryzykować. Wbiegła do pokoju, parząc sobie ręce i stopy, nie czuła jednak bólu. Chwyciła krzesło i wróciła na balkon. Stojąc na krześle, mogła dosięgnąć belki.

Ogień zajął już regały przy oknach, paląc książki jedną po drugiej i powoli, skwiercząc, zbliżał się do zasłon łopoczących na wietrze za plecami Elżbiety. Zebrała w sobie wszystkie siły i podciągnęła się do góry, przewracając krzesło.

Przypomniała sobie, jak Samuel, walcząc o życie, wspinał się na mur getta. Jeszcze moment i leżała na dachu, ciężko dysząc. Szybko wstała i zaczęła ostrożnie iść przed siebie. Dach w tym miejscu był niezwykle stromy. Jeden nierozważny krok, a podzielił los biednego ojca, ginąc na stromych występach skalnych. Nie było jej łatwo utrzymać równowagę. Wiewjący wściekle sirocco próbował zepchnąć ją z dachu. W końcu dotarła do płaskiej jego części, skąd dojrzała w

dole balkon jednego z pokoi gościnnych. Ogień nie dotarł tu jeszcze. Będzie musiała chwycić się rynny i zsunąć...

Nagle na balkonie dojrzała Nicholisa. Wyciągnął do niej rękę i zawołał:

- Nie bój się! Dasz sobie radę. Tylko zachowaj ostrożność!

Jeszcze kilka kroków i stała na krawędzi dachu, spoglądając w dół.

- Skacz! Złapię cię! - Nichols rozłożył ramiona.

Elżbieta usiadła na krawędzi i lekko zsunęła się, spadając prosto w ramiona Aleca.

- Dzięki Bogu, Alec. Pojawiłeś się w samą porę.

- Wiem - odparł Nichols i przyłożył jej pistolet do głowy.

Helikopter leciał nisko tuż nad czubkami drzew. Po chwili zbliżył się do szczytu Porto Cervo.

- Widzę willę! - krzyknął Hornung i zamarł z przerażenia.

Budynek płonął.

Myśli kłębiły się w głowie Elżbiety niczym fale oceanu pod jej stopami. Więc to Alec zabił ojca i ją również próbował pozbawić życia. Szkoda, że dowiedziała się o tym dopiero teraz. Jedynym pocieszeniem w obecnej chwili była myśl, że Rhys jest niewinny. Pewnie Alec skradł raport i włożył go do szuflady Rhysa, próbując go w to wszystko wrobić. Wiedział, że w obawie przed Rhysem ukryje się w willi i czekał tu na nią, niczym na swoją ofiarę.

- Zrobiłem to wszystko dla Vivian. Tylko ją jedną kocham. Ty nigdy tego nie zrozumiesz.

- Alec zdawał się czytać w jej myślach. - Miałaś zginąć w płomieniach. Teraz będę cię musiał zastrzelić. Wybacz mi, Elżbieto.

Usłyszała najpierw szcęk odbezpieczanego pistoletu, a pół sekundy później głos Rhysa:

- Alec, rzuć broń!

Oboje spojrzeli w dół. Na trawniku stał Rhys i inspektor policji Luigi Ferraro oraz kilkunastu uzbrojonych policjantów.

- Mamy cię na muszce, Alec! Poddaj się! Obok Rhysa stał strzelec wyborowy z bronią gotową do strzału.

- Odsuń się od niej... choć o pół kroku - szepnął do siebie.

Po chwili tuż obok Rhysa pojawił się detektyw Hornung. Wybiegł z gęstych krzaków, z trudem chwytając powietrze.

- Dostałem wiadomość od pana - powiedział cicho Rhys. - Niestety, jak pan widzi, spóźniłem się.

Alec, nie spuszczać oczu z Elżbiety, zaczął wolno wycofywać się w kierunku drzwi balkonowych.

- Mam go, panie inspektorze! - powiedział snajper i pociągnął za spust.

Alec zachwiał się i runął na ziemię.

Teraz wypadki potoczyły się w przyśpieszonym tempie.

Elżbieta krzyknęła:

- Rhys!

Skoczyła z balkonu wprost w jego ramiona.

- Kocham cię, Liz!

- Kocham cię, Rhys!

Leżeli na trawie i całowali się, nie bacząc na otaczających ich policjantów.

Alec leżał na podłodze. Ból w klatce piersiowej, który przed chwilą odczuwał, minął bezpowrotnie. Wokół niego tańczyły małe płomyki ognia.

“Tak wygląda przedsionek piekła” - pomyślał.

Nagle usłyszał głos Vivian. Wzywała go do siebie, niczym legendarne syreny Odyseusza. Leżała naga na łóżku i miała na szyi czerwoną kokardkę, tę samą, którą włożyła w czasie ich nocy poślubnej.

- Kochaj mnie! - usłyszał jej szept. - Należę tylko do ciebie!

I tym razem uwierzył jej. Przedtem jednak musiał ją ukarać za te upokorzenia, jakich mu nie szczędziła. Nigdy jednak nie odważyłby się jej skrzywdzić. Za bardzo ją kochał. To inne kobiety musiały odpokutować za jej grzechy. Rozkoszował się ich śmiercią i powoli rozgrzeszał Vivian.

- Wejź we mnie! - prosiła.

Alec rozłożył jej uda i po chwili stopili się w jedną całość. Czuł żar bijący od jej ciała. Jeszcze moment i zaczął przeżywać rozkosz spełnienia. Czerwona kokardka na szyi Vivian przemieniła się w ogromny płomień, który w jednej chwili oblał jego ciało.

Zmarł w miłosnej ekstazie, podobnie jak jego ofiary.